

S A B I N A W A S Z U T

# Ogrody na popiołach

POWIEŚĆ O POWOJENNYM OBOZIE,  
O KTÓRYM MILCZAŁA HISTORIA





S A B I N A W A S Z U T

# Ogrody na popiołach

POWIEŚĆ O POWOJENNYM OBOZIE,  
O KTÓRYM MILCZAŁA HISTORIA



Książnica



INNE KSIĄŻKI SABINY WASZUT

SERIA

# EMIGRANCI

Podróż za horyzont

Listy z czarnych miast

Pod stepowym niebem

NARZECZONA  
Z GETTA



Zapraszamy na [www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Projekt serii i okładki  
ANNA SŁOTORSZ/ARTNOVO.PL

Fotografie na okładce  
Domena publiczna  
© sema\_srinouljan/Adobe Stock  
© srckomkrit/Adobe Stock  
© wooster/Adobe Stock  
© Volodymyr Shevchuk/Adobe Stock  
© EJRodriguez/Adobe Stock  
© YAROSLAV/Adobe Stock

Koordinacja projektu  
ALEKSANDRA CHYTRON-KOCHANIEC

Redakcja  
EDYTA MASEŁKO-ŁACIOK

Korekta  
CELINA RYMSZA

Redakcja techniczna  
LOREM IPSUM – RADOSŁAW FIEDOSICHIN

Polish edition © Sabina Waszut, Publicat S.A. MMXXII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-271-6283-0

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

**PUBLICAT S.A.**

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24  
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00

e-mail: [office@publicat.pl](mailto:office@publicat.pl), [www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Oddział we Wrocławiu  
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62  
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66  
e-mail: [ksiaznica@publicat.pl](mailto:ksiaznica@publicat.pl)

# Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Wprowadzenie

Katowice. Rok 1966

Katowice i Świętochłowice. Rok 1945

Świętochłowice. Rok 1996

Biografie

Posłowie

Bibliografia

Przypisy



*Myślę, że zmarli z Oświęcimia nie będą mieli nic przeciwko temu, gdy ułożę ich w pamięci obok zmarłych w Świątuchłowicach.*

Gerhard Gruschka  
(w chwili osadzenia w obozie w Świątuchłowicach miał czternaście lat)

# Wprowadzenie

Zanim rozpoczną Państwo lekturę trzymanej w ręku powieści, pragnę wyjaśnić, że większość opisywanych w niej wydarzeń oparta jest na faktach. Oczywiście powieść rządzi się swoimi prawami, więc niektórzy bohaterowie zostali przeze mnie wymyśleni bądź stanowią zlepek kilku autentycznych postaci.

Nie sposób jednak pisać o historii, nie umieszczając na kartach książki jej naocznych świadków. Zdecydowałam się nie zmieniać personaliów dwojga więźniów obozu: piętnastoletniego Holendra – Erica van Calsterena i Amerykanki – Wandy Lagler. Prawdziwa jest również postać komendanta Zgody Salomona Morela. Także lekarz obozowy Kurt Glombitza, starosta o nazwisku Skutela oraz drugi komendant obozu Aleksy Krut są często wspomniani w zeznaniach więźniów i w oficjalnych dokumentach. Na końcu tomu odnajdziecie Państwo ich krótkie życiorysy.

Umieszczone między rozdziałami fragmenty listów pochodzą ze zbiorów Instytutu Pamięci Narodowej i są oryginalne.

Od opisywanych przeze mnie wydarzeń minęło prawie osiemdziesiąt lat. Obóz na Zgodzie w Świętochłowicach stał się symbolem Tragedii Górnośląskiej, o której, zdaniem wielu, wciąż lepiej jest milczeć, niż mówić zbyt głośno. Strach, który został wówczas zasiany, nadal panuje i być może nigdy nie uda się go wyciszyć.

Zgoda to dla Ślązaków niezabliźniona rana.

Sabina Waszut

# KATOWICE

## rok 1966

– Dajcie mi „Trybunę” dla mojego chłopca i tabletki z krzyżykiem, bo od rana strasznie mnie głowa boli. Sama już nie wiem, czy to przez tę pogodę, czy przez starość! – Helena Zyzikowa śmieje się, próbując przekrzyknąć warkot przejeżdżającego obok autobusu.

– A co też pani! – Oburza się uprzejmie Karol Ploch, sięgając po leżącą po jego prawej stronie gazetę, a potem wymacując wyłożone w koszyczku blistry tabletek. – Jaka starość?! Przecież pani wygląda kwitnąco.

Zyzikowa wciąż się śmieje.

– Pan to zawsze umie humor poprawić – odpowiada, choć przecież wie, że Karol nigdy jej nie widział, więc miłe słowa o wyglądzie są tylko grzecznością. – A pana żona o której będzie? – kontynuuje pogawędkę. Jak widać, nie spieszy się dziś do wnuków. – Chciałabym, żeby mi w sobotę włosy ułożyła – dodaje nieco ciszej. – Najstarszy synek cery<sup>[1]</sup> ma urodziny. Idziemy wieczorem na fajer<sup>[2]</sup>.

– To miła sobota się szykuje. A Margot będzie jak zwykle po czternastej i na pewno się zgodzi panią uczesać, to dla niej czysta przyjemność – zapewnia Ploch i tym razem jego słowa nie wynikają wyłącznie z uprzejmości.

Dobrze wie, że jego żona byłaby najszczęśliwsza, mogąc znów stanąć za fryzjerskim fotelem. To, że strzyże i czesze sąsiadów, jest zaledwie namiastką interesu prowadzonego przed wojną przez jej rodzinę. Zatrudniający kilku pracowników zakład fryzjerski, mieszczący się naprzeciwko katowickiego dworca, był dumą dziadka i ojca Margot, a także przynoszącym niezłe dochody źródłem utrzymania.

Zakład Langerów rozwijał się wraz z rozwojem miasta. Gdy w 1865 roku, kilka miesięcy po tym jak sam król Prus Wilhelm I Hohenzollern nadał Katowicom prawa miejskie, dziadek Margot – Teodor Langer przybył tu aż z podnóża gór Harz, w nowo powstałym mieście istniało już kilka zakładów fryzjerskich, w tym cieszący się najlepszą opinią zakład jego imiennika Teodora Marwega. Mimo sporej konkurencji Langer postanowił podążyć za marzeniami i zastawiając wszystko, co razem z żoną posiadali, otworzył mały zakład w podwórku jednej z kamienic. Kiedy dziesięć lat później urodził się ojciec Margot, zakład wciąż znajdował się w podwórzu, ale od frontu miał już ozdobny szyld i zatrudniał kilka pracowników. Powoli kolejne pokolenie Langerów przejmowało od Teodora brzytwy, nożyczki oraz grzebienie i dzień po dniu uczyło się trudnej sztuki strzyżenia i golenia.

Matka nosiła Margot pod sercem, gdy w 1905 roku zakład fryzjerski „Langer i syn” przeprowadził się do pełnego światła lokalu położonego od frontu budynku.

To były wspaniałe lata, nie tylko dla zakładu i rodziny Langerów, ale i dla całego miasta, które rozwijało się i piękniało z dnia na dzień. Dworzec, jeszcze niedawno przypominający parterową wiejską chałupę, został przebudowany i stał się eleganckim secesyjnym budynkiem, z poczekalnią i restauracją. Tuż obok zakładu Langerów zaczął powstawać hotel, co niezmiernie cieszyło Teodora. Stary Langer, ze względu na wiek i chory kręgosłup, rzadko stawał już przy fryzjerskim fotelu, codziennie witał jednak w progu swoich klientów, przypatrując się jednocześnie pracom budowlanym i wyobrażając sobie zacnych zagranicznych gości, którzy mieszkając w hotelu, być może będą chcieli skorzystać z usług rodzinnego zakładu fryzjerskiego mieszczącego się tuż obok.

Mężczyzna trafnie przewidział przyszłość, bo wkrótce hotel stał się miejscem pobytu wielu znanych osobistości. Mieszkał w nim Charles de Gaulle, Artur Rubinstein, a swoje wesele zorganizował tu sam Jan Kiepura. Niestety, Langer już tego nie doczekał. Zmarł spokojnie w swoim łóżku 28 stycz-

nia 1914 roku, dokładnie w dzień czwartych urodzin wnuczki, zaledwie o pół roku wyprzedzając nadciągającą wojnę.

Gdy Margot opowiadała Karolowi historię swojej rodziny, wielokrotnie wspominała, że wraz ze śmiercią dziadka odeszły dobre lata. Pozornie nic się nie zmieniło, ojciec i matka ciężko pracowali, a ona spędzała czas między fryzjerskimi fotelami, czesząc włosy swojej jedynej lalce. Zakład wciąż przynosił dochody i nadal miał grono stałych, wiernych klientów. Wojna obeszła się z jej rodziną i miastem łagodnie. Mimo to mała Margot, kierując się odziedziczonym po dziadku instynktem, czuła, że choć kryzys nie uderzył w nich bezpośrednio, stanowił pewną granicę i wstęp do nowych, trudnych czasów, które nadeszły szybciej, niż dziewczynka mogła się tego spodziewać.

Najpierw, kilka przecznic od zakładu, pojawili się niemieccy bojówkarze demolujący polskie sklepy, potem zabili znanego w całym mieście lekarza Andrzeja Mielęckiego. Następnie ulice Katowic zostały zasypane ulotkami. Na idealnie umytych oknach witryny ktoś przykleił plakat, na którym gruby Niemiec w zakrwawionym fartuchu zabijał cielaka. „Kto jest głupi jak to cielę – głos na Niemca da w niedzielę”, widniał podpis pod obrazkiem. Margot nie zdążyła go zderzeć, gdy na tym samym miejscu zawisł kolejny afisz. „Nie oddaj ziemi obcym – zagłosuj za Niemcami”, obwieszczał napis pod rysunkiem przedstawiającym pole pełne dorodnych kłosów żyta.

Dziewczyna nie rozumiała, dlaczego jej miasto jest rozszarpywane na kawałki. Widziała natomiast strapienie ojca, gdy niektórzy klienci zaczęli omijać ich zakład, a inni pakowali walizki i pożegnawszy się z Langerami, wyjeżdżali do Niemiec, bo Katowice były teraz polskim miastem, choć przecież na Polskę oddało głos tylko czternaście procent biorących udział w plebiscycie mieszkańców.

Nagle jej ojczysty język zaczął być źle widziany. Nawet w cechu fryzjerów, do którego dziadek Teodor przystąpił kilkadziesiąt lat wcześniej, załatwienie jakiegokolwiek sprawy bez znajomości języka polskiego okazywało się niemożliwe.

Rodzice Margot próbowali przywyknąć do nowej rzeczywistości. Wciąż, dzień po dniu, otwierali zakład i czekali na klientów. Minęło kilka lat i w końcu dziewczyna sama wzięła grzebień i nożyczki w ręce. Układanie włosów klientkom sprawiało jej ogromną przyjemność, jej sprawne palce i świeże pomysły zaczęły ponownie przyciągać do zakładu panie chcące poznać najnowsze trendy. I gdy rodzina poczuła nadzieję, że najtrudniejsze jest już za nią, kryzys lat trzydziestych ponownie uszczuplił przychody.

Kiedy w 1932 roku ojciec Margot zmarł na atak serca, a jej brat znalazł pracę w Gliwicach i zdecydował się przenieść tam z żoną, dziewczyna jeszcze przez kilka miesięcy próbowała sama prowadzić zakład. W końcu jednak wydatki zaczęły przewyższać zyski. Żeby więc nie popaść w długi, po wielu bolesnych rozmowach z matką i Karolem, z którym była już wówczas po słowie, po licznych bezsennych nocach i ponurych dniach spędzonych nad księgami rachunkowymi Margot zdecydowała się zamknąć prowadzony od prawie siedemdziesięciu lat rodzinny interes.

\*

Karol wzdycha cicho, wyrwany z chwilowego zamyślenia krzykiem Zyzikowej. Żegna się z klientką, która, zorientowawszy się, że właśnie podjechał jej autobus, pędzi już na pobliski przystanek. Płoch jeszcze przez moment wsłuchuje się w szelest spódnicy biegnącej kobiety, a potem korzystając z chwilowego braku kupujących, zaczyna układać towar.

Porządek w kiosku jest najważniejszy. Odkąd dziesięć lat temu Karol stracił wzrok, jedynie idealny ład pozwala mu nad wszystkim zapanować. Dzięki zbieranemu przez lata doświadczeniu wie, że wystarczy odłożyć w niewłaściwe miejsce jedną rzecz, aby po chwili nie móc odnaleźć już żadnej.

Wzrok pogarszał się Płochowi stopniowo, zatem miał czas, aby przygotować się na to, co nieubłaganie nadchodziło. Dostał od losu szansę, aby nauczyć się kształtów sprzedawanych towarów, poznać ich fakturę i zapach. Powoli zastąpić jeden zmysł innymi.



Wydawało mu się, że jest już gotowy, że pogodził się ze zbliżającą się ślepotą, a jednak tamtego pamiętnego ranka, stojąc przed lustrem i przyglądając się swojej twarzy, która z chwili na chwilę stawała się coraz bardziej rozmazana, poczuł przerażenie. Trudno było mu z godnością przyjąć fakt, że już nie zobaczy ukochanej żony i dorastającego syna, że nie spojrzy więcej na Katowice i nie ujrzy, jak zmienia się jego mała ojczyzna. Mimo że w ostatnich latach nie były to zmiany na lepsze, a wszechobecna szarość i bylejakość bardzo Karola przygnębiały, wciąż było to jego miasto. Dom, na który chciał patrzeć.

Oczywiście jeździli do lekarzy. Margot po raz kolejny próbowała poruszyć niebo i ziemię, aby pomóc mężowi.

Na karcie wypisu ze szpitala za przyczynę utraty wzroku uznano zanik nerwów. Lekarze rozłożyli ręce. Nie istniał żaden lek, żadna operacja, która mogłaby sprawić, że Karol znów zobaczyłby świat. Musiał zaakceptować diagnozę i nauczyć się z nią żyć.

To, że znał prawdę, nie miało znaczenia, zresztą czasem nawet jemu samemu ta prawda wydawała się jedynie wytworem wyobraźni. Nie powiedział o niczym lekarzom, nawet Margot nie zdradził swojego sekretu, choć musiała się domyślać.

Nie należało wracać do przeszłości. Mieli przecież gdzie mieszkać, nie głodowali, a nawet, biorąc pod uwagę powojenną rzeczywistość, powodziło im się nie najgorzej. Można było uznać, że los obszedł się z nimi łaskawie. Nie warto było ryzykować jednym nieopatrznie wypowiedzianym słowem. Mógłby przecież stracić znacznie więcej niż kiosk, który prowadzili z żoną od kilku lat.

Zapał się i szybko nauczył żyć z kalectwem.

Po prawej – gazety codzienne, po lewej – tygodniki. W koszyczkach tabletki, żyletki Rawa Lux i woda brzoźowa. Na środku, pod ręką, najczęściej sprzedawany towar: papierosy.

Karol dotyka przedmiotów, obraca je w palcach, czasem unosi do twarzy, aby powąchać, i już wie, gdzie który położyć, aby potem bez kłopotu podać

to, o co prosi kupujący. Nawet rodzaje papierosów nauczył się rozpoznawać węchem. Inaczej pachną delikatne dukaty, inaczej mocne mazury.

Ploch słyszy, że zbliża się kolejny klient. Nim nadchodzący człowiek zdąży się odezwać, Karol wie, że to mężczyzna w średnim wieku.

„Mocny charakter” – myśli, wsłuchując się w pewnie stawiane kroki, i już jest pewien, że będzie musiał sięgnąć po papierosy. Tacy jak ten sporo palą.

– Carmeny i „Sport” – odzywa się mężczyzna. – Są wyniki! I zdjęcia z meczu! Ruch wygrał z Górnikiem Zabrze pięć do jednego! – prawie krzyczy po krótkiej chwili poprzedzonej szelestem otrzymanej od Karola gazety. – Byłem tam! Widziałem tę bramkę! Lerch pięknie strzelił, Gomola nie miał szans. Wyłożył się jak długi na murawie! – Ekscytuje się kibic.

Karol przytakuje i chce włączyć się do rozmowy. On też lubi piłkę. Gdy jeszcze widział, często zabierał Piotrusia na mecze. Teraz słuchają ich w radio i wrzeszczą jak szaleni, nie zważając na gniewne utyskiwania Margot...

Raptem coś dziwnego zaczyna się dziać z ciałem Plocha. Obezwładnia go strach, zaciska się wokół jego szyi niczym czyjeś palce chcące odebrać mu życie. Kioskarz nie potrafi pojąć, co się dzieje. Drżącą dłonią ociera z czoła krople zimnego potu i podaje klientowi papierosy, modląc się w duchu, aby mężczyzna już niczego od niego nie chciał, żeby jak najszybciej odszedł.

– To grunwaldy – odzywa się tamten. – Carmeny ma pan po prawej – podpowiada życzliwie.

Pewnie już zauważył, że sprzedawca nie widzi.

Karol naprawia swój błąd. Przyjmuje zapłatę, słucha, jak kroki mężczyzny się oddalają, a potem otwiera usta i łapczywie wciąga powietrze. Nie umie złapać oddechu, nie umie opanować wstrząsających ciałem dreszczy. Przez dłużącą się w nieskończoność chwilę jest pewien, że umiera, że jego serce zaraz pęknie.

Ktoś nachyla się do okienka i pyta go o coś, ale Ploch tylko kręci głową i zatraskuje szybkę. Nie jest w stanie zrobić nic więcej, nie potrafi ruszyć

się z miejsca, aby zamknąć kiosk i wrócić do domu.

„Czy go poznał?” – natrętna myśl wciąż powraca. „Czy choć przez chwilę pojawił się we wspomnieniach tamtego mężczyzny?”

Karol nie ma już najmniejszych wątpliwości, kim był kibic o „mocnym charakterze”. Wszędzie rozpoznałby ten głos. Nie ma dnia, aby sobie o nim nie przypomniał.

Margot przychodzi po południu. Jest radosna, opowiada mężowi o przepisie na ciasto znalezionym w nowym numerze „Kobiety i Życia”. Karol przytakuje. Uśmiecha się do żony, a potem bierze swoją laskę i wychodzi z kiosku. Dobrze, że mieszkają tak blisko. Dziś jest nieuważny, potrąca przechodniów i omal nie wpada pod przejeżdżający motocykl. Nie słyszy codziennego gwaru miasta, który zwykle go prowadzi.

Nigdy nie powie żonie, kogo dziś spotkał. Nie opowie jej o strachu, który znów do niego wrócił. Ma wiele takich tajemnic. Już dawno postanowił nie obciążać Margot szczegółami tego, co się wówczas wydarzyło. Nawet ona w niektóre historie nie umiałaby uwierzyć.

# KATOWICE I ŚWIĘTOCHŁOWICE

## rok 1945

### Kanarek w klatce

Przed teatrem na Rynku żołnierze ustawiają działo przeciwpancerne. Lufę kierują w stronę Ludendorffstrasse, najwyraźniej stamtąd oczekując nadejścia czerwonoarmistów. Młodzieńcy nie wydają się jednak specjalnie przejęci fatalną sytuacją na froncie. Śmieją się i gawędzą z dziećmi, które podchodzą, by zobaczyć armatę. Najwidoczniej wciąż wierzą, że Armię Czerwoną zatrzyma wał wschodni albo w najgorszym wypadku Volkssturm, popolite ruszenie Hitlera, do którego powołani zostali wszyscy zdolni chwycić za broń, włączając w to nastolatków oraz starców. Panuje przekonanie, że najeźdźcy nie zdobędą Śląska i nie uda się im przejść choćby metra katowickimi ulicami.

Żołnierzom stojącym u stóp teatru, na którym dumnie prezentuje się napis *Deutschem Wort – Deutscher Art*<sup>[3]</sup>, nie wolno wątpić w zagrzewające do boju słowa Fritza Brachta. Nie wiedzą, że gauleiter Górnego Śląska właśnie walczy o życie, przechodząc drugi rozległy zawał serca, i niebawem, zamiast wygłosić kolejną mowę o niezwyciężonej III Rzeszy, pozwoli wywieźć się do szpitala w Bad Kudowie<sup>[4]</sup>, aby tam w słoneczny majowy dzień popełnić samobójstwo.

Młodzi chłopcy w mundurach Wehrmachtu nie chcą słyszeć o przetaczającym się przez Polskę walcu Armii Czerwonej. Odsuwają od siebie obrazy czerwonego potwora, które nawet prawdziwych żołnierzy napawają przerażeniem, a co dopiero nieopierzonych młodziaków znacznie bardziej pragnących teraz siedzieć z dziewczyną w jednej z katowickich kawiarni. Po-

goda jest dziś idealna na randkę. Mróz skrzypi pod żołnierskimi butami, można by przytulić Kaśkę albo Agnes i pocałować je w zaczerwienione policzki.

Ustawiane tu i ówdzie armaty wydają się jedynie rekwizytami. Nie ogłoszono jeszcze ewakuacji. Życie toczy się normalnym rytmem. Nikomu nie spieszy się do walki.

– Nie mamy czasu! – krzyczy do synka Karol Ploch. Dziecko bowiem, wyrwawszy rączkę z dłoni ojca, biegnie, aby z bliska przyjrzeć się żołnierzom. – Przecież chciałeś ze mną jechać – przypomina mężczyzna, gdy Piotruś wraca do niego z niezadowoloną miną.

Malec wzrusza ramionami i ogląda się za siebie jeszcze kilka razy, ale idzie już posłusznie obok ojca na przystanek, z którego odjeżdżają autobusy do Świętochłowic.

Czekają, aż z wnętrza pojazdu wyleje się rzeka ludzi, dopiero potem wsiadają. Karol zerka przez szybę na ustawiających działą. Jest zbyt doświadczony przez obie przeżyte wojny, aby wątpić, że ci chłopcy w za dużych mundurach, którzy teraz przyjaźnie rozmawiają z grupką przechodniów, zastrzeliliby ich, gdyby tylko dostali taki rozkaz. Ploch pamięta doskonale, co działo się tu w trzydziestym dziewiątym. Wciąż ma przed oczami harcerzy prowadzonych przez takich samych młodziaków do siedziby gestapo. Od tamtego dnia nie pozwala Piotrusiowi bawić się na Strasse der SA, gdzie mieści się hitlerowska katownia. Krzyki i jęki, które stamtąd dobiegają, mrozą krew w żyłach.

Kto nie przeżył wojny, ten nigdy nie pojmie, jakie prawa nią kierują, kto nie przeżył wojny tutaj, na Śląsku, ten nie zrozumie, że nic nie jest czarno-białe.

Autobus wyjeżdża z katowickiego rynku i jedzie ulicami tego na wskroś niemieckiego miasta. Polska, która istniała tu przez zaledwie osiemnaście lat, została dokładnie wymazana. Na budynkach bielą się tabliczki z nowymi nazwami ulic, a nad wejściami do sklepów niemieckie słowa zachęcają do zrobienia zakupów, chociaż w ostatnich miesiącach wszyscy odczuwają ciągły brak towarów. I jeszcze flagi. Czerwone z czarnym krzyżem. To one

budzą w Karolu największy strach, choć ponoć swastyka to bardzo stary symbol pochodzący z sanskrytu – języka literackiego Indii. W wielu kulturach ten znak przynosi szczęście i pomyślność. Ploch nie potrafi jednak uwierzyć w symbolikę, o której kiedyś opowiadała mu Margot.

Nie widzi szczęścia w niczym, co przyniósł ze sobą nazizm.

– Ciekawe, czy mamie uda się coś kupić na hali targowej... – Wzdycha ni to do siebie, ni do wierzącego się niecierpliwie Piotrusia, któremu znudziło się obserwowanie miasta.

Karol wie, że Margot nie lubi stać w kolejkach, które z dnia na dzień są coraz dłuższe. Co z tego, że przydzielono im bezugskarty na chleb, masło czy mleko, skoro nawet z kupieniem tak podstawowych produktów jest kłopot.

„A ja, na domiar złego, wziąłem sobie za żonę elegantkę” – myśli Karol z niezadowoleniem, przypominając sobie, z jaką pieczołowitością jego ślubna układała dziś rano kapelusz na wyfryzowanej główce. Tak jakby szła co najmniej do kościoła na niedzielną mszę, a nie na Kurfürstenstrasse do największej, a tym samym najtłoczniejszej hali w mieście.

Pokłócili się o ten kapelusz. To, co kiedyś w żonie uwielbiał, teraz kłuje go w oczy.

Znów kobiety będą szeptać za plecami Margot. Znów będą wytykać ją palcami, bo przecież nie wypada tak się stroić, gdy trwa wojna, nie wypada malować ust. Ploch nieraz słyszał, że powinien poskromić żonę, że to źle wygląda, bo tylko niemieckie dziwki chodzą tak wymalowane. Znów wzbiera w nim złość, choć nie jest już pewien, czy na Margot, czy może raczej na baby, które roznoszą plotki.

Przecież Margot to dziewczyna o złotym sercu. Wie to on i wszyscy, którzy znają ją bliżej. Nie jest próżna, ostatnią koszulę oddałaby potrzebującym. Nie dalej jak wczoraj siedziała przez pół nocy, prując swój wełniany sweter. Od kilku dni Katowice oblepione są bowiem informacjami o zbiorce wełny potrzebnej na skarpety dla siedzących w okopach chłopców z Volksturmu. Karol pamięta, jak w czterdziestym roku inny sweter został przerobiony na rękawice dla polskich żołnierzy, którzy pierwszą wojenną zimę



spędzali w niemieckich obozach jenieckich. Ta akcja działających w konspiracji harcerek nie miała dotrzeć do uszu Margot, a jednak dotarła, co poskutkowało kilkoma parami rękawic więcej. Żona Karola kierowała się prostą logiką – po obu stronach wojny znajdowali się zmarznięci chłopcy, czasem zaledwie dziesięć lat starsi od ich Piotrusia.

– Winni są tylko ci, którzy wciskają im karabiny w dłonie – zwykła mówić.

Karol wie, że kocha żonę właśnie za tę mądrość i prostoduszność.

Tylko te kapelusze! Te piekielne kapelusze.

\*

Autobus zatrzymuje się na przystanku przy Wilhelm Platz, częściej nazywanym Adolf Hitler Platz, choć oficjalnie wódz nie patronuje żadnej z kатовickich ulic. Pokrywający rosnące na skwerze drzewa śnieg mieni się w słońcu. Dwie kobiety rozmawiają, położywszy na ścieżce torby z zakupami, jakiś starszy jegomość w płaszczu o trochę przykrótkich rękawach mimo mrozu przysiadł na ławeczce. Może podziwia uroki zimy, a może załębł z głodu albo choroby. Karol interesuje się mężczyzną jedynie przez chwilę, jego uwagę przykuwa bowiem ciężarówka stojąca przed sądem specjalnym.

„Co takiego wywożą stąd w sobotę?” – zastanawia się i próbuje dostrzec kierowcę. Zna wszystkich zatrudnionych przez miasto. Wszak od lat pracuje jako kierowca w spółdzielni spożywczej, zajmując się dostarczaniem towarów do hali targowej lub rozwożeniem ich po mniejszych sklepach.

W gardle Karola pojawia się gula, której nie umie przełknąć. Choć za sianie defetyzmu można zarobić kulkę w łeb, już chyba wszyscy widzą, że Niemcy szykują się do ucieczki. Powoli pozbywają się rzeczy, które mogłyby ich jeszcze bardziej pogrążyć. Krok po kroku oczyszczają miasto z dowodów popełnionych tu zbrodni.

Gdy ruszają Bismarckstrasse w kierunku Königshütte<sup>[5]</sup>, gdzie czeka ich przesiadka na tramwaj, Ploch zaczyna dyskretnie przyglądać się siedzącym

w autobusie pasażerom. Wiele by dał, aby móc poznać myśli współpodróżnych. Kto z nich sprzyja Niemcom? Kto doniósł, że sąsiedzi rozmawiają po polsku? Kto wydał skazanych na śmierć powstańców śląskich? Jak spojrzeć na mieszkańców Katowic wyzwoliciel? W kim zobaczy zdrajcę, a w kim ofiarę? W głowie Karola nadzieja na rychły koniec wojny miesza się z obawą.

Wjeżdżają do Königshütte, Piotruś nuci coś pod nosem, w końcu opiera głowę o ramię ojca i przysypia, ukołysany podróżą. Karol próbuje odgonić od siebie nieprzyjemne myśli, wszak mimo porannej sprzeczki z Margot zadanie, które przed nim stoi, powinno sprawiać mu przyjemność.

Odwiedziny u Jana Janoscha, rektora<sup>[6]</sup> uczącego Karola w najmłodszych klasach szkoły powszechnej, są dziś jedynie pretekstem, wytłumaczeniem dla przywykłej do tych wyjazdów Margot. Minęło tyle lat, a Ploch wciąż utrzymuje z nim kontakt i czuje ogromną sympatię, a przede wszystkim szacunek dla starzejącego się profesora.

Po raz pierwszy Karol przestąpił próg szkoły w 1915 roku. To nie był dobry czas. Trwała wojna, ojciec chłopca walczył dla cesarza Wilusia gdzieś na froncie zachodnim, a matka i babka wiecznie narzekały, że nie mają czego do garnka włożyć, bo w sklepach ciągle ubywało towaru. Pozostawiając Karola bez opieki, chodziły więc pieszo raz do Myslowitz<sup>[7]</sup>, gdzie rodzinom żołnierzy miasto sprzedawało ziemniaki po cztery marki za centar, raz do Bismarckhütte<sup>[8]</sup>, gdzie za okazaniem książeczki podatkowej tyle samo ziemniaków można było kupić już za trzy marki.

Siedmiolatek nie rozpaczał z powodu nieobecności ojca, który i przed wojną, pracując na dwóch etatach w Kleofasgrube, w domu bywał rzadko, nie bał się też rosnącej nerwowości matki, bo i do niej zdążył się już przyzwyczaić. Prawdziwym dramatem okazała się dla niego wiadomość, która pewnego majowego poranka, pachnącego już nadchodzącym latem, ukazała się w czwartkowym „Katoliku”. Zdawkowe słowa ogłoszenia informowały, że władze policyjne zakazały wypieku kołaczy – zarówno w gospodarstwach domowych, jak i w piekarniach oraz wszelkich zakładach gastrono-

micznych. Jeśli ktoś złamałby zakaz, miała go czekać kara półrocznego aresztu i grzywna w wysokości półtora tysiąca marek.

Tego dnia Karol po raz pierwszy poszedł na wagary. Wiedział, że nie wysiedzi w szkolnej ławce, gdy chwilę wcześniej ktoś brutalnie zburzył mu dom – bo właśnie niezmiennosc wypiekania przez matkę ciasta w sobotnie wieczory była dla Karola domem. Zapach, a potem smak kołacza popijanego gorącym mlekiem sprawiały, że obojętnie, co działo się w wielkim świecie, mały chłopiec czuł się bezpiecznie, czuł, że wszystko jest tak, jak być powinno. Tamtego straszego dnia ktoś, kto Karola nigdy nie widział, ba, nawet nie słyszał o tym płaczącym za szkolnymi hażłami<sup>[9]</sup> chłopcu, odebrał mu to jednym zakazem, którego powodów Karolek nie umiał pojąć.

I właśnie wtedy, kiedy ocierał sobie nos rękawem koszuli, nad jego skuloną sylwetką pojawił się cień. Tą ciemną plamą, która przez moment przysłoniła mu słońce, był nie kto inny jak profesor Janosch. Mężczyzna, korzystając z przerwy w lekcjach, wybiegł na podwórko za potrzebą.

– Co ty tu robisz? – zapytał Karola i zamiast zdzielić w ucho małego wagarowicza, czego spodziewał się chłopiec, usiadł koło niego na trawie. – Co takiego się wydarzyło, że drogi do klasy nie potrafiłeś dziś znaleźć?

I wtedy Karol, czując nagłą potrzebę wyrzucenia z siebie całego nieszczęścia oraz niesprawiedliwości, które go spotkały, opowiedział nauczycielowi o zakazie. Johan Janosch cierpliwie wysłuchał ucznia. Nie roześmiał się, nie skarcił malca za płacz z powodu takiego głupstwa. Czuł, że ten kołacz to dla Karola strach o ojca, troska o matkę, a także lęk przed niepewną przyszłością. Dzieci rzadko mówią o ważnych sprawach dosłownie, mądrzy dorośli potrafią czytać między wierszami.

Janosch nie musiał niczego Karolowi tłumaczyć, wystarczyło, że poplamionymi od atramentu palcami przygładził zmierzwiłone włosy chłopca i chwilę posiedzieli obok siebie w milczeniu. Potem, gdy szli już razem przez szkolny plac na następną lekcję, poczęstował uczniaka trzymanymi w kieszeni spodni landrynkami, zamiastką słodkiego kołaczyka.

Tak zaczęła się ich przyjaźń.

Kilka lat później, po powstaniach i przeoraniu Śląska granicą, która ani jednej, ani drugiej stronie nie przyniosła zadowolenia, Katowice stały się polskim miastem i wszystko, co niemieckie, miało odejść w niepamięć, bo tak zdecydował ktoś na górze. Odejść więc musiał z polskiej szkoły również Johan Janosch. Nie pomogły prośby rodziców ani płacze dzieci. Z dnia na dzień Johan, a właściwie już Jan, bo w polskim kraju lepiej było mieć polskie imię, zniknął.

W tamtych dniach wiele było podobnych zniknięć. Rozpływali się kole-dzy Karola, z którymi popołudniami grywał w piłkę, przepadały sąsiadki, zawsze chętne, by pożyczyć trochę mąki albo poplotkować, wsparłszy się na kolorowych poduszkach ułożonych na parapetach otwartych okien. Zmienili się też kamraci ojca, z którymi miał zwyczaj chodzić na piwo i dzielić się wojennymi przeżyciami. Ludzie z dnia na dzień zaczęli czuć się obco w mieście, w którym żyli od pokoleń, pakowali więc swój dobytek i wyjeżdżali do Hindenburga<sup>[10]</sup> albo Beuthen<sup>[11]</sup>. Do ich domów wprowadzali się natomiast nowi lokatorzy, których mimo udziału w bratobójczej walce, zwanej później powstaniami, i oddanego w plebiscycie głosu pozostawiono po niemieckiej stronie. Nic dobrego nie uczyniła żyjącym tu od pokoleń ludziom ta wielka polityka, która nagle, przypomniawszy sobie o Helmucie, Jendrysku czy Berciku, pozwoliła im zdecydować, kim czują się bardziej albo raczej: gdzie chętniej będą mieszkać. A potem, już bez pytania, i tak podzieliła śląską ziemię po swojemu, przecinając na pół miasta, wsie, a nawet zagrody, stodoły oraz haźle.

Jan Janosch i jego żona też wyjechali. Na szczęście tylko do Świętochłowic. Choć to miasto, tak jak Katowice, znalazło się w granicach Polski, brat Janoschowej prowadził tam rzeźnię. Podczas niedawnej epidemii tyfusu stracił wielu pracowników, zatrudnił więc u siebie Jana, bo czy to jakaś różnica dla świń, czy gardła podrzyna im Polak, Ślązak czy Niemiec?

Karol nie opuścił w biedzie swojego ukochanego rektora. Jeździł na ulicę Czarnoleśną tak często, jak tylko mógł. Tam, w zniszczonym familoku bez wygod, jeszcze bardziej zaczął podziwiać starego nauczyciela, na którego brutalna zmiana jakości życia nie wpłynęła ani odrobinę. Janosch nigdy,

przenigdy nie skarżył się na niesprawiedliwy los i niedostatki, do których musiał przywyknąć. Młody Ploch, patrząc na dłonie nauczyciela, które z taką samą godnością trzymały szkolną krede i rzeźnicki nóż, godzinami potrafił słuchać opowieści starzejącego się mężczyzny, czując, że podczas tych spotkań uczy się więcej, niż nauczył się kiedykolwiek w szkole. Jan był dla Karola jak dziadek, którego ani od strony ojca, ani matki poznać nie zdążył, i jak przyjaciel pomagający mu dorosnąć.

Kilka lat później Janosch pochował żonę, a że małżeństwo nie miało dzieci, dorosły już Karol stał się opiekunem Jana i z powinności wobec nauczyciela wywiązywał się nawet wówczas, gdy sam założył rodzinę.

\*

Dziś jednak Ploch jedzie do Świętochłowic nie tylko na spotkanie z Janem. U jubilera, który mieści się na głównej ulicy, zwanej obecnie Adolf Hitler Strasse, już dwa tygodnie temu zamówił łańcuszek. Jest srebrny i cieniutki, ale to wszystko, na co Karola teraz stać. Biżuteria będzie prezentem dla Margot z okazji ich dziesiątej rocznicy ślubu. Ploch liczy, że ten gest ucieszy żonę i wzmocni ich małżeństwo, a ostatnie kłótnie i złości pójdą w niepamięć.

Przecież zakochał się w Margot od pierwszego wejrzenia. Są szczęśliwi, nie bacząc na różnice, które czasem się między nimi pojawiają.

Poznali się w roku, który dla obu ich rodzin był szczególnie trudny. Ploch dokładnie pamięta tamten marcowy dzień. Mimo padającego deszczu i przenikliwego zimna, nie chcąc wracać do domu po skończonej robocie, włóczył się ulicami Katowic, nie wiedząc, co ze sobą począć. Wszechobecny kryzys dotknął również stolicę okręgu przemysłowego. Dwa dni wcześniej zredukowano etaty w kopalni, która była główną żywicielką dzielnicy Załęże, gdzie wówczas mieszkał wraz z rodzicami. Zamknięta została również cegielnia i zakład produkcyjny. Nie pomogły strajki i protesty, decyzje właścicieli były ostateczne. Choć sytuacja rodziny Plochów nie była najgorsza, bo ojciec, który całe życie opłacał składki ubezpieczeniowe w spółce brackiej, już od roku otrzymywał skromną rentę, a sam Karol od kilku lat

pracował w przedsiębiorstwie transportowym i zarabiał bardzo przyzwoicie, nastroje w domu i w dzielnicy były minorowe. Rodziny sąsiadów, mające czasem nawet piątkę dzieci na utrzymaniu, z dnia na dzień pozostały bez grosza, zaś widmo pracy na biedaszybach stawało się coraz bardziej realne.

Karol, chodząc katowickimi ulicami, uciekał od wszechogarniającego ludzi smutku. W centrum życie wydawało się inne. Tutaj nie było widać kryzysu. Właśnie tamtego dnia mężczyzna postanowił wyprowadzić się z kopalnianego osiedla stopniowo pogrążającego się w ubóstwie. Dokładnie w chwili, kiedy ta myśl przyszła mu do głowy, za szybą mijanego zakładu fryzjerskiego zobaczył równie jak on sam smutnego anioła.

Już tamtego dnia, siadając po raz pierwszy w życiu na fryzjerskim fotelu, bo dotąd strzygła go wyłącznie matka, i drżąc z emocji oraz strachu, że drobnych w kieszeni ma zbyt mało, aby zapłacić za usługę, postanowił sobie, że poślubi tę blond piękność, która właśnie dotykała jego włosów. Dotrzymał danej sobie obietnicy.

Małżeństw takich jak jego i Margot od zawsze zawierano na Śląsku wiele. Czasem tylko rodziny z niemieckimi korzeniami przypominały sobie, że kiedyś, w zamierzchłych czasach przed Wielką Wojną, gdy śląskie miasta rosły w siłę, a Kajzer Wiluś hojną ręką sypał pieniądze na tutejszy przemysł, Niemcy stanowili tu inteligencję, a Polaczki siłę roboczą. W 1935 roku, w wieczór przed ślubem Margot i Karola matka panny młodej, zaczynając modlitwę od słów: *Gegrüßet seist du, Maria, voll der Gnade*<sup>[12]</sup>, mogła jedynie prosić dobrego Boga, aby zięć-Polaczek okazał się tak pracowity i rozsądny, jak wszystko na to wskazywało, bo jeszcze przed ślubem pomógł Margot sprzedać zakład fryzjerski i mieszkanie nad nim, a już niebawem mieli we trójkę zamieszkać w nieco skromniejszym, ale wciąż komfortowym lokalu po drugiej stronie torów kolejowych.

Matka Karola, klęcząc przed identycznym małżeńskim łóżem, rozpoczęła modlitwę od słów: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, spraw, aby zbyt dużo niemieckiej hardości z Margot na wierzch nie wylazło”.



Pan Bóg spełnił prośby obu matek. Kobiety szybko się polubiły i choć przez płaczące się języki niewiele przeprowadziły ze sobą rozmów, obie niecierpliwie czekały na narodziny wnuka, a potem z miłością i oddaniem niańczyły Piotrusia. Bo czyj tak naprawdę był ten kawałek ziemi, z rąk do rąk od samych początków ludzkiej pamięci przekazywany? Czy warto było o to jakiegokolwiek spory toczyć? Każdy przecież mógł nosić w sercu własny Śląsk.

Były Prusy, było Cesarstwo Niemieckie, była Polska.

Niewielu się tu do polityki mieszało. Ludzie chcieli żyć spokojnie i pobożnie, ciężką pracą własnych rąk zarabiając na chleb.

Ale z tą wojną zaczęły dziać się rzeczy, które porządnemu człowiekowi do głowy nawet przyjść nie powinny, bo jak to umysłem pojąć, jak zgodzić się na to, że w jednej rodzinie starszy syn w wojsku polskim walczy, a młodszy już do Wehrmachtu został wcielony. Brat przeciwko bratu? Ojciec przeciwko synowi? Czy to się godzi jedną krew przelewać?

Karol na szczęście do wojska nie poszedł. Potrzebowali kierowców, więc został w Katowicach. Bogu dziękował, że uprawnienia i na osobowe, i na dostawcze samochody zdążył zrobić. To przecież żadna hańba towary, choćby i niemieckie, po sklepach rozwozić, a czasem jedynie coś z urzędu do urzędu przewieźć, gdy tak kazali.

Plochowie żyli, czekając, aż wojna się skończy. Mieli nadzieję, że Hitlera pochłonie piekło, jakie sam rozpętał, bo choć rodzina Margot kilkadziesiąt lat temu przybyła na te ziemie z głębi Prus, nikt z jej krewnych nie popierał Austriaka, który chorymi ambicjami tyle zła na ludzi sprowadził.

– Pierdolony mikrus! – Zdarzyło się wykrzyknąć Thomasowi, starszemu bratu Margot, za co zwolniono go z pracy w fabryce drutu, gwoździ i łańcuchów Wilhelma Hagenscheidta, a później wysłano na przymusowe roboty gdzieś do Saksonii i słuch o nim zaginął.

Jego żona i dziecko też nie mieli łatwo. Thomasowa nie chciała, aby syn należał do Hitlerjugend. Niestety, niedawno otrzymała ostrzeżenie, że jeśli chłopak dalej będzie unikał zbiórek, wyślą ją na tydzień do Auschwitz. Po

takim wychowawczym pobycie na pewno wywietrzeją jej z głowy wszelkie bunty.

Wielu było podobnie myślących, choć większość z nich, tak jak Karol i Margot, trzymała język za zębami i zgodnie z zaleceniami Kościoła, a przede wszystkim biskupa Stanisława Adamskiego, bez protestów wypełniała ankiety, które były potem podstawą do nadania odpowiedniej grupy na liście narodowościowej.

Mimo że byli rodziną, Margot została wpisana do kategorii II jako osoba przyznająca się do narodowości niemieckiej i kultywująca kulturę swojego narodu, aczkolwiek w sprawach politycznych zachowująca się biernie. Karola, jak większość Ślązaków, wpisano do kategorii III, bo choć był narodowości polskiej, zawarł małżeństwo z Niemką i był dla nadających kategorie interesujący z racji wykonywanego zawodu.

Powodów nadania takiej czy innej kategorii było wiele. Wszak od pokoleń krew polska mieszała się tu z niemiecką, ludzie mówili w obu językach i zawsze znalazła się jakaś babka albo praprababka, która mogła stanowić podstawę nadania niższej lub wyższej kategorii, w zależności od potrzeby. Naziści skrupulatnie wszystko weryfikowali.

\*

Autobus zatrzymuje się na kolejnym przystanku, a Karol bezmyślnie patrzy na ogłoszenia przyklejone na słupie. Szwabacha krzyczy z nich drukowanymi literami. Ogromny afisz, jeszcze niedotknięty miejskim kurzem, po raz kolejny nawołuje do zaprzestania używania języka polskiego. Obwieszczenie zostało tak umieszczone, że zasłania nieco inne, które przypomina o trwającej akcji Winterhilfswerk, czyli dobrowolnej zbiórce pieniędzy i zbędnych dóbr na rzecz wspólnoty narodowej. Z błękitnego plakatu do udziału w akcji zachęca dwoje uśmiechniętych dzieci. Na koszulach mają odznaki Hitlerjugend i Jungmädelbund.

Wzrok Karola ślizga się po plakatach. Nagle jednak czuje chłód, jakby drzwi mającego już ruszać autobusu znów się otworzyły. Po chwili mężczy-

zna orientuje się, że to nie niska temperatura sprawiła, że raptem przeszły go dreszcze. Barwny afisz, którego stara się nie czytać, obwieszcza mieszkańcom, że gilotyna znajdująca się w więzieniu przy Nikolaistrasse 10 znów opadła.

Karol boi się, że na groteskowych klepsydrach od pięciu lat znaczących śląskie miasta zauważy w końcu nazwisko kogoś, kto nie będzie tylko zbiorom czarnych liter na różowym tle afisza.

„Skazany na śmierć za zbuntowanie się przeciwko Rzeszy” – czyta znany mu dobrze slogan. Ile potrzeba, aby uznano, że się zbuntowałeś? Wystarczy słuchać zakazanej stacji radiowej? W zaciszu swojego mieszkania powiedzieć, że Hitler przegrywa wojnę? A może jeszcze mniej?

Autobus rusza dalej ośnieżoną ulicą.

Karol bierze Piotrusia ze rękę i podchodzi do drzwi. Na następnym przystanku muszą wysiąść, aby przesiąść się na tramwaj. W jednym z okien mijanej właśnie kamienicy dostrzega choinkę przystrojoną kolorowymi bombkami. W końcu trwa karnawał. Czas radości.

\*

– Co będzie, gdy wejdą? – Karol swoje najskrytsze lęki potrafi wypowiedzieć głośno jedynie przed starym nauczycielem. – Myślicie, że będą aresztować tych, co współpracują z Niemcami? Będą procesy?

Już od godziny siedzą w małym mieszkaniu Jana przy szklaneczce nalewki z orzechów włoskich. Karol nie musi pytać, skąd u profesora taki rytas, wiadomo, że im mniej towarów stoi na sklepowej ladzie, tym więcej znajduje się pod nią. Surowe kary wcale nie odstraszą ludzi. Ponoć niektórzy, bardziej obrotni, zdobywali nawet reńskie wina na święta.

Łańcuszek spoczywa w kieszeni Karola, a Piotruś jest tak zajęty kanarkiem znajdującym się w stojącej na kuchennym parapecie klatce, że rozmowa dorosłych zupełnie go nie interesuje. Mimo to Karol przezornie przymyka drzwi dzielące kuchnię od izby.

Czasem jedno dziecięce słowo może prostą drogą doprowadzić na gilotynę. Ploch słyszał już niejedną taką historię.

– Ci, co mają coś na sumieniu, uciekają jak szczury. Raczej nie dopadną tych, co na tej wojnie, na ludzkiej krzywdzie dorobili się fortun – mówi Jan.

Karol przytakuje. Profesor ma rację. Nikt, kto podejrzewa, jak obejdą się z nim wyzwoliciele, nie będzie beczynn timer na nich czekał. Znow przypomnia sobie ciężarówkę stojącą przed sądem specjalnym.

– Ani ze mnie nazista, ani kapitalista – zarzeka się. – Ale mówi się, że oni nas tu wszystkich będą jak Niemców traktować. Zaczną nas rozliczać z volkslisty. – Wzdycha ciężko. – Tak jak Margot, wy też macie II grupę. Czasem myślę, że to dostateczny powód, aby stąd wyjechać. Tylko dokąd?

Stary nauczyciel uśmiecha się łagodnie, ale w tym grymasie jest coś, co mrozi Karolowi krew w żyłach.

– Też boicie się tego nowego początku? – pyta niepewnie Ploch.

Dopiero zadawszy to pytanie, uświadamia sobie, że Jan był kiedyś Johaniem, który za pochodzenie stracił pracę oraz imię, choć na Śląsku, tak jak rodzina Margot, mieszkał całe życie.

– Może nie będzie tak źle... – Karol próbuje pocieszyć sam siebie. – Nasz kierownik mówił ostatnio, że oni, tam w Związku Radzieckim, zupełnie się wykrywawili. Stracili prawie wszystkich mężczyzn, a przecież po wojnie będzie trzeba rąk do odbudowy kraju. Tu są kopalnie, huty. Potrzeba ludzi. Muszą zostawić nas w spokoju, bo nie będzie miał im kto węgla wydobywać.

Jan kiwa głową. Chce coś powiedzieć, ale przerywa mu nagły krzyk dziecka. Obaj mężczyźni podrywają się z krzeseł. W tej samej chwili drzwi kuchenne się otwierają i do izby wpada przerażony Piotruś.

– Uciekł mi! Kanarek mi uciekł! – Woła, zanosząc się płaczem. – Ja nie chciałem, nie wiedziałem...

Chłopczyk trzęsie się jak osika, nie wiadomo, czy bardziej z żalu, czy ze strachu przed karą.

Karol omija płaczącego synka i wbiega do kuchni. Klatka jest otwarta i pusta, ale okno zamknięte. Mężczyzna rozgląda się, licząc, że ptaszek siedzi na byfyju<sup>[13]</sup> albo romie<sup>[14]</sup> i tylko wystraszył nieuważnego chłopca, ale kanarka nigdzie nie widać.

– Przeleciał przez tę szparkę. Nie wiedziałem, że tak potrafi. Chciałem tylko, aby sobie polatał po kuchni. – Chlipie dalej Piotruś, wskazując na coś palcem.

Karol unosi głowę i widzi, że górna część okna jest uchylona. Sam nie potrafi uwierzyć, że ptaszek uciekł przez taką szczelinę.

Otwiera okno na oścież i wychyla się, ale nieszczęśnika nie ma nigdzie w pobliżu.

– Dlaczego uciekł? – Piotruś przytula się do ręki Jana, który też wygląda za swoim małym podopiecznym.

Nauczyciel pochyła się i głaszcząc chłopca po włosach, które mają identyczny kolor jak włosy jego ojca, są ciemne niczym heban. Jest mu przykro, ale nie chce pokazać smutku malcowi, nie zamierza go też karać. Żal, który jest widoczny w oczach Piotrusia, i tak jest ogromny.

– Pewnie wierzył, że będzie mu lepiej, gdy stanie się wolny – mówi starszy pan powoli i z namysłem.

– Naprawdę? – Piotruś z nadzieją spogląda raz na ojca, raz na Janoscha.

Obaj mężczyźni przytakują równocześnie i obaj oczami wyobraźni widzą czarne wrony, które pewnie krążą już nad małym, kolorowym ptaszkiem.

\*

Karol po raz pierwszy wychodzi od Janoscha przygnębiony. Jedną ręką przytrzymuje za kołnierz synka, aby ten nie przewrócił się na śliskim chodniku, drugą trzyma w kieszeni, dotykając pudełka, w którym znajduje się prezent dla Margot. Chce jak najszybciej wsiąść do tramwaju, a potem do autobusu i przejechawszy kilka przystanków, w końcu znaleźć się w domu.

Żona jest mu dziś potrzebna. Musi się do niej przytulić i przeprosić za złe słowa, które powiedział jej rano. Dopóki tego nie zrobi, dzień nie stanie się

lepsy.

– Tato, zobacz! – Nagle Piotruś ciągnie ojca za płaszcz. W głosie dziecka znów słychać przerażenie.

Karol, wyrwany z zamyślenia, zaczyna rozglądać się wokół, szukając leżącego na śniegu ciała rozszarpanego ptaszka, lecz to, co dostrzega, jest jeszcze gorsze.

Niestety, są już zbyt blisko, aby zawrócić albo skręcić i zejść im z drogi. Zasłonienie Piotrusiowi oczu też na nic się nie zda, zbyt wiele zdążył już zobaczyć.

– To więźniowie obozu Eintrachthütte na Zgodzie – odzywa się niespodziewanie mężczyzna, który chwilę wcześniej przystanął na chodniku obok ojca i syna.

Potworne widowisko zaczyna przyciągać coraz więcej gapiów. Od zarańia dziejów ludzi podnieca widok krwi.

– To podobóz Auschwitz – dodaje szeptem nieznajomy, a Karol zupełnie się temu nie dziwi, bo samo słowo Auschwitz budzi w ludziach lęk.

Z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc o obozie koncentracyjnym pod Oświęciami krąży coraz więcej plotek. Obojętnie, jak bardzo naziści starają się ukryć to, co działo się za kolczastym drutem, porażające wieści zaczynają przedostawać się na zewnątrz. Ludzie przecież mają znajomych, rodziny. Każdy coś widział, gdzieś pracuje albo zna kogoś, kto mieszka w pobliżu.

– To już któraś grupa z kolei. Pracowali w hucie przy produkcji dział przeciwlotniczych. Część więźniów wywieźli stąd już w grudniu. Teraz pędzą resztę, ponoć mają ich przewozić pociągami do Mauthausen.

Karol kiwa głową na znak, że słyszy, co mówi mężczyzna, ale nie potrafi się odezwać. To, na co patrzy, powoduje, że zaciska mu się gardło.

Więźniowie obozu pracy, wychudzeni, w ledwie zasłaniających ciała strzępach ubrań, idą środkiem ulicy okrążeni przez SS-manów prowadzących na krótkich łańcuchach głośno ujadające psy. Kapo poganiają maszerujących mężczyzn, krzyczą i biją pałkami tych, którzy opóźniają marsz.

Cały czas słycać głośne jęki i zawodzenia. Niektórzy więźniowie odwracają głowy i patrzą na przechodniów. W zapadniętych twarzach największe wydają się oczy. Karol widzi w nich rzucane w kierunku zgromadzonego tłumu oskarżenia. Odwraca wzrok.

– Co oni zrobili, tato? – Piotruś przytula się do Karola, usta mu drżą. – Są bardzo źli?

Dopiero po dłuższej chwili do Karola dociera, o kogo pyta jego syn. Zaciśka wargi. Nie potrafi odpowiedzieć dziecku, choć chłopczyk wyraźnie na tę odpowiedź czeka. Może łatwiej byłoby mu w nocy zasnąć, gdyby ojciec powiedział, że mężczyzna, który właśnie się przewrócił i teraz jest kopany przez dwóch SS-manów, to morderca albo niebezpieczny przestępca zasługujący na to, co go spotyka.

Nie może jednak okłamać syna, nie może zszargać imienia tych, którzy być może nie przejdą tej drogi do końca.

Ostatecznie nie mówi więc nic.

Gdy ostatni więźniowie znikają z oczu gapiów, Karol bierze za rękę wciąż roztrzęsionego syna i jakby nic się nie wydarzyło, idzie dalej, w kierunku pobliskiego przystanku. Wie, że nie porozmawia z Piotrusiem o tym, czego właśnie byli świadkami. Ani dziś, ani nigdy później. Nie powie też Margot o pędzonych ulicą półżywych ludziach. Po co ma dokładać jej zmartwień? Czemu miałby wypowiadać słowa, którymi ją zrani, a które i tak niczego nie zmienią?

Z każdym kolejnym krokiem Ploch czuje, że coraz mniej boi się wchodzących do Katowic Ruskich. Coraz mniej lęka się wyzwolenia. Zaczyna wierzyć, że plotki o gwałtach na kobietach i bestialstwie wiecznie pijanych Sowietów, którzy wygrywają wojnę tylko dlatego, że dowódcy jednym ruchem dłoni, bez wahania, poświęcają życie tysiące żołnierzy, to tylko nazistowska propaganda. Przecież nic nie może być gorsze od tego, co dziś zobaczyli, gorsze od idei, która wmówiła jednym ludziom, że są lepsi od innych.

Kiedy Karol wchodzi do tramwaju, przez głowę przebiega mu myśl, że wszyscy Niemcy zasłużyli na karę, że widocznie mają we krwi coś złego,

co zmusza ich do robienia strasznych rzeczy, ale potem przypomina sobie łagodne oczy Margot i mądre spojrzenie Janoscha. Przecież w nich też płynie niemiecka krew.

Ludzi trzeba rozliczać, biorąc pod uwagę ich winy i zasługi. Nie można patrzeć na to, z jakiej matki się zrodzili. Karol wierzy, że właśnie tak zrobią ci, którzy jeszcze tej zimy wejdą do jego miasta.

## Zegarek

– Żołnierze każą pootwierać okna! – krzyczy Piotruś, wbiegając do kuchni.

Jest podekscytowany, a w jego oczach błyszczy zniecierpliwienie, tak jak podczas niedawnej Wigilii, gdy nie umiał doczekać się prezentów.

– A więc to już – szepcze Margot i osuwa się na stojący obok pieca fotel. Splata ręce na piersiach i pochyła głowę.

Jest późne popołudnie, przez okno wpadają ostatnie promienie zachodzącego słońca, wydaje się, jakby wszystko było pokryte czerwononiebieską poświatą.

Na bladej twarzy Margot, na jej ufarbowanych blond włosach tańczą cienie.

– Nie mamy się czego bać. – Karol klęka obok żony. – Trzeba tylko zejść do piwnicy i przeczekać. To nie potrwa długo.

Przelotnie zerka na parciany plecak oparty o ścianę. Jest w nim trochę konserw, chleb oraz lekarstwa. Koce, woda, a nawet poduszki i kołdry są już na dole. Znieśli je dziś rano z Piotrusiem. Jeśli będzie taka potrzeba, wytrzymają tydzień albo dłużej.

Ogłoszona wczoraj ewakuacja ludności cywilnej nie sprawiła, że mieszkańcy tej i innych kamienic rzucili się do ucieczki. Ci, co mieli wyjechać, zrobili to po piętnastym stycznia, gdy zaczęto ewakuować Zagłębie Dąbrowskie. Wiadomo było, że Ruscy się tam nie zatrzymają.



Jeszcze wczoraj u większości ludzi nadzieja przeważała nad strachem. W mieszkańcach Katowic tliło się złudne poczucie bezpieczeństwa. Szeptano, że już niedługo będzie po wszystkim i przyglądano się, jak saperzy zaminowują to, co nie mogło wpaść w łapy przeciwnika. Żołnierze Wehrmachtu i Volkssturmu niby przygotowywali się do obrony, ale w głębi ducha czekali tylko na rozkaz opuszczenia miasta.

– A Mechtal<sup>[15]</sup>? – Margot podnosi głowę i przeszywa męża wzrokiem. Nie wierzy już w jego pocieszenia.

Karol nie mówi zatem nic więcej. Choć przecież ma w zanadrzu wiele słów, jakimi karmią się przerażeni ludzie, którym ktoś kiedyś powiedział, że najgorsze, co może ich spotkać, to utrata nadziei.

Margot jest bystra. Dobrze wie, że Mechtal to nie plotka. Wiadomości o tym, co dzieje się w tej niewielkiej miejscowości, która po plebiscycie została po stronie niemieckiej, gruchnęła w Katowicach, zanim ludzie wybudzili się z niespokojnego snu, nim zdążyli zjeść lichego posiłku i wpaść w letarg kolejnego dnia oczekiwania.

Dowodzony przez generała majora Aleksieja Naumowa 118 Korpus Armii Czerwonej bez wysiłku niszczy opór resztek oddziału Volkssturmu. Co prawda walki wciąż trwają, ale wiadomo już, że Mechtal zostanie zdobyty.

– Piechota morduje cywili. Skośnoocy żołnierze w zielonych mundurach wyciągają mężczyzn z piwnic i rozstrzelują. Kobiety traktują jak wojenne trofea. Nikomu nie przepuszczają. Są jak dzikie zwierzęta. Wataha wygłodniałych psów. – Ulicami płyną szepty, które następnie wpełzają do domów, mieszkań oraz umysłów ludzi.

Niektórzy, aby uspokoić samych siebie i nie popaść w obłąd spowodowany strachem, próbują jakoś te zbrodnie tłumaczyć. Wszak Mechtal był niemiecki. Do Polski zabrakło im kilku metrów, choć trzy czwarte mieszkańców o tę Polskę w plebiscycie błagało. Tam są Niemcy, tu Polacy. Trudno, tak chciała historia. Kierujący natarciem pewnie dobrze znają przebieg przedwojennej granicy i inaczej będą traktować katowicką ludność. Stąd nie trzeba uciekać, tak jak z Gleiwitz<sup>[16]</sup>, Hindenburga czy Beuthen, nie trzeba panikować. Tu jest Polska!

Karol dotyka policzka żony, a potem wstaje, podchodzi do okna i otwiera je na oścież. Przez chwilę stoi tak, wdychając rześkie powietrze, potem podnosi plecak i zarzuca go sobie na ramię.

– Chodźmy – mówi, patrząc na stojącego w drzwiach synka. – Trzeba sprowadzić Omę<sup>[17]</sup> na dół. Już czas.

\*

Weszli! Depczą ulicę za ulicą, choć jeszcze miesiąc temu Fritz Bracht krzychał przez radiowe odbiorniki, że nawet na nich nie staną. Nalot ruskiej szarańczy obwieszcza huk wybuchów i dźwięk tłuczonego szkła. Widocznie nie wszyscy pozostawili okna otwarte.

Piotruś tuli się do Margot i cicho płacze, przestraszony hałasem. Na nic już nie czeka, nie podchodzi do piwnicznego okienka, aby sprawdzić, czy „już idą”.

Ludzie patrzą po sobie bez słowa.

Nagle matka Margot, najstarsza mieszkanka kamienicy, zaczyna się modlić po niemiecku, bo tylko w takim języku potrafi wznosić do Boga prośby. Sąsiedzi patrzą na nią przerażeni, ale gdy Margot próbuje uciszyć schowaną matkę, która widocznie nie rozumie, że teraz nie wolno już używać jej ojczyściego języka, inni dołączają do modlitwy. Szepczą słowa w językach, które są im najbliższe: po polsku, po niemiecku, po śląsku. Bóg przecież wszystko rozumie.

Modły jednak nie uspokajają czekających w piwnicy. Ich myśli zaczynają krążyć wokół tego, co pozostawili w mieszkaniach. Czy na pewno wyrzucili z nich wszystko, co było niemieckie? Czy spalili gazety, zniszczyli robione jeszcze przez prababki makatki z napisami *Alle Morgen, ohne Sorgen*<sup>[18]</sup>?

Nagle Margot sztywnieje. Karol widzi, jak żona blednie.

– Pamiątka – szepcze do męża, z trudem łapiąc oddech.

– Jaka pamiątka? Margot, jaka pamiątka? – Ploch chwyta żonę za rękę. Jest lodowata. Karol boi się, że ślubna ze strachu dostała gorączki.

– Nie ściągnęłam jej. – Kobieta zaczyna się nerwowo tłumaczyć. – Mojej pamiątki pierwszej komunii. Wciąż wisi nad drzwiami. Tam wszystko jest po niemiecku – kończy już prawie bezgłośnie i wyrywając dłoń z uścisku Karola, wstaje i zaczyna chodzić po piwnicy.

Po twarzach innych widać, że i oni o czymś sobie przypominają, wielu z nich czegoś nie zniszczyło albo nie schowało. Przecież nawet ci, co tu zawsze Polski chcieli i nigdy niemieckością się nie skalali, nie są całkiem czysti. Kwitek z kawiarni, puszka po herbacie, w której trzymało się oszczędności, ulotka nieopatrznie zabrana na ulicy. Jeśli ktoś przeszuka szuflady i szafki w byfyju, znajdzie w nich wiele zapisanych szwabachą słów.

– My dla nich wszyscy Niemcy... – szepcze Karol.  
Już wie, że ich nie wyzwolą, ale rozdepczą.

\*

Są. Idą całą szerokością ulicy. Ostrożnie. Trzymając przed sobą broń gotową do strzału.

Nie wyglądają groźnie. Sprawiają raczej wrażenie zagubionych. Zatrzymują się przy kolejnych bramach. Zazwyczaj wchodzą do środka dwójkami. Długo ich nie ma, ale nie słychać też strzałów ani krzyków, a przecież wszędzie są ukryci ludzie. Niektórzy, głównie starzy, nawet nie zeszli do piwnic.

Jedynie gdzieś w tle wciąż słychać huk wybuchających ładunków. Niebo zasnuwa dym. Rynek płonie.

Ludzie znów zaczynają się modlić, ale tym razem tylko ci, którzy potrafią robić to po polsku. Proszą, aby stało się coś, co powstrzyma żołnierzy przed przeszukiwaniem kolejnych domów.

Tej prośby Bóg jednak nie wysłucha. Nie ma komu powstrzymać zwiadowców. Niemcy dawno już się wycofali, a ci, którzy nie zdążyli, leżą zdziesiątkowani, wzięci w krzyżowy ogień wyzwolicieli.

W końcu i w ich sieni słychać odgłosy kroków. Kilku mężczyzn przystawia uszy do drzwi piwnicy.

– Idą na górę. Wchodzą do mieszkań – mówi dozorca, pan Franciszek Zawada. – Został tam ktoś?

Mieszkańcy domu pod numerem ósmym kręcą głowami. Nikogo nie znajdują. Wszyscy zeszli na dół.

I znów czas wlecze się w nieskończoność. Kroki, odgłos drzwi uderzających o ścianę, a potem cisza. Niepokój pali ludzi w gardłach. Margot wymiotuje w kącie.

– Schodzą. – Głos pana Franciszka jest ochrypły i zmieniony.

Wstaje i otwiera na oścież drzwi piwnicy.

– Ukrywamy się przed walkami na zewnątrz, nie przed ludźmi – tłumaczy, choć nikt nie protestuje, gdyż wiadomo, że i tak ich znajdują. – Nie mamy czego się bać – powtarza to, co wszyscy powtarzali sobie przez ostatnie dni.

Te słowa stają się ich kolejną modlitwą.

\*

Pierwszy krasnoarmista, który na nich patrzy, wcale nie ma skośnych oczu, ma za to nie więcej niż osiemnaście lat. Zaczerwienione mrozem bądź strachem policzki wyróżniają się na tle bladej twarzy, na której widać młodzieńcze wypryski.

Karolowi przychodzi do głowy myśl, że ten młodziak pewnie lepiej posługuje się karabinem niż brzytwą do golenia. Potem często będzie do tej myśli wracał, dziwiąc się, skąd wówczas na niego spłynęła.

Przez chwilę wszyscy patrzą na siebie w milczeniu. Napięcie rośnie.

– *Hermany?! Hermany?!* – zaczyna nagle krzyczeć żołnierz i jakby przypominając sobie, po co wszedł do piwnicy, mierzy z karabinu do stłoczonych w środku ludzi.

Rozlega się płacz dzieci. Karol osłania swoim ciałem Margot i Piotrusia.

– *Hermany?* – ponownie odzywa się żołnierz.

– Niemcy? – szepcze pan Franciszek. – Jemu chyba chodzi o Niemców – mówi głośniej, zadowolony, że zrozumiał pytanie chłystka. – Nie ma tu Niemców. My Polacy. Polacy – powtarza raz po raz.

To zapewnienie sprawia, że na twarzy wyzwoliciela pojawia się ulga.

Choć nadal trzyma przed sobą broń, ludzie zaczynają wierzyć, że dziś nikt nie zginie.

Przez moment znów słyhać jedynie przyspieszone oddechy. Żołnierz wycofuje się powoli. I gdy jest już przy samych drzwiach, nagle, jakby czymś ośmielony, robi krok do przodu i wyżej unosi broń.

– *Chasy! U tebya yest' chasy*<sup>[19]</sup>?

Zgromadzeni patrzą po sobie bezradnie. Są zdezorientowani i wystraszeni, bo nie wiedzą, czego tym razem chce od nich młody żołnierz. A ten jest coraz bardziej wzburzony. Najwyraźniej drażni go fakt, że nikt tu nie rozumie jego języka.

– *Chasy! Chasy!* – krzyczy coraz głośniej.

Karol przypomina sobie coś, co na temat Sowietów mówiła niemiecka propaganda.

– On chce nasze zegarki – wyjaśnia.

Ponoć tam, gdzie wchodzi Ruscy, kradzione są zegarki i obrączki. Żołnierze wyrywają też krany ze ścian.

– Dajcie mu zegarki – rozkazuje Ploch i sam podciąga mankiet koszuli.

Gdy zaczyna odpinać pasek, czerwonoarmista się uspokaja.

Tylko niektórzy z mężczyzn robią to, co Karol. Choć przecież zegarki na nadgarstkach ma tu większość.

Trudno, Ploch nie żałuje poniesionej ofiary.

Zegarek czy obrączka są bez wartości dla trupa. Trzeba żyć, aby kiedyś móc sobie kupić nowe. Przede wszystkim trzeba przeżyć.

## Złoci się sierp

Margot, stojąc na krześle, próbuje zawiesić na oknie biało-czerwoną flagę. Męczy się i denerwuje, bo sznureczki są pourywane, a materiał postrzępio-ny, więc kobieta musi uważać, aby nie popruł jej się w rękach.

Karol przygląda się żonie i czuje ulgę, że nie dostał od kierownika flagi radzieckiej albo chorągwi partyjnej.

Dziś Katowice znów świętują. Ogłoszono nawet dzień wolny od pracy, aby cały lud pracujący, górnicy, hutnicy i kolejarze mogli zjawić się na ulicach ze sztandarami i proporcami.

Ploch wpatruje się w zgrabne łydki żony i zastanawia się, ile uroczystości przeżył w ciągu ostatniego miesiąca, od czasu, gdy odważywszy się wyjść z piwnicy, nagle znaleźli się w nowej rzeczywistości.

Jeszcze nie zdołano ugasić podpalonych przez wkraczających do miasta czerwonoarmistów kamienic, nie zdążono zamieść szkła ścielącego się na chodnikach, a już zgromadzono na rynku ludzi i zorganizowano uroczystość z okazji przybycia do Katowic polskiego wojska.

Dzień później w pierwszych numerach polskich gazet pisano o radości obywateli i dumie obserwujących przemarsz przedstawicieli Tymczasowego Rządu Rzeczypospolitej. W pierwszym numerze „Dziennika Zachodniego” poświęcono aż trzy kolumny, aby opowiedzieć czytelnikom o łzach wzruszonego ludu i dzieciach rzucających kwiaty w stronę maszerujących chłopców.

I była to prawda, bo ludzie, widząc polskie mundury, poczuli się bezpieczniej.

– Nasi! Nasi idą! – Słysząc było pojedyncze okrzyki, ale nawet ta radość nie mogła osuszyć łez, które wynikały ze strachu, głodu i zimna, bo Katowice wciąż nękanie były brakiem chleba i prądu.

Wyzwoliciele, przechodząc przez miasto, łupili wszystko, co się dało. Ze sklepów delikatesowych kradli nawet ocet, bo butelki przypominały im te

z wódką. Zostały po nich połamane półki, zniszczone lady i jeszcze więcej potłuczonego szkła.

Karol cieszy się, że w Katowicach nie pozostawili tak wielu zgwałconych kobiet i zastrzelonych mężczyzn. Ocet i chleb okazały się bardzo niską ceną za wolność.

– Piotruś pójdzie ze swoją klasą? – pyta żony Ploch, bo nagle zaczyna go drażnić cisza panująca w izbie. Chce zagłuszyć czymś myśli.

Margot przytakuje.

– Dzieci idą razem. Będą nieść chorągiewki. Potem starszaki odśpiewają hymny: polski i radziecki.

Karol nie potrafi wyjść z podziwu. Nieco ponad miesiąc temu szedł z Piotrusiem przez niemieckie jeszcze miasto. Teraz mieszka w polsko-radzieckim.

– I jak on sobie radzi? – dopytuje, czując nagły ucisk w żołądku.

Kobieta odwraca się, patrzy na ślubnego z góry, a gdy ten podchodzi do krzesła, na którym stoi, Margot obejmuje jego głowę i przytula do swojego brzucha.

– Najważniejsze, aby nie mówił po niemiecku – szepcze do męża. – Codziennie mu to powtarzam.

Karol wdycha zapach szarego mydła, którym pachnie fartuch Margot, i przypomina sobie swoje dzieciństwo. Wychował się w domu, w którym wszyscy znali język polski – język ojców, jak to mówiła babka Karola, prawnuczka osadnika przybyłego na te tereny krótko po tym, jak książę opolski Władysław nadał Gliwicom, gdzie się osiedlił, prawa miejskie. Karol urodził się już w Katowicach i nie było nic dziwnego w tym, że choć w jego domu mówiono po polsku, w szkole, na podwórku i na ulicy chłopczyk posługiwał się językiem niemieckim. Wszak w 1908 roku, gdy jego matka z wysiłkiem i obawą pozwoliła mu po raz pierwszy spojrzeć na świat, Polska nie istniała, a Cesarstwo Niemieckie rosło w siłę, zdobywając właśnie liczne medale na letnich igrzyskach olimpijskich.

Kiedy po Wielkiej Wojnie ustanowiono tu Polskę i z dnia na dzień wszystko się zmieniło, Karol dziękował babce za to, że tak o tę polską mowę dbała, bo dzięki temu łatwiej było mu ukończyć naukę i znaleźć pracę.

Ploch wiedział, że na Śląsku, który wciąż przechodzi z rąk do rąk, zarówno język polski, jak i śląski czy niemiecki są potrzebne, aby dobrze żyć i unikać problemów. Mówił zatem do swojego pierworodnego wyłącznie po polsku, ale przymykał oko, gdy Margot i jej matka uczyły Piotrusia niemieckich wyliczanek oraz wierszyków.

Teraz mógł być spokojny o syna. Chłopiec na pewno poradzi sobie w nowej szkole. Bo jeśli nawet wymuskną mu się jakieś niemieckie słówka, kiedy dostanie raz i drugi linijką od nauczyciela, zapamięta, że teraz już używać ich nie wolno. Przynajmniej poza domem.

Język niemiecki został wymazany. Szyldy sklepów zerwano, nazwy ulic zamalowano. Karol nawet rozumiał tę nienawiść. Był to przecież język wroga, język kogoś, kto zbudował Stutthof, Oświęcim, Majdanek, kto mordował cywilów i torturował dzieci w piwnicach gestapo. Ploch nie może zapomnieć widoku więźniów gnanych przez Świętochłowice i konających w marszu. Ale wie również, że ten język należy do wielu tutejszych ludzi, że jest to język, w którym mamy nuciły kołysanki swoim maleńkim dzieciom, młodzi chłopcy wyznawali miłość dziewczynom, a mężczyźni śpiewali radosne piosenki przy piwie.

Język nie jest niczemu winien, za język nie powinno się karać.

\*

– Chyba niepotrzebnie się baliśmy. Zobacz, żyjemy. – Margot uśmiecha się, gdy godzinę później idą razem pod rękę w stronę placu Wolności, choć w ich głowach to wciąż Wilhelm Platz. Trudno zmienić przyzwyczajenie w ciągu kilku dni.

Dzień jest słoneczny i to żona nakłoniła Karola, aby wykorzystując jego urlop, poszli dłuższą drogą i nacieszyli się sobą oraz słońcem, próbując nie



dostrzegać tego, co przykre.

Gdy przechodzą obok kina Rialto, które dopiero kilka dni temu odzyskało swoją przedwojenną nazwę, Karol gładząc odzianą w miękką rękawiczkę dłoń żony, znów wraca wspomnieniami do czasów ich pierwszych spotkań. Może to wiek, a może zbliżająca się okrągła rocznica ślubu sprawiają, że staje się nieco sentymentalny.

– Pamiętasz, byliśmy tu na pierwszej randce – mówi, unosząc głowę i patrząc na okazały gmach. – Co wtedy grali?

– Naprawdę sobie nie przypominasz? – Margot śmieje się i wpatruje w męża wyczekująco.

– Coś innego bardziej mnie wtedy interesowało – odpowiada Karol prowokacyjnie. – Przecież nie dla Dymyzy zostaliśmy wówczas aż na dwóch seansach.

– Nie? – Kobieta szelmowsko unosi brew, a potem delikatnie całuje męża w policzek. – Oczywiście, że nie... – szepcze mu do ucha.

Ruszają dalej. Nie mogą się spóźnić na uroczystości, a ona chce jeszcze przejść Dworcową, aby zerknąć na kamieniczkę, w której niegdyś mieścił się ich zakład fryzjerski. Przecinają boczną uliczkę i wchodzą na Friedrichstrasse, a raczej Warszawską. Obojgu mieszają się w głowach stare i nowe nazwy ulic. Ile czasu minie, zanim przyzwyczają się do zmian?

Im bliżej rynku podchodzą, tym widok staje się bardziej przygnębiający. Zniszczenia pozostałe po wyzwaniu miasta są ogromne. Margot zatrzymuje się przy witrynie Cafe Otto. Dziś lokal jest zamknięty, choć funkcjonował nieprzerwanie przez całą wojnę.

– Gdy tylko ponownie otworzą, zabiorę cię tu na kawę – obiecuje Karol, próbując odegnać ogarniające ich przygnębienie.

Wie, że to miejsce zachwyca jego żonę. Kobieta uważa, że to najelegantsza kawiarnia w mieście. Aby do niej wejść, trzeba minąć wytwornego, acz stanowczego portiera ubranego w uniform, bo byle kto nie może przecież zasiąść przy marmurowych stolikach, aby w rozświetlonej kryształowymi

żyrandolami sali raczyć się serwowanymi przez kelnerów delikatesami rodem z samego Wiednia.

Karola i Margot nie stać na luksus oferowany przez Liboriusa Otto, ale teraz, po wszystkim, co przeżyli, Ploch pragnie, by jego żona spełniła swoje marzenie.

Margot uśmiecha się do męża, być może już ciesząc się na obiecaną przyjemność, a może po prostu czując miłość, która stoi za tą obietnicą.

To szczęście, że kamienica, w której znajduje się kawiarnia, ocalała. Wiele sąsiadujących z nią domów doszczętnie spłonęło. Karol zerka na gruzowisko, które jeszcze przed kilkoma dniami było eleganckimi delikatesami Emila Misery. Widzi plamy krwi na ceglach i dziwi się, że Margot ich nie dostrzega, choć jednocześnie cieszy się, że żona nie pochmurnieje jeszcze bardziej.

– Ostatnio czytałam anons Polskiego Radia – mówi Margot, poprawiając zsuwający się na czoło kapelusz. – Proszę ludzi o przynoszenie płyt z polską muzyką. Czy my przypadkiem nie mamy kilku w pudełku na strychu? Dostaliśmy je kiedyś od twojego ojca. Może warto byłoby je zanieść? I teatr znów działa – dodaje, gdy przechodzą przez rynek. Kobieta patrzy na budynek teatru, jakby nie dostrzegając zniszczeń wokół niego. – Tam, gdzie dba się o kulturę, nie może dziać się chyba nic złego, prawda?

Karol chce wierzyć w to tak mocno, jak Margot. Pragnie, aby i jego dotknęła zbiorowa amnezja, której właśnie jest świadkiem.

Minął miesiąc i nikt już nie chce o niczym pamiętać ani o niczym słyszeć. „Wojna ma swoje prawa”, mówią ludzie, spoglądając na rozdęte brzuchy wyzwalanych kobiet. „Było, minęło”, stwierdzają na wspomnienie bliższych, którzy stycznią nie przeżyli.

\*

– Zobacz. Jest? – Margot wskazuje palcem na dzieci stojące pod jeszcze nieodsłoniętym pomnikiem. Wszystkie trzymają w dłoniach chorągiewki. Piotruś ma czerwoną ze złotym sierpem i młotem.

Kobieta unosi rękę i macha do synka, próbując precyzyjnie się przez wciąż powiększający się tłum.

– Wkrótce zaczniemy normalnie żyć – mówi do Karola pełna wiary.

I Karol przez moment też prawie w to wierzy, bo przecież wszystko jakoś się toczy. Nie stracił pracy, nie wyrzucili go z mieszkania. Nowy rząd codziennie obiecuje, że kłopoty z zaopatrzeniem są tylko chwilowe, że ci, co pracują, otrzymają kartki i ubezpieczenie, że marki będzie można wymieniać na złotówki. Miasto stoi tak, jak stało, ustrojono je jedynie w nowe dekoracje. Zmieniono powiewające tu i ówdzie flagi.

Wystarczy trochę posprzątać, zamazać co nieco świeżą farbą, wywietrzyć smród.

A jednak spokój, którym na moment zaraziła go Margot, szybko znika. Ploch nie potrafi wymazać z pamięci krótkiej notatki, nieśmiało wciśniętej z boku pierwszej strony „Dziennika Zachodniego”. To obwieszczenie, które Margot najwidoczniej przeoczyła.

*Niech jednak żaden Niemiec nie sądzi, że brak natychmiastowego i zbiorowego odwetu jest dowodem polskiej słabości na tych ziemiach. Niech się żadnemu z zamaskowanych hitlerowców nie zdaje, że go ręka polskiej sprawiedliwości nie dosięgnie.*

*Ci, którzy znaleźli się po naszej stronie, muszą podporządkować się zarządzeniom władz polskich z całkowitą lojalnością. Muszą oni wydać z siebie wszystkich hitlerowców, gestapowców, partyjniaków i tych, którzy działali na szkodę Państwa Polskiego podczas okupacji. To samo dotyczy się „giętkich” narodowo, co wczoraj byli Niemcami, dziś udają nie mniej dobrych Polaków.*

*Władze polskie zajęte są jeszcze ważniejszymi problemami niż załatwianie poruszanego zagadnienia. Ale stanowisko ich w tej sprawie jest zdecydowane. Niech żaden z Niemców lub ich przyjaciół nie próbuje ryzykować<sup>[20]</sup>.*

Słowo „Niemców” dudni w uszach Karola, prawie zagłuszając *Mazurka Dąbrowskiego*, którego właśnie zaczęła grać orkiestra. Szmer cichną. Na-

wet najmłodsze dzieci stają na baczność. Przedstawiciele nowych władz z prezydentem miasta, inżynierem Wesołowskim, i pełnomocnikiem rządu, generałem Zawadzkim, na czele patrzą z zadowoleniem na swoich poddanych, na ludzi, którzy okazali się tak podatni na wpływ oraz plastyczni.

Powoli opada płachta materiału, odsłaniając obelisk ozdobiony czerwoną gwiazdą – symbolem Związku Radzieckiego. „Wyzwolicielom – Armii Czerwonej – Polacy, 27 stycznia 1945 roku” ogłasza błyszczący w słońcu napis, który Karolowi zabiera na chwilę oddech. Mężczyzna zerka na żonę. Margot też przestała się uśmiechać. Cały plac milknie. Ludzie patrzą po sobie, jakby dopiero teraz zrozumieli, w czym biorą udział. Ta chwila jest jednak zbyt krótka, aby historia zdołała ją zapamiętać.

– Niech żyją! – Rozlega się czyjś krzyk.

– Dziękujemy! – Dołączają do niego inne głosy.

I znów dziecięce chorągiewki falują, znów plac Wolności przepęlnia radość i mdlący zapach składanych pod pomnikiem kwiatów.

„Wystarczy to przeczekać” – myśli Karol, przypominając sobie inne stojące na tym placu pomniki. Choć ma zaledwie trzydzieści siedem lat, pamięta je wszystkie.

Gdy był dzieckiem, przychodził tu, by przyglądać się dwóm cesarzom, Wilhelmowi I Hohenzollernowi, który nadał Katowicom prawa miejskie, i jego synowi Fryderykowi III, dumnie patrzącym na miasto z wysokiego cokołu. Potem, kiedy na tych ziemiach nastąpiła Polska, cesarzy Hohenzollernów wysadzono w powietrze, a na pozostałościach obelisku zaczęto składać kwiaty Nieznanemu Powstańcowi Śląskiemu. W tych uroczystościach Płochowie również brali udział. W 1939 roku wkraczające do Katowic wojska niemieckie zniszczyły Grób Nieznanego Powstańca, a na jego miejscu postawiły obelisk ku czci poległych żołnierzy Wehrmachtu. Teraz pomnik upamiętni czerwonoarmistów.

Karol obejmuje Margot.

– Tylko kwiatom jest obojętnie, gdzie umierają – szepcze, ignorując pełne zdziwienia spojrzenie żony.

## Biało-czerwona opaska

Karol jest tak zamyślony, że omal nie przejeżdża swojego przystanku. Wyskakuje z autobusu w ostatniej chwili i z pochyloną nisko głową rusza w kierunku domu. Jest zmęczony, ale przede wszystkim zaniepokojony.

W sobotę jak zwykle wybrali się z Piotrusiem do Jana Janoscha. Nie zastali jednak nauczyciela w domu, mimo że czekali na niego ponad godzinę. Nie otworzył im też sąsiad, do którego Karol zapukał, chcąc dowiedzieć się, czy może Janosch nie zostawił dla nich jakiejś wiadomości.

Gdy wracali do domu, mężczyzna nie martwił się jeszcze za bardzo, różne rzeczy mogły się przecież wydarzyć. W dodatku rozweselał go Piotruś, który aż skakał z radości, bo za zamkniętymi drzwiami usłyszał śpiew ptaszka.

– Wrócił. Tatusiu, kanarek wrócił! – Śmiał się, biegnąc ulicą. Tą samą, na której niedawno widzieli maszerujących więźniów.

„Dziecięca pamięć jest taka krótka” – z ulgą pomyślał wtedy Karol.

A jednak z dnia na dzień nieobecność przyjaciela niepokoiła go coraz bardziej, więc dziś, gdy ze względu na braki paliwa zakończył pracę wcześniej, postanowił wykorzystać ofiarowaną mu godzinę i pojechać ponownie do Świętochłowic.

Niestety, Jan znów mu nie otworzył. Tym razem Ploch poczuł strach. Nie było możliwe, aby nauczyciel wyjechał na dłużej bez rozmowy z nim. Coś musiało się wydarzyć i nie mogło to być nic dobrego.

Karol tak długo pukał do pomalowanych czerwoną farbą drzwi naprzeciwko mieszkania rektora, że w końcu ktoś wewnątrz przekręcił skobel.

– Czy Jan Janosch gdzieś wyjechał? Może coś wam mówił? – zapytał.

– Jõ nic niy wiym – wyszeptała kobieta, może trochę starsza od Margot. – Niczego niy umię wõm pedzieć.

Karol ją pamiętał. Mijali się czasem, kiedy szedł do Janoscha. Uśmiechała się wtedy przyjaźnie, a raz poczęstowała nawet Piotrusia jabłkiem, które akurat niosła w koszyku.

Teraz wyraz twarzy sąsiadki jest poważny, Karol mógłby nawet stwierdzić, że w jej oczach zauważył wrogość, choć być może był to jedynie cień padający zza ledwie uchylonych drzwi. Bo jakie powody do złości na dobrodusznego Janoscha mogłaby mieć ta kobieta?

– Idźcie już stōnd i mi gowy niy zawracajcie, bo ślubnego zarōż zawo-  
lōm – zagroziła nerwowo, gdy Karol próbował jeszcze o coś zapytać. Na-  
stępnie zatrzasnęła drzwi, zanim zdążył się pożegnać. – Z takimi to terōż je  
strach ôzprawiać. – Usłyszał głos dobiegający z wnętrza mieszkania.

Te słowa zaskoczyły go i jeszcze bardziej zaniepokoiły.

Nikt inny Karolowi drzwi nie otworzył, choć słyszał dochodzące z mieszkań szmery, a nawet szepty. Odnosił wrażenie, że mieszkańcy domu tylko czekają, aż sobie pójdzie, aby mogli odetchnąć i kontynuować to, co musieli przerwać, żeby udawać nieobecnych.

Wracając do domu, Ploch nie jest pewien, co w całej tej historii wydaje mu się bardziej niepokojące: zniknięcie Janoscha czy dziwne zachowanie jego sąsiadów.

Przecież gdyby staruszek zasłabł i został odwieziony do szpitala, gdyby nawet umarł, nikt nie wzbraniałby się przed wyjawieniem mu smutnej prawdy. Choroby i śmierć zawsze są interesujące. Ludzie chętnie o nich rozmawiają.

– Ruszać się! Ruszać! Bo będziecie to szkło językami zlizywały!

Ochryply męski głos sprawia, że Karol przystaje i ogląda się za siebie.

Zamyślony nie zauważył wcześniej grupki kobiet wyposażonych w łopaty, które porządkują gruzowisko pozostałe po miejskim ratuszu.

Ploch słyszał, że Sowieci podpalali kamienice tylko po to, aby podążający za wojskiem filmowcy mieli dobre ujęcia do kroniki. Teraz wszyscy mieszkańcy Katowic są wzywani do porządkowania miasta. Nie byłoby nic dziwnego w pracy tej kobiecej brygady, gdyby nie mężczyzna, który obraża i pogania robotnice. Stoi na szeroko rozstawionych nogach, trzymając jedną dłoń w kieszeni kurtki.

Karol pospiesznie odchodzi. Pewnym rzeczom niebezpiecznie jest się przyglądać, choć scena, której przed chwilą był świadkiem, nieco go uspokaja. Być może właśnie to jest przyczyną zniknięcia Janoscha.

Już od jakiegoś czasu gazety i ogłoszenia na słupach informują, że najcięższe prace związane z oczyszczaniem miasta i usuwaniem z niego wszelkich niemieckich śladów będą wykonywali przymusowo posiadacze I i II grupy narodowościowej. Nowe władze uznały ich za zdrajców narodu. Zrównano folksdojczy ze Śląska i tych z Generalnej Guberni. Nikt nie zaprzęta sobie głowy, aby przyjrzeć się bliżej, czym kierowano się tutaj, przydzielając ludzi do poszczególnych grup.

Czy do takiej drużyny mógł zostać zwerbowany również stary Janosch? Karol nie ma wątpliwości, że zaawansowany wiek przyjaciela nie będzie powodem do zwolnienia z tego mającego przynieść upokorzenie zajęcia. Może dlatego sąsiadka nie chciała nic mówić? Może boi się, że sama zostanie wezwana? A może zaczęła brzydzić się starszym, miłym panem, który nagle okazał się parszywym Niemcem?

Uczucie ulgi pryska, kiedy Karol uświadamia sobie, że podobny los może spotkać również Margot. Jeszcze raz spogląda na kobiety. Trudno mu wyobrazić sobie żonę przy takiej pracy. Myśli o tym, jak jego ślubna kaleczy sobie dłonie oraz stopy, jak pył wdziera się do jej oczu i ust, jak jej miękkie loki stają się szare i matowe...

Jest pewien, że Margot poszłaby do pracy bez słowa protestu, bez żadnej skargi pozwoliłaby się obrażać, może nawet bić. Zrobiłaby to, aby konsekwencje jej oporu nie spadły na niego i na Piotrusia, a może nawet na jej matkę, która od kilku tygodni, nie wiadomo, czy to przez stres spowodowany godzinami spędzonymi w piwnicy w styczniu, czy z powodu jakiegoś przeciągu, znów podupadła na zdrowiu i prawie nie ruszała się z łóżka. Żona Karola nie próbowałaby tłumaczyć, jakie ma poglądy i jak bardzo tęskni za bratem, który, wywieziony przez Niemców w nieznane, wciąż nie dawał znaku życia.

Karol zaczyna biec. A jeśli Margot nie ma już w domu? Jeśli już ją zabrali? Od rynku do ulicy, przy której mieszkają, dzielą go dwa kilometry. Po-

trąca przechodniów i omal nie wpada pod przejeżdżającą ciężarówkę. Ktoś grozi mu palcem, funkcjonariusz patrolujący ulice przystaje zaciekawiony. Płoch nie obchodzi jednak teraz nic prócz bezpieczeństwa żony.

Wbiega do bramy, płosząc jakąś całującą się w niej parę, pędzi przez podwórko i przez chwilę siłuje się z drzwiami prowadzącymi do sieni, jakby nagle zapomniał, że klamka jest wypaczona i trzeba mocniej ją przycisnąć, aby otworzyć. Schody na piętro przeskakuje po dwa na raz.

– Jest mama?! – krzyczy do Piotrusia, który zaciekawiony hałasem wygląda zza półotwartych drzwi.

Karol chwyta malca na ręce i wciąż niespokojny wchodzi do przedpokoju. Dopiero wtedy sobie przypomina.

Margot staje przed nim uśmiechnięta. Mężczyzna natychmiast zauważa, że ma na sobie wyjściową sukienkę, którą kupiła jeszcze przed wojną. Pięknie w niej wygląda.

– Akurat dziś musieli cię dłużej zatrzymać w pracy? – pyta z udawaną pretensją, choć Karol wie, że nie jest zła. Teraz robotę trzeba sobie szanować. – Twój rodzice już przyszli i nawet Mutter<sup>[21]</sup> udało mi się nakłonić, aby na chwilę usiadła z nami przy stole. Lepiej się dziś czuje – mówi Margot z przejęciem, prowadząc Karola do izby.

– No, w końcu jesteś! Jużemy chcieli zacząć jeść ten tort bez ciebie – wita się ojciec, klepiąc syna radośnie po plecach.

– Cicho już bądź – karci go matka. – Przecież był w robocie, a nie z kolegami na gorzółce. Jeszcze zdążysz się najeść.

– A czy ja twierdzę, że się gdzieś smykał? Tylko tortu szkoda. Margotka pięknie go ustroiła – broni się mężczyzna.

Karol śmieje się z tego przekomarzania rodziców i jednocześnie sam podziwia stojący na paterze tort. Margot ma talent w dłoniach, nie tylko włosy umie pięknie układać. Leżące na stole ciasto to prawdziwe dzieło sztuki. Trudno mu sobie nawet wyobrazić, ile czasu jego żona wystawała w kolejkach, a potem przy kuchennym stole, aby upiec to чудо. I to jeszcze w tajemnicy przed nim.



To nic, że w dzbanku zamiast prawdziwej kawy jest kakauszale<sup>[22]</sup>, to nic, że podczas późniejszej kolacji zabrakło tradycyjnego szalotu<sup>[23]</sup>, bo Margot nie była w stanie zdobyć nawet tak prostych składników. Nowo rządzący wciąż nie potrafią sprawić, aby katowiczanie nie czuli doskwierającego im każdego dnia burczenia w brzuchach.

Strach, który czuł jeszcze przed chwilą Ploch, znika. Ogarnia go błogość. Siada obok matki i cichej jak zwykle teściowej, która nie tylko z powodu choroby, ale i zbyt słabej znajomości języka, rzadko zabiera głos w rozmowie. Uśmiecha się tylko, gdy Margot nakłada jej na talerz ciasto.

– Jedzcie, Mutter, jedzcie. – Córka mówi do niej łagodnie, głaszcząc ją po siwiutkich, spiętych w kok włosach. – Niech wam idzie na zdrowie.

Piotruś, machając nogami pod stołem, uderza Karola w kostkę. Nerwowo zerka na ojca, czekając, aż ten go upomni, ale Plochowi nic teraz nie przeszkadza. Czuje się, jakby właśnie odzyskał żonę, którą przed chwilą utracił. Rozgląda się, przypatruje bliskim, którzy z apetytem jedzą upieczony przez Margot tort, i prawie nie umie uwierzyć, że gdzieś tam na ulicy grupa kobiet pewnie wciąż odgruzowuje rynek, że w radiu i w gazetach słowo *volksdeutsch* odmieniane jest przez wszystkie przypadki z coraz większą pogardą.

Wszystko, co niepokojące, zostało za drzwiami tego niewielkiego mieszkania na drugim piętrze. Obcy, trudny do pojęcia nowy świat zniknął za dzierganymi na szydełku firankami, które niczym metalowa krata bronią mu dostępu do rodziny Plochów. Karol w swoim mieszkaniu czuje się jak w twierdzy.

– I kto by pomyślał dziesięć lat temu, kiedy się żeniliście, że to wszystko się tak popierdoli.

A jednak na ścianach tej twierdzy też pojawiają się pęknięcia. To jego ojciec, rozochocony wódką, zaczyna politykować.

– Cicho bądź! – Matka przechyla się na krześle i szarpie męża za ramię.

Boi się. Już przywykła, że na tych, którzy rządzą, lepiej nie bluźnić. I za starej Polski tak było, i za Niemca, i teraz za tej nowej, jeszcze nikomu nieznannej władzy też. Stojący w kolejkach ludzie różnie mówią. Nie dalej jak

wczoraj któraś z bab powiedziała jej w sekrecie, że jej sąsiadkę zamknęli w areszcie tylko za to, że zapomniała, jak się po polsku pasztetowa nazywa, więc z przyzwyczajenia poprosiła o leberwurst.

Stara Plochowa zerka na synową i jej matkę – starowinkę, a potem ledwie zauważalnie robi na piersi znak krzyża.

– Byle z tego jakiejś ôstudy<sup>[24]</sup> nie było... – szepcze. – Byle nie było.

\*

Tak naprawdę świętować dzisiejszą rocznicę ślubu zaczynają późnym wieczorem, gdy rodzice Karola wychodzą, a Mutter i Piotruś, zmęczeni przyjęciem, zasypiają.

Mieszkanie Karola i Margot składa się z izby, w której śpią oni oraz Piotruś, a także ogromnej kuchni z wnęką, która w czasach, kiedy całe piętro domu zajmowała tylko jedna rodzina, była służbówką. Tam swoje łóżko ma staruszka.

Dziś Margot zarządza, że Piotruś będzie spał z babką. Żadne z nich nie protestuje. Chłopiec cieszy się, że Oma przed snem opowie mu te bajki, których ani matka, ani ojciec opowiadać tak pięknie nie potrafią. Dla niego noc spędzona w kuchni, wśród tajemniczych zapachów i dźwięków, to święto.

Margot nie robi tego jednak po to, aby sprawić synkowi przyjemność. Kończąc zmywać naczynia, czuje narastającą niecierpliwość. Niestarannie płucze ostatnie talerzyki, niewytarte kładzie na czystą ścierkę rozłożoną na piecu. Do rana same wyschną.

Zlewa do wiadra brudną wodę z miski. Wykręca szmatkę i przeciera nią stół. Jeszcze tyle rzeczy powinna zrobić. Kuchnia wciąż nie błyszczy czystością.

Dziś jednak Margot przymyka oko na własne niedociągnięcia. Nic się nie stanie, jeśli ten jeden raz dokończy rano.

Nim wchodzi do izby, staje przed zawieszonym w korytarzu lusterkiem. Poprawia włosy. Próbuje spiąć kilka wystających kosmyków.

Waha się chwilę, przyglądając się swojemu odbiciu. Muska palcami policzki, zaczerwienione od wykonywanej przed chwilą pracy, przygryza usta, chcąc, aby były czerwieńsze. W końcu rozpina dwa guziki przy kołnierzyku sukienki. Materiał rozsuwa się, ukazując dekolt. Margot marszczy brwi: jest zima, a ona ma tyle piegów. Nie lubi ich, za to lubi piersi, które mimo upływu lat wciąż są jędrne. Traktuje je jak dar od Boga.

Czasem zastanawia się, czy naprawdę jest aż tak próżna. Dobrze wie, że o niej plotkują. Cóż, ma świadomość własnej urody i sprawia jej przyjemność, gdy mężczyźni oglądają się za nią na ulicy. Lubi wtedy myśleć, że wszystko, czego pragną, oddaje tylko jednemu.

Kiedy Margot wchodzi do izby, Karol siedzi na brzegu ich małżeńskiego łóżka. Ściągnął już kapę i zrzucił ozdobne poduszki, które tak starannie układała dzisiejszego popołudnia. Wystarczy mu jedno spojrzenie na żonę i już wie, jak bardzo jest pobudzona.

„Dziesięć lat po ślubie, a ona wciąż mnie chce, tak jakbym dopiero na zaloty do niej chodził” – myśli z zadowoleniem, czekając, aż do niego podejdzie.

– Odwróć się – prosi żonę, gdy ta staje przed nim.

Margot wciąż ma na stopach buty na obcasie, więc siedzącemu przed nią Karolowi wydaje się wyższa i smuklejsza. Niczym posąg wykuty z jasnego kamienia. To nie jest przypadkowe porównanie. Margot wydaje się twarda. Przettrzymała przedwojenny kryzys, przetrzymała wojnę, nie ściągając z głowy kapelusza i wciąż malując usta. Nie poddała się szarości i posępności. Ale jaka jest naprawdę? Co kryje się pod tą z pozoru wytrzymałą fasadą? Co zniszczyłoby jego żonę? Karol nie chce poznać odpowiedzi na pytanie, które ostatnio zbyt często do niego wraca.

– Odwróć się – powtarza i wstaje z kanapy.

Margot unosi jedną brew. Intryguje ją prośba męża, ale o nic nie pyta. Staje tyłem.

Karol przygląda się jej długiej szyi. Nagiej, bo dziś Margot wysoko upięła włosy. Z trudem powstrzymuje się, aby jej nie pocałować, prawie czuje na wargach aksamitną miękkość skóry żony.

Sięga do kieszeni. Łańcuszek błyszczy, odbijając światło lampy.

– To dla ciebie – mówi, trując się, aby zapiąć drobniutki zatrzask.

Margot chce się odwrócić, objąć go, pewnie szepnąć słowa podziękowania za prezent, który wyraźnie jej się podoba, ale Karol powstrzymuje jej ruch.

Opuszcza rękę. Odnajduje brzeg sukienki.

Margot wzdryga się, gdy klamerki przypięte do pończoch rozchylają się pod naciskiem jego palców. Dłonie męża są chłodne, ale podsycają ogień.

\*

– Obudź się! Ktoś wali do drzwi!

Głos Margot wyrywa Karola ze snu. W pierwszym momencie mężczyzna nie potrafi pojąć, o co chodzi żonie, która siedzi na brzegu łóżka i szarpie go za rękę.

Wspomnienia wieczoru mieszają mu się ze snem. Oczy Margot nadal błyszczą, ale w jej spojrzeniu kryje się teraz inne uczucie. Karol jest jeszcze zbyt śpiący, aby je rozpoznać.

Otrzeźwia go dopiero hałas dobiegający z korytarza.

– Otwierać! Otwierać! – Waleniu zaczyna towarzyszyć krzyk.

– Która godzina? – pyta Karol, pospiesznie zakładając leżące na krześle spodnie.

– Piąta – odpowiada Margot, a w jej głosie po raz pierwszy od dnia wyzwolenia słychać strach.

Ona też się ubiera. Drżącymi palcami nie potrafi zapiąć guzików bluzki. Karol chce jej pomóc, ale żona go odpycha.

– Otwórz! – woła. – Zaraz sąsiadów pobudzą.

Pukanie i wrzaski faktycznie rozlegają się po raz kolejny. Idąc korytarzem, Karol przelotnie zerka na uchylone drzwi kuchni, zza których wygląda siwa głowa teściowej i czarna czupryna Piotrusia.

Gestem ręki daje im znak, aby się schowali.

Otwiera.

W półmroku sieni nie widzi twarzy mężczyzn. Nie wie, czy mają na sobie mundury, czy cywilne ubrania. Jedyne, co wyłania się z szarości poranka i prawie razi Karola w oczy, to szerokie, biało-czerwone opaski na ramionach. To na nie patrzy przez tę pierwszą krótką chwilę zdumienia, w której nic się jeszcze nie stało.

A więc ziścił się jego najczarniejszy sen. Przyszli po Margot, zaciągną ją teraz do robót, znieważą, może nawet zrobią gorsze rzeczy.

– Czy tu mieszka Karol Ploch? – grzmi niższy z mężczyzn i bezceremonialnie wchodzi do przedpokoju.

– Tak, to ja – odpowiada natychmiast Karol i sam się sobie dziwi, że jego głos brzmi prawie radośnie.

Nie po Margot przyszli, tylko po niego.

– Mamy was doprowadzić do miejsca, gdzie złożycie wyjaśnienia. Idźcie z nami – odzywa się znów mężczyzna.

Karol kiwa głową i odwraca się, aby ściągnąć z wieszaka kurtkę. Wsuwa górę pidżamy w spodnie. Chce wyjść jak najszybciej, zanim któryś z mężczyzn zainteresuje się Margot.

Jest zły na żonę, że w ogóle stoi koło niego i coś szepcze.

Po co się im pokazuje w tych swoich blond włosach i z oczami koloru letniego nieba? Tak jakby sama prosiła się o kłopoty. Po co ta bladość, te pełne strachu spojrzenie? Jeszcze napyta sobie tym biedy.

Jest gotowy. Staje przed mężczyznami. Wyprostowany i pewny, że zdąży wrócić na śniadanie, najpóźniej na obiad. W końcu cóż mogą mu zarzucić, jakie winy przypisać? Przecież nie jest wrogiem państwa. Zna go tylu ludzi, jeśli będzie trzeba, zaświadczą o jego niewinności.

Najważniejsze, że nie przyszli po Margot. O siebie może być spokojny.

Nieco zaskakuje go brutalność, z jaką niższy z mężczyzn go popycha. Omal się nie przewraca, potknąwszy się o próg. „To nic” – tłumaczy sobie w myślach. „Jest wcześniej. W czasie zatrzymania zawsze jest nerwowo. To tylko błąd, czyjaś pomyłka. Zaraz będę mógł ją wyjaśnić”.

## Tu szwabem jest każdy

Idą przez podwórko. On w środku, oni po bokach, prawie ocierając się ramionami o ramiona Karola. Biało-czerwone opaski funkcjonariuszy są teraz jeszcze lepiej widoczne. Patrzą na niego sąsiedzi zerkający przez uchylone firanki. Patrzy pewnie też Margot.

Przez moment Karol widzi twarz żony pochyloną nad jego twarzą. Ma rozchylone usta. Drobne kropelki potu niczym piegi błyszczą na jej czole.

Uśmiecha się do tych wspomnień, ale odgania je szybko, jakby bojąc się, że ci, którzy go prowadzą, będą mogli poznać jego myśli.

Nie pozwoli im osiąść Margot.

W bramie stoi pan Franciszek. Kuli się, obejmując poły kurtki, i przyciska skrzyżowane ramiona do piersi. Ploch nie wie, czy ta poza jest wynikiem strachu czy zimna, bo stopy dozorczy obute są jedynie w domowe papcie.

Karol zastanawia się, jakie sny przerwano Zawadzie i czy będzie umiał wrócić do nich, gdy już na powrót zamknie bramę. Wszak nie ma jeszcze szóstej, a w zimowe miesiące dopiero o tej godzinie dom budzi się do życia.

Kiedy wychodzą na ulicę, Ploch się odwraca. Zanim któryś ze strażników pociągnie go za ramię i każe przyspieszyć kroku, patrzy, jak Zawada zamyka ciężkie wrota. Nim zniknie za nimi i przekręci zamek, zatrzymuje się na moment i unosi rękę. Jego usta układają się w kształt słów, ale Karol nie rozumie, co mówi pan Franciszek.

Zresztą, czy to ważne? Za godzinę, dwie będzie tu z powrotem, wówczas sobie porozmawiają. Może zaprosi gospodarza na kieliszek wódki i pośmieją się wspólnie z tego nieporozumienia.

Idą przez uśpione wciąż miasto. Karol nie wie, gdzie go prowadzą, ale na razie o tym nie myśli. Znów staje mu przed oczami Margot. Widzi ją w witrynie restauracji mieszczącej się obok ich domu.

Żona zabrała go tam kiedyś na kolację. To była ich kolejna randka, pierwsza po ślubie. Margot wszystko zaplanowała. Zarezerwowała stolik,

nawet wybrała mu posiłek z karty dań. Karola onieśmielają takie miejsca, podobnie jak kelnerzy w czarnych muszkach kłaniający się w pas. To na jego żonie skupiały się ich spojrzenia, to ona promieniała.

„Pierwszorządne potrawy i napoje po cenach kryzysowych”, brzmiała informacja zapisana na rozłożonych na stolikach ulotkach. Jakże mało interesował ich wówczas kryzys. Jakże przyjemne było wspólne klepanie biedy. Karol wiele by dał, aby teraz, choć na chwilę, przenieść się do tamtych bez troskich dni.

Opuszczają ulicę, przy której mieszkają z Margot i Mutter od 1935 roku. Na Jagiellońskiej jest już gwarniej. Dwóch młodych chłopaków, pewnie spieszących się gdzieś na poranną zmianę, widząc prowadzonego, spuszcza głowy i prędko przechodzi na drugą stronę szerokiej ulicy.

Karol wcale im się nie dziwi, pewnie zachowały się podobnie. Fakt, że teraz sam jest tym, na kogo z obawy nie chcą spojrzeć, wydaje mu się jednak kompletnie nierzeczywisty.

Przechodzą obok szkoły, w której rozpoczął naukę Piotruś. Palona cegła i duże półkoliste okna dające uczniom dostateczną ilość światła bez względu na pogodę, przywołują kolejne wspomnienia.

Katholische Volksschule nr II na Zależu, gdzie Ploch poznał Johana Janoscha, też zbudowana była z czerwonej cegły. Czwarte okno klasy na drugiej kondygnacji, drewniane ławki z wydrapanymi imionami pierwszych miłości, tablica, nawet różga wisząca na haczyku obok nauczycielskiej katedry – wszystko to chroniło niegdyś małego Karola przed wojenną zawieruchą, brakiem ojca i gniewem matki. Teraz samo wspomnienie sprawia, że Plochowi robi się cieplej, a jego nogi idą śmieiej.

Tuż przed gmachem Sejmu Śląskiego, który tak jak i cały Śląsk z pokorą wciąż musi przyjmować nowe władze, skręcają w węższą uliczkę. Obok surowej bryły Syndykatu Hut Żelaza, która zdaniem Karola nie pasuje do okolicznych kamienic, przechodzą już bardzo szybko. Ploch wie, że ich droga zbliża się do końca i czuje ucisk w żołądku. Po raz pierwszy, odkąd wyprowadzili go z wciąż pachnącego upieczonym przez Margot ciastem

mieszkania, w jego głowie pojawia się niechciana myśl, że dzisiejszy dzień jest tylko początkiem, wejściem do ciemnego tunelu.

Jeszcze kilka tygodni temu, gdy przechodzili obok budynku numer 31 na Strasse der SA, kazał Piotrusiowi odwrócić głowę i pod żadnym pozorem nie patrzeć na zakratowane piwniczne okienka. Najchętniej kazałby też synowi zasłonić dłońmi uszy.

Były nikłe szanse na to, że ktoś, kto został wprowadzony do siedziby gestapo, wychodząc z niej, pojedzie w innym kierunku niż do obozu koncentracyjnego lub na pobliski cmentarz.

Krzyków torturowanych i jęków umierających nie zagłuszał uliczny gwar. Powolne ludzkie konanie wdzierało się przez uchylone okna pobliskich kamienic, osiadało niczym sadza na parapetach domów i nie dawało o sobie zapomnieć.

A teraz on, Karol Ploch, popychany i szarpany przez prowadzących go funkcjonariuszy, wchodzi przez potężne drzwi nowo powstałego Urzędu Bezpieczeństwa, nad którymi zawieszono biało-czerwoną flagę. Jeszcze przez moment liczy, że poprowadzą go na jedno z wyższych pięter, że ktoś go przesłucha, zapyta, co tu robi, a potem zdziwi się i być może nawet przeprosi za tę poranną pobudkę i niemiły spacer.

Karol z nadzieją patrzy na zakręconą niczym muszla ślimaka klatkę schodową. I faktycznie, prowadzą go schodami... ale w dół.

Jeden z trzymających go pod ręce mężczyzn rozmawia chwilę ze strażnikiem w pełnym umundurowaniu, tamten patrzy na Karola z pogardą, wyjmując pęk kluczy i otwiera przed nim otchłań.

Ploch upada, gdy strażnik popycha go brutalnie, ale mimo bólu stłuczonego kolana podnosi się natychmiast.

– To pomyłka! Za co mnie aresztujecie? Jestem niewinny – ni to szepcze, ni krzyczy, zdając sobie w końcu sprawę, że musi zawalczyć o własny los. – Wszystko mogę wyjaśnić – mówi, patrząc na funkcjonariusza, który wciąż stoi w drzwiach celi i przysłuchuje się osadzonemu.

Karol bierze to za dobrą monetę. Podchodzi bliżej.



– Mogę wszystko wyjaśnić. Na pewno mogę wszystko wyjaśnić – powtarza.

Nie zważa na unoszącą się rękę. Nie patrzy na zaciskającą się pięść.

Uderzenie jest tak silne, że odrzuca Karola na drugi koniec celi. Płoch osuwa się po ceglanej ścianie zamroczony.

Przez chwilę nie może pojąć, co się stało. Przecież nie ma tu już gestapo, nie ma sadystycznych nazistów. Próbuje wstać, choć ciemnieje mu przed oczami.

– Przecież to pomyłka. Pomyłka. – Chwiejnym krokiem idzie w kierunku zamkniętych drzwi celi. Nie ma jednak nikogo, kto mógłby go wysłuchać.

– Karol, to nic nie da...

W pierwszej sekundzie jest pewien, że głos, który słyszy, to tylko wytwór jego wyobraźni. Pociera dłońmi twarz, powoli odzyskując ostrość widzenia. Rozgląda się. Patrzy już nie tylko na zamknięte drzwi.

Cela jest niewielka i bardzo ciemna. Jedyne źródło światła to zakratowane okienko tuż przy suficie. Wszędzie wokół ścian ustawione są prycze. Wypaczonych desek, często połamanych, nie przykrywają sienniki.

Na każdej z tych prowizorycznych leżanek siedzą mężczyźni. Jest ich tu może trzydziestu, może więcej. Patrzą na Karola z mieszkanką współczucia i bezsilności. Jakby chcieli powiedzieć, że każdy tutaj już przez to przeszedł, że najbardziej boli pierwszy moment, kiedy jest się odzieranym ze złudzeń, że potem jest już łatwiej.

– Karol!

I znów ten głos przedzierający się przez coraz głośniejsze rozmowy innych. Niektórzy zagadują Karola, pytają go o przebieg aresztowania, o domniemane przyczyny zatrzymania. Ale on nie odpowiada. Gorączkowo szuka kogoś, nie mogąc uwierzyć w to, co mu się wydaje.

– Pan Janosch? – Czuje, jak cała krew odpływa mu z twarzy. – To niemożliwe... – duka ochryple i omijając zgromadzonych przy nim mężczyzn, rzuca się w ramiona stojącego w najciemniejszym kącie przyjaciela.

Jan przytula go jak syna. Drżą mu dłonie i usta, ucisk w piersiach nie pozwala swobodnie odetchnąć. To za dużo jak na jednego starego nauczyciela. Zdecydowanie za dużo.

\*

– Zabrali mnie w piątek – zaczyna opowiadać Janosch, gdy Karol przestaje już wzbudzać zainteresowanie wśród innych osadzonych.

Ostatecznie nie wniósł niczego nowego w codzienność przetrzymywanych, nie przyniósł żadnych nowych wiadomości. Tak jak większość tu zgromadzonych, on też nie wie, za co został aresztowany. Zaledwie trzem mężczyznom w celi postawiono zarzuty członkostwa w organizacjach nazistowskich bądź kolaborowania z okupantem. Jedyna wina pozostałych to II grupa w papierach, ale są też tacy jak Karol, którzy nawet tego nie mogą się chwycić, bo mają grupę III.

– Tak jak po ciebie, po mnie też przyszli nad ranem – mówi Jan, próbując wzmocnić kawałkiem nitki pęknięty mostek okularów. – Kazali mi się ubrać i zabrać dokumenty. Nie pokazali żadnego nakazu zatrzymania, choć o niego poprosiłem. Jeden z funkcjonariuszy przeszukał mieszkanie. Widziałem, jak wsuwa do kieszeni płaszcz kilka cennych przedmiotów. – Wzdycha. – Na ulicy okazało się, że jest nas więcej. Sami mężczyźni. Dwójkarze. Najpierw zaprowadzili nas na komisariat na Lipianach. Po kolei nas przesłuchiowano. Pytali tylko o imię, nazwisko i grupę narodowościową. Niektórych dotkliwie pobito, mnie udało się tego uniknąć. Poznałem jednego z milicjantów prowadzących przesłuchania, był moim uczniem, może rok starszy od ciebie. Próbowałem z nim porozmawiać, ale on milczał i kazał mnie zaraz wyprowadzić. Następnego dnia trafiliśmy tutaj. I tak siedzimy do teraz.

– Od tego czasu nikt was nie zabrał na górę? Nikt z wami nie rozmawiał? – Karol wciąż nie może w to uwierzyć.

Przeraża go położenie, w jakim się znalazł. Myśli o Margot i o Piotrusiu. Jak sobie poradzą bez niego? Czy już go szukają? Czy Margot sama się

przy tym nie naraża? A co z pracą? Czy zostanie zwolniony za niezgłoszoną nieobecność?

– Nikt – odpowiada krótko Janosch.

Nie znajduje żadnych słów, którymi mógłby pocieszyć swojego ucznia.

\*

A jednak w ciągu następnych dni mężczyźni są kolejno wyprowadzani z celi. Przesłuchują ich. Wracają po kilku godzinach, czasem pobici, zawsze przygnębieni i rozgoryczeni. Niektórzy nie chcą rozmawiać, siadają na pryczach i tępym wzrokiem wpatrują się w pustkę. Inni odwrotnie, głośno wyrzucają z siebie złość.

– Pokōzołch im adest jeszcze sprzed wojny, iże w nastōniach walczōłch. Cołkō ôkupacyjō te dokumynta ukrywołch, przecã za to rozstrzelowali – zaczyna opowiadać Stanik Muszalik, którego Karol kojarzy, bo mężczyzna pracował w wytwórni serów sąsiadującej z kamienicą Plochów. – Przekłōdołch im, iże jō dycki za Polskō bōłch, iże za Polskã chciołch życie ôd- dać. A ôni mi na to, iże w dupie majōm, co zech robiōł i kim zech je, iże sam wszyscy sōm szwabami, iże wszyscy z Hitlerem żeśmy sie zbratali. I jeszcze mi po sznupie<sup>[25]</sup> na odchodne dale!

– Zamknijcie się. *Halt deinen mund!* – Słowa Stanika przerywa nagły krzyk Kuna Wenzla. Kuno patrzy na współtowarzyszy niedoli nienawistnym wzrokiem, a oczy lśnią mu od łez.

Stanik nie odpowiada młodzieńcowi, macha tylko ręką i kładzie się na pryczy. Nie chce wdawać się w pyskówki. Wie, że piętnastolatek mocno dziś oberwał na przesłuchaniu. Przyznał, że czuje się Niemcem i że jest hajotem<sup>[26]</sup>, ale czy to on jedyny? Przecież uczestnictwo w zbiórkach Hitlerjugend było dla chłopców obowiązkowe. Niewielu, ryzykując poważnymi konsekwencjami, przeciwstawiało się władzy.

Karol z troską patrzy na chłopca. Zastanawia się, co jeszcze zrobią temu dzieciakowi, jeśli nawet tych, którym nie postawiono dotychczas żadnych zarzutów, traktują jak parszywych Niemców i wrogów narodu.

\*

Najgorzej jest w nocy. Godziny dłużą się w nieskończoność. W panującym zaduchu narastające zmęczenie nie pozwala usnąć. Karol wciąż od nowa analizuje przyczyny swojego zatrzymania i nadal nie dochodzi do żadnych wniosków.

Obraca głowę i w policzek wbija mu się drzazga z nieoszlifowanej deski, ale on tego nie czuje. Patrzy na Kuna, który chyba zasnął, nadal siedząc w rogu celi i nie pozwalając się nikomu dotknąć. Oprócz Wenzla jest tu też Emil Moll i Gerhard Krut. Ci ostatni otwarcie przyznają się do swoich poglądów. W celi siedzi też kilku służących w Wehrmachcie.

W pewnym sensie Karol im zazdrości. Nawet dwójkarze mają lepiej. Przynajmniej wiedzą, za co zostali zatrzymani. Jeśli zna się oskarżenie, można się bronić.

A on? Czy jest tutaj, bo ożenił się z Niemką? Czy może wiozł kiedyś coś do urzędu i na dokumentach przewozowych, pod orłem siedzącym na wieńcu ze swastyką, znalazło się jego nazwisko?

A może to przez Mutter i jej niemieckie bajanie? Czy Piotruś mógł wspomnieć w szkole o bajkach opowiadanych mu przez babkę?

Jan Janosch podejrzewa, że to on jest powodem zatrzymania Karola. Wszak Ploch często bywał w Świętochłowicach, widywano ich razem, a przeszłość rektora nie jest dla nowych władz bez zarzutu. Może to właśnie przyjaźń ucznia i nauczyciela sprawiła, że teraz obaj tu są, bo czy może istnieć aż taki zbieg okoliczności? Janosch w to nie wierzy.

Karol wierci się i przewraca z boku na bok. Stanik, który leży w nogach łóżka, mamrocze coś nieskładnie, widać jemu udało się zasnąć.

Ploch wodzi palcem po wilgotnych ceglach. Są na nich wyryte daty oraz imiona tych, których więziono tu podczas wojny.

Karol wie, że mężczyzna leżący pod nim był tu już wcześniej. Inni mu o tym powiedzieli, bo tamten nie mówi nic. Bez przerwy patrzy tylko na własne inicjały wyryte na ścianie. Nieszczęśnik nazywa się Paweł Kubiczek. To górnik przodowy z Bytomia. Rok temu wtrącono go do tej samej

celi za ukrywanie syna, który zdezerterował z Wehrmachtu. Chłopak sam przyszedł na gestapo, nie chciał, aby kara za jego ucieczkę spadła na ojca. Młodego rozstrzelano, starego zwolniono. Teraz nowa władza wepchnęła go tu po raz drugi. Za co? Tego nikt z osadzonych nie wie.

\*

– Ruszać się! Ruszać! Wszyscy wychodzić! – Rozbrzmiewają krzyki strażników, którzy wchodzą do cel i zaczynają okładać gumowymi pałkami śpiących pokotem zatrzymanych.

– *Schneller*<sup>[27]</sup>! *Schneller!* – wrzeszczą. – To rozumiecie?

Szarpani i popychani mężczyźni zostają wypędzeni na plac za budynkiem. Uzbrojeni funkcjonariusze, niektórzy ubrani po cywilnemu, inni w mundurach milicyjnych lub wojskowych, w rogatywkach na głowach, opaskach na ramionach, okrążają ich i każą im ustawić się w rzędach po cztery osoby.

Karol próbuje trzymać się obok Janoscha. Boi się o nauczyciela. Jan jest chyba najstarszy z osadzonych i choć próbuje tego po sobie nie pokazywać, coraz gorzej się czuje. Źle znosi niewygody i szykany.

Ruszają. Gdy wychodzą na ulicę, Ploch widzi grupki ludzi, głównie kobiet i dzieci, czekające przed budynkiem.

Na widok prowadzonych mężczyzn podnosi się lament. Kobiety próbują odszukać mężów i ojców. Nawołują ich i płaczą. Osadzeni też krzyczą, podnoszą ręce, chcąc pokazać, że żyją, że nic im nie jest, choć pobite twarze niektórych temu przeczą.

Jeden ze strażników ostrzegawczo strzela w powietrze. Robi się cicho, ale grupki kobiet wciąż idą za prowadzonymi, zachowując jednak pewną odległość.

Karol boi się, że wśród kobiet znajdujących się w gęstniejącym z chwili na chwilę tłumie zobaczy Margot, ale jeszcze bardziej obawia się, że znajdzie ją tam, gdzie ich prowadzą. Niektórzy mówią, że wśród zatrzymanych są również kobiety.

Idą w stronę rynku. W głowie Karola znów pojawia się nadzieja, że zatrzymali ich, bo potrzebują ludzi do rozbiórki zniszczonych kamienic. Wykonają zadanie, odpokutują przypisywane im winy i wrócą do swoich domów. Ale pochód mija rynek i odprowadzany spojrzeniami gapiów wchodzi na ulicę Zamkową. Już z daleka idący widzą grupy podobnych do nich ludzi. Zatrzymani w innych dzielnicach i innych miastach stoją otoczeni przez strażników. Trzymane na krótkich smyczach psy ujadają, potęgując nastrój grozy.

Karolowi ciemnieje w oczach. Ma wrażenie, że patrzy na coś, co przecież miało bezpowrotnie minąć. Psy, strażę i przerażeni, często pobici ludzie. Przez ostatnie tygodnie taki obraz śnił mu się nocami. Teraz sam jest jego częścią.

Strażnicy każą im się zatrzymać. Nie wolno siadać, nie wolno rozmawiać. Ciało rozgrzane marszem powoli się wychładza. Panują mrozy, a niektórzy nie mają nawet kurtek, nie wspominając o szalach czy czapkach. Kto myślał o odpowiednim ubiorze, gdy w nerwach o świcie opuszczał dom? Zgromadzeni przestępują z nogi na nogę, splatają ramiona, ale i tak większość drży. Z zimna i strachu.

Mijają godziny. Tłum na Zamkowej gęstnieje. Ciągłe dochodzą nowe grupki. Jest tu już na pewno kilkaset osób.

Choć straż przepędza gapiów, ich też jest coraz więcej.

– Mamo! Mamo! – Nagle ponurą ciszę rozdziera dziecięcy głos.

Karol widzi, jak mały chłopiec, pewnie w wieku Piotrusia, wyrywa się starszej kobiecie i biegnie prosto na strażników otaczających zatrzymanych. Nie boi się nawet psa, który rozdrażniony nagłym ruchem próbuje dosięgnąć jego nogi.

– Egon, wracaj! – krzyczy za dzieckiem kobieta, która stała z nim w tłumie zaciekawionych mieszkańców, ale chłopczyk nie słucha. Nawet się nie odwraca.

– Mamo! Tam jest moja mamusia! – Malec płacze i wyrywa się, gdy jeden ze strażników łapie go za kołnierz kurtki.

– Mama? Twoja mama? A gdzie? – pyta milicjant i pochyła się nad chłopcem.

Kilkulatek wskazuje palcem na kobietę stojącą wśród innych zatrzymanych, która również płacze i z przerażeniem obserwuje synka. Współtowarzyszki niedoli głaszczą ją i uspokajają, ale to tylko podsycą rozpacz matki.

– Idzi do niej. Idź – mówi spokojnie strażnik i puszcza dziecko.

Chłopiec przeciska się przez tłum. Kobieta klęka, wyciąga przed siebie ręce i łapie brzdąca w objęcia.

Nikt nie potrafi uwierzyć w to, co właśnie się wydarzyło. Jak to? Dziecko pójdzie z matką? Gdzie? Do roboty? Na Sybir?

Niepokój narasta.

Mija południe, gdy ponownie zaczyna się coś dziać. Straż dzieli ludzi na mniejsze grupy. Wśród przekleństw, razów i kopniaków zatrzymani ustawiani są w rzędach.

– Ty idziesz na przód. – Do Jana podchodzi funkcjonariusz ubrany w kompletny zielony mundur, chwyta go za ramię i ciągnie za sobą.

– Zostawcie go! On jest schorowany, słaby – prosi Karol. – Pójdę za niego.

Strażnik nawet się nie odwraca. Ciągnie Jana, który ledwie nadaża, a kiedy Karol rusza za nimi, inny z pilnujących boleśnie kopie go w kostkę. Płoch upada, tymczasem Jan zostaje ustawiony przed utworzoną kolumną.

– A teraz się w to ubierzecie. – Mężczyzna, który przed chwilą kopnął Karola, staje nieco z boku i rozciąga przed sobą czerwoną flagę ze swastyką. – Niech wszyscy widzą, kogo tu prowadzimy.

Podchodzi do Jana i zarzuca mu materiał na plecy.

– W końcu będzie ci ciepło, stary. Hitler cię ogrzeje! – Śmieje się i pluje Janoschowi pod nogi.

Jan pochyła głowę, ale nie próbuje zrzucić z siebie flagi. Nie ma siły, aby przeciwstawić się strażnikowi, a może wciąż uważa, że fizyczny opór nie ma sensu. W końcu jest nauczycielem i wierzy w potęgę rozumu, ufa, że właśnie on odpowiada za człowieczeństwo i bez względu na wszystko osta-

tecznie zawsze zwycięży z okrucieństwem i brutalnością. Zdaniem Janoscha te ostatnie nie leżą w ludzkiej naturze.

Karol patrzy na przyjaciela skulonego pod niemożliwym do udźwignięcia ciężarem flagi i boi się, że nauczyciel wreszcie odkryje, że był w błędzie, a potem umrze, myśląc, jak bardzo zawiódł go drugi człowiek.

\*

Znów maszerują. Tym razem główną ulicą Katowic. Na czele każdej kilkudziesięcioosobowej grupy postawiono mężczyznę owiniętego we flagę III Rzeszy.

Strażnicy śmieją się i poniżają idących, zachęcając przechodniów, aby ci również dali upust swojej nienawiści do tego, co niemieckie.

Ale zgromadzeni na chodnikach milczą. Niektórzy spuszczaają głowy, inni nie potrafią oderwać oczu od przerażającego widowiska, od piekielnego marszu przez ulicę 3 Maja w kierunku Załęża.

Wielu przechodniów rozpoznaje wśród zatrzymanych swoich bliskich. Członków rodzin i sąsiadów, z którymi jeszcze kilka dni temu toczyli pogawędki o nowych czasach.

Jacy z nich naziści, jacy hitlerowcy?

Przecież Michał, który idzie w drugim rzędzie, nie należał do partii ani żadnej organizacji. Jest kominiarzem, wielu go tu zna i potwierdzi, że ledwo po niemiecku mówi. Swoje dzieci też w duchu polskim wychowywał.

Albo Henek, który jest synem powstańca i we wrześniu z całym oddziałem dostał się do niewoli pod Tomaszowem. Potem, jak wszystkich Ślązaków, wcielili go do Wehrmachtu, ale szybko wrócił, bo w udo oberwał, a rana nie chciała się goić. Idzie teraz, patrząc po sąsiadach, wciąż zdziwiony tym, co się dzieje. Może boi się o ojca, bo co sobie stary powstaniec pomyśli, gdy syna w tym pochodzie zobaczy?

A Franz? Tak, on był w partii. Kuzyn go namówił, ale ten już dawno uciekł, a Franz został, bo przecież nigdy nic złego nie zrobił, na nikogo nie doniósł. Sąsiedzi go lubili. Zapisał się, bo mu żona na zapalenie mózgu za-



legła, a w domu piątka drobiazgu po kątach płakała. Bał się, że jak się nie zapisze, to robotę w hucie straci i z mieszkania go wyrzucą. A gdzie by poszedł z dziećmi i chorą żoną?

W kolumnie idą też kobiety. Truda i Zosia trzymają się za ręce. Przeróżne. Ich mężowie grali w fabrycznej orkiestrze, którą bez wiedzy jej członków wcielono do SA. Odtąd na uroczystościach musieli występować w wojskowych mundurach. Ale nawet to nie uratowało ich przed frontem wschodnim. Obaj zginęli, a teraz one muszą ponieść za nich karę.

Do przyglądających się przemarszowi ludzi powoli zaczyna docierać myśl, że i oni mogliby się znaleźć wśród zatrzymanych. Może i na nich podpisano już dokumenty, może jutro albo za tydzień ktoś zapuka do ich drzwi.

Nagle ulice pustoszeją. Zaczyna padać śnieg.

\*

Jest już ciemno, gdy dochodzą do dużej hali targowej w Świętochłowicach. Karol rozpoznaje to miejsce. Wybudowano je zaraz przed wojną. Ploch pamięta, jak przychodzili tu z Janoschem, by przyglądać się postępom prac. Interesowały ich zastosowane w tym miejscu nowoczesne rozwiązania.

Mężczyzna czuje ulgę, kiedy wprowadzają do pomieszczenia poszczególne grupy. W końcu będzie można odpocząć, a Karol jak nigdy wcześniej potrzebuje choć chwili wytchnienia. Jest wyczerpany, przechodzą go dreszcze, boli skóra.

Może dadzą im gorącej zupy albo chociaż herbaty? Może pozwolą się przespać?

Ploch wstydzi się swojej słabości. Przecież jest jeszcze młody, powinien być silny. A jednak nigdy nie był dobrego zdrowia. Każdej zimy dopada go gorączka oraz kaszel. Wie, że w dzieciństwie ciężko chorował na zapalenie płuc, witał się już z kostuchą, ale troskliwość matki oraz babki pozwoliła mu wyzdrowieć. Teraz lekarz mówi, że jego słabość to skutek tamtej choroby.

Gdy pozwalają im usiąść, Karol od razu biegnie do Jana. Staruszek oddycha szybko, jakby walczył z ogromnym bólem. Ploch nie wie tylko, czy nauczyciela boli ciało czy poniżona dusza.

Siadają w kącie, za wózkiem, którym rozwożono pewnie towary na stoiska. Większość zatrzymanych tłoczy się na środku sali. Czekają na obiecaną przez strażników kotły z zupą. Ci, którzy przeszli już przez więzienia oraz obozy jenieckie albo byli na froncie, obojętnie po której stronie, wiedzą, że jedzenia zawsze jest zbyt mało, że trzeba się spieszyć, aby zaspokoić głód.

Karol czuje niepokój. Nie potrafi go nazwać, być może to efekt nadszarpniętych nerwów, ale woli pozostawać w cieniu. Jan chyba jest tego samego zdania, bo nie chce stanąć w tworzącej się kolejce, nawet jeśli ta zwłoka miałaby ich kosztować posiłek.

– Jak myślicie, dokąd nas wyślą? Na Sybir? Ponoć górników wywożą do kopalń gdzieś w głąb Rosji, może nas też? – Zastanawia się Ploch, ściągając kurtkę i przykrywając się nią jak kocem. Liczy, że szybciej ogrzeje w ten sposób przemarznięte ciało.

Jan nie odpowiada. Przez moment patrzy na Karola, jakby nie rozumiał, o czym ten do niego mówi, a potem opiera głowę o ścianę i przymyka oczy.

– Wiesz, że kanarek wrócił? – odzywa się po chwili milczenia. – Siedział na parapecie. Nie wiem, jakim cudem przeżył.

Karol patrzy na nauczyciela z troską. W takiej chwili mówić o ptaszku? Stary rektor przypomina mu zagubione dziecko.

– Teraz chyba umrze z głodu – dodaje Janosch.

Dobrze, że Jan wciąż ma zamknięte oczy. Ploch nie chciałby, aby rektor wyczytał z jego twarzy natrętą myśl, której nie potrafi wyrzucić z głowy.

Jeśli szybko ich nie zwolnią, jeśli to wszystko nie okaże się tylko złym snem, Jan Janosch nie zobaczy już kanarka, ale to nie ptaszek pierwszy spadnie na dno klatki.

– Lepiej byłoby dla niego, gdyby nie wracał. – Janosch wciąż wspomina pierzastego przyjaciela.

Karol dotyka dłoni nauczyciela i ściska ją mocno. Nie zna słów, które mogłyby odegnać osiadający na ramionach i piersiach ciężar.

– Spróbujmy zasnąć – mówi w końcu.

Jan przytakuje.

\*

Z niespokojnej drzemki wrywa ich jakiś hałas. Odgłosy szamotaniny, czyjeś krzyki. Karol boi się otworzyć oczy. Czuje, że to, co zaraz zobaczy, ostatecznie go pokona.

– Przesuń się tu. – Słyszy głos Jana i pierwsze, co widzi, to dłoń nauczyciela ściskająca jego ramię.

Janosch ciągnie go za sobą i obaj wciskają się między wózek a wnękę w ścianie.

– Tu nas nie zobaczą – stwierdza starzec ochryple.

Ma rację, hala jest słabo oświetlona, a miejsce, w którym usiedli, spowija mrok.

Ze swojej kryjówki patrzą, jak strażnicy wyciągają na środek hali przypadkowych mężczyzn i biją ich na oślep. Nie zważają na krzyki i błagania o litość. Policzkują zatrzymanych i kopią nawet wtedy, gdy tamci tracą przytomność.

– Co tu się dzieje? – mamrocze Karol, zaciskając ponownie powieki i zasłaniając dłońmi uszy.

Inni więźniowie też próbują się ukryć. Chowają się za taczki i beczki.

Nawet z większej odległości można dostrzec, jak bardzo męczy strażników zadanie, którego się podjęli. Pot spływa im po skroniach. A jednak, gdy któryś z maltretowanych więźniów przestaje się ruszać, natychmiast chwytają kolejnego.

– To za Hitlera, ty nazistowska świnio! – krzyczy jeden. – *Schmutzige Schweine*<sup>[28]</sup> – dopowiada inny i zanosi się sztucznym śmiechem.

Jatka kończy się wraz z nadejściem świtu, kiedy przez brudne szyby wpadają do środka hali pierwsze promienie słońca.

„Może dzisiejszy dzień będzie cieplejszy” – myśli Karol, tęnym wzrokiem przyglądając się skutkom urządzanej w nocy rzezi.

Na podłodze i ścianach błyszczą plamy świeżej krwi. Kilku mężczyzn wciąż leży na środku pomieszczenia. Najodważniejsi podeszli już do nich i próbują ich ocucić, ale Karol wie, że nie wszyscy przeżyli tę noc.

– Co myśmy im zrobili? – pyta Janoscha, gdy po godzinie znów każą im ustawić się w kolumnach.

Nauczyciel nie odpowiada.

Wychodząc, Karol ogląda się za siebie. W hali pozostało kilkunastu mężczyzn. Dla nich skończyło się już to, co pewnie dla Plocha oraz tych, którzy przetrwali noc, stanowi dopiero początek.

Pod ścianą wciąż siedzi Kuno Wenzl. W pierwszym odruchu Ploch chce go zawołać, przecież jeśli dopadną go strażnicy, spuszczą mu lanie za opieślność. Chłopiec wygląda, jakby spał. Ma przechyloną lekko głowę i luźno zwieszona ramiona. Ledwie zauważalna stróżka krwi spływająca z obu jego nadgarstków nie pozostawia złudzeń, że nastolatek usnął na zawsze.

W jednej chwili, zamiast strachu i żalu, że ta młodość zgasła zbyt szybko, Karola ogarnia złość. Zaciska pięści i prostuje plecy. Samobójstwo Kuna odebrało mu resztki nadziei, ale bez niej czuje się silniejszy. Wie, że będzie jeszcze gorzej, że ci, którzy zaplanowali tę zemstę, nie zadowolą się garstką zabitych, ale Karol musi przeżyć i ochronić Janoscha.

Bierze głęboki wdech i wychodzi na rześki świt.

Do  
Wydziału Bezpieczeństwa  
w Katowicach

*Niżej podpisana, jako matka obozowca Powolika Krystofa, prosi niniejszym o zwolnienie wymienionego z obozu odosobnienia w Świętochłowicach. Prośbę swoją motywuję tym, że syn mój jest wychowany w duchu polskim, uczęszczał do czasu okupacji do szkoły polskiej i dopiero po zajęciu Śląska przez Niemcy został do niemieckiej szkoły przyjęty.*

*Przynależność syna do organizacji HJ jest także wytłumaczona, gdyż do tej organizacji została cała młodzież przymusowo wciągnięta (...).*

*Żywiąc nadzieję, że prośba moja uwzględniona zostanie i że syn wkrótce zwolniony będzie, kreśli z poważaniem*

*Powolikowa Teobalda<sup>[29]</sup>*

## Rewanż zawsze jest okrutniejszy<sup>[30]</sup>

Jest wcześnie, a mimo to, gdy wychodzą przed halę, przy bramie wciąż czeka spora grupa ludzi. Podnosi się lament, kiedy matki, córki i żony widzą poobijane, zakrwawione twarze bliskich im mężczyzn.

– Fater dostał lonie – odzywa się mała dziewczynka, machając rączką do mężczyzny stojącego obok Karola.

Tamten próbuje się do niej uśmiechnąć, ale grymas na opuchniętej twarzy chyba wystrasza dziecko, bo mała wtula się w płaszcz matki i zaczyna szlochać.

Mundurowi szybko uciszają płacze i nawoływania ludzi. Wystarczy unieść broń i przekląć, aby zastraszyć tłum i sprawić, że umilknie.

Karol z niepokojem szuka wzrokiem Margot. Uczucie ulgi, gdy jej nie znajduje, miesza się ze strachem, że może i ją zabrali, że może spotka się z żoną nie tutaj, ale tam, dokąd teraz ich prowadzą.

Pochód zatrzymanych rusza. Szybko schodzą z głównej ulicy i zostawiają za sobą szare familoki, mijają też wieżę szybową kopalni, która podobnie jak cała ta ziemia raz otrzymuje nazwę Polska, raz Niemcy.

Kiedy wychodzą na puste pole, Karol zaczyna się domyślać, dokąd ich prowadzą.

– Historia szybko zatoczyła koło – szepcze idący obok niego Jan. – Wiadać on też już wie, co ich czeka.

Można powiedzieć, że nowa władza przyszła na gotowe. Nie musi troszczyć się o tworzenie miejsc odosobnienia dla takich jak oni. Te miejsca pozostawili dla nich uciekający hitlerowcy. Wieżyczki wartownicze, reflektory, które nocą tną ciemność niczym najostrzejszy nóż, podwójne ogrodzenie z kolczastego drutu, a za nim drewniane baraki z maleńkimi okienkami i jeden murowany budynek.

Zatrzymani idą dalej zwartą grupą, otoczeni przez strażników, ale nogi robią im się coraz bardziej miękkie, coraz trudniej zrobić kolejny krok. Ciało instynktownie się buntuje, choć nie wszyscy, tak jak Karol i Jan, wiedzą, że podchodzą pod bramę podoboju KL Auschwitz kierowanego przez esesmanów znanych ze szczególnej brutalności: Josefa Remmele'a i Wilhelma Gehringa. W podobozie tym osadzonych zostało tysiące pracujących w hucie Eintracht więźniów.

Karol zaczyna się zastanawiać, czy to możliwe, aby wśród nich był ktoś, kto już zdążył poznać to miejsce bliżej. Ktoś, kto przymusowo pracował w hucie, kto był bity i upokarzany przez esesmanów. Ploch wie jeszcze ze styczniowych wydań „Dziennika Zachodniego”, że nie wszystkich więźniów wypędzono do obozu w Mauthausen. Chorzy i niezdolni do ewakuacji pozostali tutaj i doczekali wyzwolenia. Czy to możliwe, aby choć jednego z nich ponownie tu prowadzono? Przypomina sobie Pawła, mężczyznę, który dwa razy trafił do piwnic budynku przy Powstańców. Co prawda raz była to piwnica gestapo, zaś drugi Urzędu Bezpieczeństwa, ale wszyscy idący w tej kolumnie zdołali się już przekonać, że i jedni, i drudzy potrafią równie szybko i sprawnie zamęczyć człowieka.

Ploch się rozgląda. Paweł idzie kilka rzędów za nim. O dziwo, chyba on jeden wygląda dziś lepiej niż w dniu, w którym Karol zobaczył go po raz pierwszy. Tych, co pracują pod ziemią, nie tak łatwo złamać.

Nagły wstrząs sprowadza jego myśli z powrotem do kolumny maszerujących.

– Idź szybciej. – Karol dotyka lekko pleców młodzieńca, na którego właśnie wpadł.

Już wie, co grozi za potknięcia i upadki. Widział to w styczniu, a teraz sam tego doświadcza.

Ale chłopiec mimo ostrzeżenia znów zwalnia, a nawet zatrzymuje się na chwilę, jakby nie miał siły iść dalej. Karol patrzy, jak jego szczupłe plecy zaczynają drżeć, i wie, że młody człowiek zaraz wpadnie w rozpacz. Załamie się, a jeśli wstrzyma przez to płynność marszu, razy spadną na wszystkich.

– Dasz radę – mówi najłagodniej, jak tylko potrafi, tak jak mówił do Piotrusia, gdy ten chował się pod łóżko na widok pielęgniarki, która przychodziła do domu dawać mu zastrzyki podczas choroby. – Nie takie rzeczy przetrzymaliśmy. Ślężacy są silni – zapewnia spokojnie, napierając na chłopaka, aby tamten nie przystawał.

Słowa Plocha pomagają. Mężczyźni przyspieszają, jeszcze kilkanaście metrów i znajdą się pod bramą.

– Ja nie jestem Ślężakiem. Jestem Holendrem. Nazywam się Eric van Calsteren. – Chłopak odwraca się niespodziewanie do Karola. – To nawet nie była moja wojna – dodaje ze złością.

Karol patrzy na dziecięce wciąż rysy, na zmrużone oczy, które, tak jak oczy Margot, są koloru nieba, i w duchu cieszy się z takiej reakcji chłopca. Wściekłość jest lepsza niż rozpacz. Daje siłę.

– Karol!

Wołanie dochodzące gdzieś z tyłu, z grupy kobiet i mężczyzn, która z pewnej odległości wciąż śledzi prowadzonych, ledwie dociera do uszu Plocha.

– Karol!

Nie, to nie omam wywołany zmęczeniem lub przedłużającym się napięciem nerwów. Sposób, w jaki ten ktoś wypowiada jego imię, nie pozostawia Karolowi wątpliwości.

Uginają się pod nim kolana. Potyka się, ale ramię Erica, które łapie, chroni go przed upadkiem.

Idzie dalej, bojąc się spojrzeć za siebie. Nie wie, czy to przetrwa.

– Stać! – Pada krótka komenda.

Zmęczenie ludzi jest tak duże, że zaczyna im być obojętne, gdzie ich zamkną, byle tylko już ich nie bito i pozwolono im na sen.

– Karol! – Nawoływanie znów dociera do uszu Plocha, nie może go już dłużej ignorować.

Odwraca głowę. W grupie kobiet dostrzega ojca. Stary Ploch jest zdezorientowany. Ten zawsze pewny siebie i skory do – w zależności od sytu-



acji – żartów lub pyskówek mężczyzna zupełnie nie rozumie, co się dzieje. Przygarbiony, z nienaturalnie uniesionymi ramionami patrzy na syna, nie mogąc pojąć, dlaczego jego dziecko jest wśród tych pobitych i zgnębionych ludzi. Stary i młody patrzą na siebie bez słowa. Żadnym gestem ani grymasem nie próbują sobie niczego przekazać. Bo co tu powiedzieć? Czy lepiej wzajemnie się pocieszyć, czy może pożegnać na zawsze?

Karol wie, że nigdy nie zapomni wyrazu twarzy ojca. Wspomnienie lęku, który widzi w jego oczach po raz pierwszy w życiu, zawsze już będzie go prześladowało.

W stronę nielicznej grupy najodważniejszych członków rodzin zaczynają iść strażnicy. Ściągają z ramion broń i krzykiem nakazują ludziom, aby się rozeszli.

Tym razem ludzie słuchają rozkazów. Teraz mogą już wrócić do domów. Wiedzą, gdzie zamykają ich bliskich.

Gdy rodziny odchodzą, brama obozu otwiera się.

– Naprzód! – Pada komenda. – Wchodzić! – krzyczą strażnicy i znowu zaczynają poszturchiwać idących.

Karol kreśli na piersi znak krzyża i choć widzi, że inni robią podobnie, gdzieś w tyle jego głowy pojawia się niechciana myśl, że tam, gdzie ich prowadzą, Boga już nie ma.

\*

Między podłużnymi barakami obozu, na wybrukowanym placu stoi mężczyzna w cywilnym ubraniu. Widać, że ma tu władzę, bo wystarczy jedno jego skinienie, a strażnicy zaczynają dzielić ludzi na dwie grupy. Chwytają ich za ramiona, popychają i krzyczą.

– Trzymajmy się razem – mówi Karol do Jana. – Cokolwiek by się działo, trzymajmy się razem.

I faktycznie, gdy strażnik każe przejść Karolowi do jednej z tworzonych kolejek, ten ciągnie za sobą Jana. Nie przystaje, nie ogląda się za siebie nawet wtedy, kiedy mężczyzna nakazuje im się zatrzymać. Na szczęście stra-

żnik ma najwidoczniej zbyt wiele na głowie, bo krzyki szybko milkną i nikt nie rozdziela przyjaciół.

– Udało się. – Karol oddycha z ulgą i stara się uśmiechnąć do drepzącego obok niego Janoscha.

Skurcz, który przeszywa twarz Plocha, na pewno nie przypomina uśmiechu, ale mężczyzna naprawdę jest zadowolony. Jeszcze w świętochłowickiej hali, gdy obaj ukrywali się za wózkiem, wbił sobie do głowy, że dopóki będą razem, nie stanie im się nic strasznego. Tamta myśl staje się jego obsesją. Nie może pozwolić, aby Jan zniknął mu z oczu.

Kolejka przed siedzącym za biurkiem mężczyzną, który wpisuje ich dane do księgi, jest długa. Zatrzymani wciąż pytają, za co zostali umieszczeni w obozie. Gwałtowny sprzeciw wywołuje nakaz oddania wszelkich osobistych rzeczy. Strażnicy przeszukują dokładnie każdego zarejestrowanego. Odbierają papierosy, zapalki, portfele. Każą ściągać z palców ślubne obrączki. W odpowiedzi na narastające protesty osadzeni otrzymują ciosy kolanami pistoletów.

Karol odwraca głowę, nie chce patrzeć na bunt, który powoli zmienia się w niedowierzanie, a potem w milczącą rozpacz. Stojący w kolejce szybko się uczą, że aby nie oberwać, należy o nic nie pytać ani niczego nie tłumaczyć.

Ploch rozgląda się wokół i dostrzega baraki. Dolicza się siedmiu. Są też inne budynki. Jedyne murowane należy chyba do administracji obozu, a ten z wysokim kominem mieści pewnie kuchnię, umywalnie i jakieś warsztaty.

Wszystko wygląda przygnębiająco, ale porządnie.

„Może jakoś uda się tu przetrwać do czasu, aż pomyłka zostanie wyjaśniona” – myśli Ploch. „Ile to w końcu może potrwać? Tydzień, dwa? Trzeba tylko unikać pałek strażników i jakoś to będzie”.

Karol próbuje sobie przypomnieć, czy znają kogoś, do kogo jego ojciec mógłby się zwrócić z prośbą o pomoc. Jan wspominał o znajomym milicjancie. Może przez niego uda się coś załatwić. Wiadomo, trzeba będzie zapłacić, ale co tam. Jak wróci, to ojcu odda.

Niechże tylko zezwolą na napisanie listów do rodzin. On w swoim wszystko wyjaśni i najdalej na Wielkanoc znów będzie w domu.

– Następny!

Do stołu, przy którym mundurowy spisuje osadzonych, pierwszy podchodzi Jan.

Sama rejestracja trwa zaledwie chwilę. Należy podać imię, nazwisko i grupę narodowościową.

– Siódemka! – Decyduje głośno strażnik i każe przejść Janoschowi do pozostałych mężczyzn przypisanych do baraku numer siedem. – Szóstka – odzywa się po chwili ponownie, kończąc spisywać Karola.

– Pozwólcie mi iść tam, gdzie przydzieliliście Jana Janoscha. – Karol zbiera się na odwagę i kieruje do milicjanta swoją prośbę. Jednocześnie napina ramiona, by uderzenie, którego się spodziewa, nie bolało aż tak bardzo.

Cios jednak nie następuje.

Milicjant podnosi wzrok i w milczeniu patrzy na Karola.

– Chcesz iść do brunatnego baraku? – pyta wreszcie z wyraźną drwiną w głosie. – Jesteś pewien?

Karol nie ma pojęcia, czego miałby być pewien. Ma złe przeczucie, ale mimo to kiwa głową. Musi zostać ze swoim podopiecznym.

– Współpraca – szepcze pod nosem mundurowy i kreśli coś na liście. A potem ruchem głowy daje Karolowi znać, że może stanąć obok Jana.

Ploch jest mu wdzięczny. „A jednak to porządny chłop” – myśli, odchodząc.

\*

Dalsze etapy przyjmowania do obozu ciągną się w nieskończoność. Zmęczeni ludzie ślaniają się na nogach. Niektórzy proszą, aby pozwolono im usiąść. Straż jest jednak nieugięta. Trzeba stać. Zarówno w kolejce, jak i już po zapisaniu.

– Oprzyjcie się o mnie – proponuje Karol, widząc, że Janowi brakuje sił. – Będzie wam choć trochę lżej.

Janosch kręci głową.

– To z głodu – tłumaczy swoją słabość, jakby się jej wstydził. – Stary organizm jest mniej wytrzymały.

Mimo zaciśniętego z nerwów żołądka Karol też liczy na to, że gdy tylko wpuszczą ich do baraków, dadzą im jedzenie. Choćby chleb albo zupę. Pocięsza się, że przecież nawet podczas wojny więźniowie mieli prawo do posiłku oraz snu, a teraz wojny już nie ma, żyją w praworządnym kraju.

Każda dobra myśl ulatuje jednak na wspomnienie tego, co wydarzyło się w nocy w hali targowej. Przed oczami Ploch wciąż ma ponacinane nadgarstki Kuna Wenzla. Kto za to odpowie? Kto poniesie karę za śmierć tego dzieciaka?

Odruchowo zaczyna szukać Erica. Chłopaka też przydzielono do siódemki. Stoi blisko Jana i Karola, wpatrując się w baraki. Ploch podąża wzrokiem za spojrzeniem Holendra i dostrzega ruch w jednym z małych okienek. Męskie nieogolone twarze za szybą. Oczy śledzące to, co dzieje się na zewnątrz.

A więc nie są pierwszymi, którzy zostali tu zamknięci. W Karolu znów rośnie nadzieja, że może ci, którzy są tu już jakiś czas, wiedzą więcej. Może wyjaśnią im powody zatrzymania, a przede wszystkim poradzą, jak odzyskać wolność.

Jest już zupełnie ciemno, gdy przy akompaniamencie krzyków strażnicy nakazują poszczególnym grupom ustawić się i wejść do „swoich nowych domów” – jak mówią, głośno się śmiejąc. Wnętrza pomieszczeń są tak samo ponure, jak całe otoczenie obozu, na które zatrzymani zdążyli się już napatrzeć.

Przy dwóch przeciwległych ścianach stoją rzędy trzypiętrowych prycz. Karol natychmiast zauważa, że te, na których leżą sienniki i koce, są już zajmowane. Dla nich pozostały gołe deski, o ile w ogóle starczy miejsca, bo barak wydaje się przepełniony.

Więźniowie, którzy przyglądali się nowym przez okienka, natychmiast otaczają dezorientowanych mężczyzn. Zaczynają się nerwowe rozmowy, niektórzy błagają o jedzenie, inni szukają wolnych prycz, aby ulżyć wykończonemu ciału. Zamieszanie nie trwa jednak długo. Gwizdek blokowego nakazuje spokój. Wszyscy mają wrócić na prycze. Tak jak Karol przypuszczał, wolnych miejsc jest za mało, ludzie kładą się więc po dwóch na jednym pośłaniu. Tym, którzy okazali się zbyt wolni, musi wystarczyć zimna podłoga, bo baraki nie są ogrzewane.

Karol kładzie się obok Jana. Próbuje zostawić nauczycielowi jak najwięcej miejsca, ale jest tak ciasno, że obaj muszą leżeć na boku, aby się zmieścić. Ploch obawia się, że w nocy któryś z nich zsunie się i spadnie.

Mimo niewygody Jan zasypia prawie natychmiast. Karol, choć jest zmęczony, nie potrafi zasnąć. Leży, bojąc się zamknąć oczy, aby nie wróciły do niego koszmarne obrazy tego, co zdążył zobaczyć od chwili zatrzymania. Usiłuje wyobrazić sobie Margot, jej delikatną twarz, miękkie wargi, które całowały go namiętnie zaledwie kilka dni temu. Ploch nie potrafi uwierzyć, że od tamtej chwili minęło tak niewiele czasu. Wspomnienia wydają się odległe.

Myśli o żonie zamiast uspokoić Karola przepędzają go nagłym lękiem. Tak silnym, że mimo kategorycznego zakazu rozmów, mężczyzna przechyliła się przez ramę pryczy. Wie, że pod nim leży człowiek, który jest tu już jakiś czas.

– Czy oprócz kobiet, które przyszły dziś z nami, są tu inne? – pyta, czując, jak bardzo boi się poznać odpowiedź.

Światła reflektorów zamontowanych na wieżyczkach strażniczych wpadają również do wnętrza baraku, dlatego Ploch wyraźnie widzi twarz zagadniętego mężczyzny, który leży z rękami ułożonymi pod głowę, sprawiając wrażenie pogrążonego we śnie. Jednak gdy Karol chrząka cicho i powtarza pytanie, tamten otwiera oczy i patrzy na niego zupełnie przytomnie.

– Nie widziałem tu wcześniej żadnych kobiet – odpowiada krótko i ponownie zapada w sen.

Ploch patrzy na posiniaczoną twarz rozmówcy.

– Trafiliście fatalnie – nagle mężczyzna znowu się odzywa, nie siląc się na szept. – Siódemkę nazywają Deutsches Haus. Trzymają tu partyjnych i tych, co byli w Hitlerjugend.

Karol mocniej przechyla się przez ramę pryczy.

– Ja miałem iść do szóstki – odpowiada, czując potrzebę wyjaśnienia, że jest ofiarą ogromnego nieporozumienia. – Zgłosiłem się, bo chciałem być z moim dawnym nauczycielem, ale on także nigdy nie był w partii, za to pomagał Polakom. To bardzo dobry człowiek.

Mężczyzna siada gwałtownie. Patrzy w górę na Karola i choć jego oblicze nie zdradza emocji, Ploch czuje, że swoimi słowami poruszył nowo poznanego kompana.

– Jeśli rzeczywiście miałeś trafić do innego baraku, a przyszedłeś tutaj za tym starcem, popełniłeś największy błąd w życiu.

Karol czuje, jak zimny dreszcz przechodzi mu po plecach.

– Mówią, że to obóz pracy – kontynuuje tamten. – I faktycznie niektórzy wychodzą do roboty, do huty, ale nie my, nie osadzeni w tym baraku. Tutaj, mój drogi przyjacielu, jest obóz zagłady. Nie sądzę, aby wypuścili nas stąd żywych.

Serce podchodzi Karolowi do gardła. Nie chce słyszeć tych strasznych słów. Nie chce w nie wierzyć.

– Przecież to wszystko jest tylko jakąś pomyłką... Wypuszczą nas. Przepraszają i wypuszczą – bełkocze.

Mężczyzna podnosi się, staje w przejściu między pryczami i wyciąga do niego rękę.

– Nazywam się Wilhelm Koch. Jako jeden z nielicznych tutaj wiem doskonale, za co siedzę i za co pewnie tu zdechnę. Byłem w partii. Chodziłem na wiece i wierzyłem w słowa Hitlera – oświadcza twardo. W tonie jego głosu trudno usłyszeć choćby cień poczucia winy, lecz nie ma w nim też dumy. – Ale mało tu takich – mówi dalej Koch, nie pozwalając Karolowi na jakąkolwiek reakcję na tę osobliwą spowiedź. – Większość to dwójkarze i smarkacze z hajotu. Ludzie winni tylko tego, że się na Śląsku urodzili.

– Ale co wy mówicie? – W szepcie Karola słychać tłumiony krzyk. – Na miłość boską! Przecież wojna już się skończyła. Nie ma Auschwitz ani Treblinka. Tam ludzi wsadzano tylko za to, że byli Polakami albo Żydami. Teraz winy musi być udowodniona. Może wy się tylko tak bronicie? Mówicie tak, aby się oczyścić?

Wilhelm nie reaguje na te oskarżenia. Patrzy na Płocha ze smutkiem. Sam jeszcze dobrze pamięta, jakie bolesne było dla niego odarcie ze złudzeń.

– Spróbuj zasnąć – sugeruje i ponownie siada na swojej pryczy. – Coś mi się widzi, że niedługo siły będą nam wszystkim bardzo potrzebne.

## Niewysłane listy Margot

*Kochany mój,*

*Siedzę za kuchennym stołem w naszym mieszkaniu i ze zdenerwowania palce drżą mi tak, że z trudem trzymam pióro, a litery, które stawiam, sama ledwie potrafię odczytać.*

*Mimo to piszę. Piszę do Ciebie list, aby w słowach znaleźć choć odrobinę ukojenia, aby móc płakać tu nad kartką, a nie przy Piotrusiu i Mutter, którzy wciąż pytają, gdzie jesteś. Karolku, zabrali mi Ciebie i tylko dzięki staraniom Twojego ojca wiem, że zamknęli Cię w obozie na Zgodzie. Boże, jak to możliwe, że Ty, Polak, trafiłeś tam, gdzie jeszcze kilka dni temu cierpieli inni Polacy, więzieni i męczeni przez nazistów? Jak to możliwe, że poszedłeś tam za mnie? Przecież tylko na Niemcach mieli się mścić. Niemcom mieli pokazać, gdzie ich miejsce.*

*Tamtego poranka, gdy już otrząsnęłam się z obezwładniającego przerażenia, pobiegłam za Tobą, ale w bramie zatrzymał mnie pan Franciszek. Złapał mnie i nie puszczając, szeptał, abym myślała o naszym synku, żebym nie dopuściła do tego, że Piotruś jednego dnia straci oboje rodziców. Dopiero gdy się uspokoiłam, pozwolił mi pójść po Twojego ojca. Posłuchałam go.*

*Nie wiem, dlaczego, chyba musiałam wówczas komuś zaufać, zawierzyć czyjejs radzie, bo sama nie umiałam klarownie myśleć.*

*Twój ojciec szybko dowiedział się, że zabrali Cię na gesta..., to znaczy do gmachu UB. To pan Franciszek mu o tym powiedział. Nie mam pojęcia, skąd wiedział, ale teraz lepiej nie zadawać zbyt wielu pytań. Twój ojciec także zabronił mi iść za Tobą. Kazał zostać w mieszanii z Mutter i Piotrusiem, a potem odkręcił z drzwi tabliczkę z naszym nazwiskiem, jakby to w czymkolwiek mogło pomóc. Przecież każdy tu wie, gdzie mieszkają Plochowie i Langerowa. Każdy nas tu zna i wie, że nikomu żadnej krzywdy nie zrobiliśmy.*

*Czekaliśmy i czekaliśmy. Twój ojciec zniknął na całe dni. Podejrzewaliśmy, że chodzi pod okienka Urzędu Bezpieczeństwa, te same, na które nie pozwalałeś spoglądać Piotrusiowi. Dziś przyszedł do mnie z wiadomością, że wsadzili Was wszystkich za kraty obozu Zgoda i najprawdopodobniej będziecie pracowali w hucie. Powiedział, że wśród zatrzymanych widział też profesora Janoscha. Nie chce mi się w to wierzyć, choć pamiętam, że niepokoiłeś się jego zniknięciem. Wciąż mam nadzieję, że ojciec się pomylił... Karolku, jutro pojedę do Świętochłowic zobaczyć, co dzieje się z Twoim przyjacielem, a potem, wbrew zakazowi ojca, pojedę do Ciebie.*

*Kochany, wiem, że nigdy nie wyślę Ci tego listu... Nie obarczałabym Cię moim strachem. Tak bardzo boję się o Ciebie, Piotrusia i Mutter. Nie wiem, czego Ruscy od nas chcą i co mogą z nami zrobić.*

*W dzień Twojego zatrzymania w audycji radiowej mówili, że już niebawem na Śląsku nie pozostanie ani jeden Niemiec. Jakiś urzędnik relacjonował, że w Gliwicach opuszczone przez Niemców mieszkania będą zajmowane przez Polaków przybywających ze Wschodu.*

*Karolku, czuję, że nie zobaczę już ani mojego brata, ani jego żony i dziecka. Tyle czasu nie mamy od nich żadnej wiadomości. Chciałabym wierzyć, że są bezpieczni i się odnaleźli. Wciąż przypomina mi się tamto gliwickie mieszkanie, choć przecież byliśmy u nich tylko dwa razy. Teraz ich pościeli, obrusów i garnków będą dotykały obce dłonie, bo jeśli wyjechali,*



mogli zabrać ze sobą bagaż ważący najwyżej dwadzieścia kilogramów. Zobacz, kochany, właśnie tyle jest dla nich warte całe nasze życie.

Nie pora jednak o tym myśleć. Teraz Ty musisz zostać uwolniony. Nie wiem, jakie postawiono Ci zarzuty, ale przecież wszystkie są tylko czyjś pomyłką. Wciąż wierzę, że łatwo się z nich oczyścisz i do nas wrócisz.

Wczoraj do kamienicy znów przyszli mężczyźni w opaskach na ramionach. Gdy Mutter zobaczyła, jak rozmawiają na placu z panem Franciszkiem, zaczęła lamentować, że to po nią idą i zabiorą ją tak jak Ciebie. Z trudem odciągnęłam ją od okna. Nie umiałam jej uspokoić, bałam się, że jej płacze i niemieckie słowa będzie słyszeć na dworze. Potem jeszcze długo siedziałam na łóżku i tuląc Mutter oraz równie wystraszonego Piotrusia, nasłuchiwałam, czy ktoś nie idzie po schodach. Wydawało mi się, że słyszę, jak walą do drzwi, jak wołają, abyśmy otworzyły. Nikt jednak nie przyszedł.

Czuję, że to tylko kwestia czasu. W mieście coraz głośniej mówi się o tym, że mają wyrzucić Niemców z mieszkań. Spakowałam już najpotrzebniejsze rzeczy, aby nie zostać z niczym. Nie wiem, ile dadzą nam czasu na wyprawadzkę.

Patrzę teraz na naszą kuchnię. Na meble, sprzęty, na te wszystkie drobiazgi, które przez lata zgromadziliśmy, i myślę, że oddałabym je wszystkie. Bez mrugnięcia okiem przeniosłabym się do zagrzybionej sutenery, bylebyś tylko był tam ze mną. Wszystko byłoby lepsze od tej niepewności. Paraliżuje mnie odgłos kroków na klatce schodowej, każda głośniejsza rozmowa przyprawia mnie o drżenie, bo nie wiem, czy to już.

Muszę kończyć, kochany. Mutter gorzej się czuje, powinnam podać jej leki i zaparzyć zioła. Może jutro uda nam się dowiedzieć czegoś więcej o Twoim zatrzymaniu. Chciałabym przynieść Ci coś do jedzenia, bo pewnie źle Was tam karmią.

Do zobaczenia.

Margot

## Niczemu nie zaprzeczaj

Drzwi baraku otwierają się gwałtownie i uderzają o stojącą najbliżej nich pryczę.

– Baczość! – Nagły wrzask wybudza mężczyzn znajdujących się w środku.

Nowi są zdezorientowani. Przyglądają się, jak pozostali pospiesznie zeskakują z łóżek. Przerwy między pryczami są bardzo wąskie, więc osadzeni wpadają na siebie. Słyszą jęki tych, którzy niefortunnie się przewracają.

– Ruszcie się – cedzi przez zęby Wilhelm i szarpie Karola za ramię. – Szybko, bo inni za was oberwą.

Karol i Jan zrywają się z pryczy. Jan nie potrafi zejść, więc Ploch łapie go w pasie i nie zważając na opór staruszka, podnosi go jak małego chłopca.

Biegają za innymi i ustawiają się w rzędzie na środku baraku. Potem zapada kompletna cisza.

Teraz Karol może przyjrzeć się mężczyznom, którzy weszli do pomieszczenia. Jest ich dwóch. Jeden, ten, który stoi bliżej, ma na sobie cywilne ubranie. Na prawym ramieniu nosi biało-czerwoną opaskę, lewej ręki nie ma. Ściska w palcach gruby, skórzany pas.

Ploch patrzy na ogromną metalową sprzączkę i czuje falę mdłości. Zimny pot spływa mu po skroni. Pochyla głowę i oddycha głęboko, modląc się, żeby nie zwymiotować.

– Na środku zostają tylko nowi. Pozostali do łóżek! – wrzeszczy znów bezręki mężczyzna i uderza się pasem w udo.

Karol wręcz namacalnie czuje ulgę tych, którzy zostają odesłani na prycze. Odszukuje wzrokiem Wilhelma, chce ściągnąć na siebie jego spojrzenie, pragnie, aby doświadczony kolega dał mu jakiś sygnał, ale Koch patrzy w ziemię.

Gdy na środku pozostają tylko nowo przybyli więźniowie, przed bezrękiego wychodzi drugi z mężczyzn, wcześniej stojący nieco z boku, w pó-

łczeniu.

– Nazywam się Salomon Morel i jestem naczelnikiem tego obozu – mówi.

Nie jest wysoki, ale coś w jego posturze sprawia, że wygląda na bardzo silnego. Ma czarne włosy, twarz filmowego amanta i przyjemny głos niewzbudzający lęku. Na nonszalancko zarzuconym na ramiona płaszczu widnieją gwiazdki polskiego kapitana.

– Moi rodzice i rodzeństwo zostali przez was, Niemców, zagazowani w Oświęcimiu, a ja nie dam wam spokoju, dopóki wszyscy nie zostaniecie ukarani. – Twarz Morela zmienia się w jednej chwili. Teraz już nie jest przystojna. Wykrzywia ją grymas.

W ciemnych oczach naczelnika Karol dostrzega nienawiść i już rozumie, co miał na myśli Wilhelm, mówiąc, że być może nie wyjdą stąd żywi. Patrząc na Salomona Morela, Ploch zaczyna wierzyć w każde słowo Kocha.

– Ja też byłem w Oświęcimiu i przysięgłem sobie, że jeśli stamtąd wyjdę, odpłacę się wam, nazistom, za wszystko, czego od was doświadczyłem – kontynuuję mężczyzna i wolno podchodzi do pierwszego osadzonego.

Karol wychyla się nieco, aby zobaczyć, komu pierwszemu przyjdzie spojrzeć w oczy tej bestii, bo właśnie takie słowo przychodzi mu na myśl, gdy patrzy na naczelnika. Tak bardzo pragnie się obudzić z tego złego snu. Ze wszystkich sił chce przerwać koszmar, który zaraz stanie się rzeczywistością.

– Za co? – pyta Morel Erica. Jego głos, jakby nie współgrając z wyrazem twarzy, wciąż brzmi przyjaźnie i być może to zachęca chłopca do mówienia.

– To pomyłka! Pomyłka! To nie mnie mieli tu wsadzić – zaczyna młody Calsteren. Szybko wyrzuca z siebie kolejne słowa, jakby miało zależeć od nich jego życie. – Jestem Holendrem, mam dokumenty. Bronilem naszej kamienicy przed Sowietami, którzy szukali kobiet. Nie chciałem otworzyć bramy, ale oni zagrozili, że ją wysadzą. Co miałem robić? Było ich sześciu, po zęby uzbrojonych. Zgwałcili je wszystkie... Moją matkę, obie córki

sąsiadki. One nie mają jeszcze nawet czternastu lat... – Ze świstem wciąga powietrze, widać, że trudno mu mówić dalej.

Wspomnienia są bolesne i rozdzierają serca również innym. Morel słucha, czasem nawet lekko kiwa głową, zachęcając chłopca do dalszego opowiadania.

– Krzyki zaalarmowały polską milicję, ale przybiegli, gdy było już po wszystkim – relacjonuje dalej Eric. – Sowieccy żołnierze uciekli. Próbowałem tłumaczyć, co się stało, ale oni tylko wrzeszczeli, że jestem Niemcem, bo jak każdy Szwab mam jasne oczy. To ja ich wpuściłem... Pobili mnie, a potem zaciągnęli na posterunek. Jestem niewinny! – Głos Erica łamie się i przechodzi w urywany szloch.

Karol wstrzymuje oddech. Co zrobi naczelnik, który z takim zainteresowaniem słuchał opowieści chłopca? Przez głowę Plocha przebiega myśl, że może jednak Morel jest sprawiedliwy. Może rzeczywiście chce ukarać tylko tych, którzy na to zasłużyli. Kto wie, co w partii robił Wilhelm. Może donosił? Albo kolaborował? Może ma na rękach krew wielu przyzwoitych Ślązaków. Karol jest już prawie pewien, że Eric za chwilę zostanie zwolniony, że dla niego, a potem również dla innych, zakończy się to straszne nieporozumienie. Może nawet będą umieli wybaczyć tym, którzy zgotowali im tych kilka dni piekła. Przecież wszyscy wiedzą, jaki wokół panuje bałagan. Nietrudno o pomyłki.

Eric chyba też zaczyna wierzyć, że wszystko skończy się dobrze, bo podnosi spuszczoną głowę i patrzy ufnie w oczy naczelnika. Przestaje szlochać.

– Za co?

Pytanie Morela zaskakuje wszystkich. Calsteren rozchyła usta, ale nic nie odpowiada.

Zza pleców stojących dochodzą ciche szepty. Tylko ci na pryczach rozumieją, co się dzieje.

– Za co tu jesteś? – pyta ponownie naczelnik. Jego oczy płoną. – Kim byłeś?! HJ? NSDAP? Kim, kurwa, byłeś?! – krzyczy i wymierza Ericowi policzek.

Chłopak na moment traci równowagę, ale zaraz ją odzyskuje. Jakby z niedowierzaniem dotyka dłonią miejsca uderzenia.

– To nieporozumienie – szepcze niepewnie. – To...

Chce powiedzieć coś jeszcze, ale kolejny cios spada na jego głowę. Tym razem tak silny, że Holender się przewraca i uderza w drewnianą konstrukcję jednej z prycz.

– Kim byłeś?! – ryczy Morel. – Wstawaj i mów!

Eric podnosi się z trudem. Zostawia na podłodze krwawy ślad. Wściekły naczelnik podchodzi do niego i kopie go z całej siły w brzuch. Chłopak znów upada.

– Dwadzieścia – zwraca się do bezrękiego mężczyzny Morel. W jego głosie można wyczuć ekscytację.

Strażnik bez mrugnięcia okiem, z pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarzą, podchodzi do Erica, unosi rękę i uderza go pasem.

Karol widzi, jak ciężka sprzączka rozdziera koszulę chłopca.

Calsteren krzyczy i zasłania twarz rękami. Próbuje wczołgać się pod pryczę, ale nie daje rady, więc zwija się w kłębek, próbując chronić głowę i brzuch.

Naczelnik, nie zwracając już uwagi na maltretowanego więźnia, podchodzi do drugiego ze stojących w rzędzie mężczyzn.

Przez chwilę ostentacyjnie rozmasowuje odzianą w czarną rękawiczkę dłoń.

– Kim byłeś? – pyta jakby od niechcenia, nie patrząc na osadzonego.

– NSDAP – mówi tamten bez zająknięcia.

Karol odruchowo zamyka oczy. Nie chce patrzeć na zadawane mężczyźnie razy. Skoro Eric, który się nie przyznał, został pobity tak dotkliwie, że teraz leży bez ruchu między pryczami, co stanie się z tym, który otwarcie powiedział o swojej partyjnej przynależności?

A jednak nie dzieje się nic. Ploch nie słyszy odgłosów uderzeń ani krzyków bitego. Choć serce omal nie wyskakuje mu z piersi, otwiera oczy i widzi zadowolone oblicze Morela, który stoi już przy następnym więźniu.

Bardzo szybko dla wszystkich staje się jasne, że naczelnik każe bić tylko tych, którzy próbują tłumaczyć, że niczym nie zawinili, którzy milczą albo domagają się sprawiedliwego procesu.

Świadomość tego, że sami stają się kowalami własnego losu, przeraża.

Karol też się boi. Po ludzku obawia się bólu, który sprawi mu rozrywająca skórę sprzączka paska Skuteli, bo zdążył już usłyszeć, jak nazywa się pomocnik naczelnika, obozowy starosta. Jednak z drugiej strony myśl, że ma przyznać się do współpracy z hitlerowcami, jest dla niego nie do zniesienia. Ploch czuje, że takie słowa nigdy nie przejdą mu przez gardło.

– Przyznajcie się – mówi cicho do stojącego obok niego Jana. – Proszę was, przyznajcie się – szepcze, choć krzyki kolejnego bitego zagłuszają jego głos.

Janosch nie odpowiada. Patrzy w jeden punkt i wydaje się zupełnie nieobecny, a jednak, gdy naczelnik podchodzi do niego, ich spojrzenia natychmiast się przecinają. Tak, Jan doskonale wie, co dzieje się wokół i przed jakim wyborem postawił ich Morel.

– Niech pan kapitan nie pyta, tylko od razu bije – oznajmia rektor. Jego głos jest mocny i pewny.

Po raz pierwszy, odkąd Morel i Skutela zaczęli „powitanie” nowych, wewnątrz baraku zapada idealna cisza. Karol nie potrafi uwierzyć w to, co zrobił Jan. Stary człowiek, miły dla wszystkich i spokojny jak owieczka, teraz igra z samym diabłem. Drwi z komendanta. Nie boi się uderzeń pasa i właśnie zadecydował o swoim losie. Morel go zabije. Zaraz podniesie rękę, wymierzy pierwszy cios, a potem kolejne. I tym razem zrobi to sam, bez pomocy starosty.

Śmiech, który wypełnia salę, jest szczery. Kolejny raz tej nocy Ploch nie rozumie zachowania naczelnika. Patrzy, jak Morel klepie Janoscha po ramieniu i odchodzi od swoich ofiar.

– Niech pan kapitan nie pyta, tylko od razu bije – powtarza słowa Jana i idąc w kierunku drzwi, macha ręką na wyraźnie zmęczonego Skutekę. – Koniec zabawy na dziś – mówi już zupełnie poważnie. – Rozejść się! –

krzyczy i wychodzi, pozostawiając za plecami przerażonych i osłupiałych mężczyzn.

Przez dłuższy czas nikt się nie porusza. Nowo przybyli, ci, którzy nie leżą na ziemi, stoją oszołomieni, nie potrafiąc zrozumieć, co się przed chwilą wydarzyło. Co zrobił im ten przystojny mężczyzna w płaszczu z kapitańskimi gwiazdkami?

– Chłopy, co oni z nami robią? – odzywa się Paweł Kubiczek, a Karol uświadamia sobie, że po raz pierwszy słyszy głos tego mężczyzny, wysoki i piskliwy. Zupełnie nie pasuje do potężnej budowy ciała górnika.

Kubiczek kręci głową, nie dowierzając.

– Gdzie nas wysłano? Za co? – zastanawia się i zgięty wpół wlecze się do swojej pryczy.

Większość więźniów idzie za jego przykładem.

Przez chwilę słychać jedynie pojękiwania, czasem ciche modlitwy lub złorzeczenia. Nikt nie patrzy jednak wrogo na tych, którzy chcąc uniknąć tortur, powiedzieli to, co chciał usłyszeć Morel. Karol zastanawia się, kto faktycznie współpracował z Niemcami, a kto skłamał, aby chronić własną skórę.

Parę osób poklepuje Jana po ramieniu. Chcą okazać mu podziw, że miał w sobie odwagę, aby zadzwonić z naczelnika, lub współczucie, bo przecież wiadomo, że choć dziś postawa Janoscha rozśmieszyła Morela, jutro może chcieć go za tę butę ukarać.

Ale Jan tylko kiwa nieznacznie głową i jako jedyny podchodzi do wciąż leżącego na ziemi Erica.

– Wstawaj, chłopcze – mówi, pochylając się nad nim. – Podłoga zimna, a tu lepiej być zdrowym.

Dopiero teraz inni, otrząsając się z otępienia, również podchodzą do Holendra. To dla nich pierwsza bolesna lekcja. Trzeba uważać, aby w tym nieludzkim miejscu nie zgubić w sobie człowieka.

Karol boi się spojrzeć na pobitego Calsterena. Przed oczami wciąż widzi nieruchome ciało Kuna Wenzla. Wie, że nie poradzi sobie z widokiem ko-

lejnej śmierci.

Na szczęście z gardła Erica wydobywa się jakiś niezrozumiały szept.

– Co ty mówisz? Młody? – dopytuje Wilhelm. Chwyta chłopca pod ramię i stawia na nogi. – Nic ci nie będzie – stwierdza, poprawiając mu koszulę. Przesiąknięty krwią materiał cały jest podarty od uderzeń. – I to sobie zapamiętajcie – zwraca się nagle do pozostałych. – Dla nikogo tutaj nie ma znaczenia, co robiliście podczas wojny. Mogliście walczyć z Hitlerem albo przeciwko niemu. Mogliście ukrywać Żydów albo na nich donosić. Mogliście być w tajnym harcerstwie polskim albo w hajocie czy freikorpsie, w wojsku polskim albo w Wehrmachcie. To bez znaczenia. Dla nich tutaj każdy Ślązak jest nazistą, każdy Ślązak jest oblubieńcem Hitlera. Im bardziej będziecie protestować, tym mocniej będziecie obrywać. Jesteście synami Führera, a jeśli jeszcze tego nie wiecie, oni was do tego przekonają.

Mężczyzna odwraca się ponownie do Erica, który, cały drżąc, stoi pochylony ze złożonymi na piersi ramionami. Koch wzdycha ciężko, jakby rozczarowany tym, co widzi, jakby był już pewien, że ten wrażliwy dzieciak tutaj nie przetrwa.

– To, co dziś pokazał Morel, to tylko fragment tego, co tu jeszcze zobaczycie. A jeśli ktoś z was nie zna słów pieśni Horsta Wessela, hymnu nazistów, niech nauczy się ich szybko. Komendant uwielbia, jak śpiewamy. Za milczenie można trafić do karceru – ciągnie swoje przemówienie Wilhelm. – Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie – dodaje, zerkając na Jana podtrzymującego Erica.

W końcu we trojkę ruszają w kierunku pryczy. Karol, który już przy niej stoi, pomaga Janowi wdrapać się na górę. W tym czasie Koch układa Calsterena na własnym pośłaniu, zaś sam, zrzuciwszy na ziemię koc, kładzie się w wąskim przejściu między łózkami.

Barak milknie. Słyszać jedynie oddechy więźniów. Szybkie i nierówne. Czasem do tej niezwykłej orkiestry dołącza szept piętnastoletniego Holendra, który ni to we śnie, ni to na jawie wciąż wzywa matkę.

Karol myśli o Wilhelmie. Kim jest ten mężczyzna, który sam przyznaje, że jako jeden z nielicznych trafił tu nie bez przyczyny? Co go skłoniło, aby



zapisać się do partii? Czy przyznając, że podziwiał wodza, mówił prawdę, czy tylko ironizował? Ploch nie potrafi go potępić. Zbyt mało o nim wie, aby to uczynić, wszak zna takich, którzy jeszcze przed wojną poszli za Hitlerem. Niektórzy potem nie umieli spojrzeć na siebie w lustrze, inni pewnie do dziś w głębi ducha szepczą slogany o nazistowskim übermenschu<sup>[31]</sup>, żli, że przez czerwoną hołotę nic z tych planów nie wyszło.

Karol ostrożnie obraca się na bok, nie chcąc obudzić Jana.

Musi się dowiedzieć, jakim człowiekiem jest Wilhelm Koch i co nim kierowało. Może wtedy przewartościuje swoje osądy. Teraz jednak obaj z Janem będą trzymać się blisko tego mężczyzny. Wystarczyło zaledwie kilka godzin, aby Karol zrozumiał, że znajomość z więźniem może ocalić im życie.

## Zapach chleba

Wilhelm mówił prawdę. Na porannym apelu odbywającym się na utwardzonym placu między barakami rzeczywiście każą im śpiewać. Na szczęście pieśń, której chce wysłuchać Aleksy Krut, drugi z kierowników obozu, nie jest nazistowskim hymnem, choć rozkaz, jaki pada, przeraża Karola równie mocno.

– Do modlitwy! – krzyczy Krut, ściągając z głowy rogatywkę. – *Kiedy ranne wstają zorze* – zaczyna śpiewać, a w ślad za nim idą pozostali strażnicy.

– *Tobie ziemia, Tobie morze.* – Z gardeł więźniów wydobywają się niepewne tony. – *Tobie śpiewa żywioł wszelki. Bądź pochwalon, Boże wielki.*

Karol patrzy na krzyżyki zawieszane na szyjach strażników, na nabożne skupienie malujące się na ich twarzach i nie potrafi uwierzyć w to, co widzi. Znowu nie jest w stanie pojąć tego, czego jest świadkiem.

Wśród zgromadzonych na apelu nie widzi komendanta Morela, ale jest Skutela. Dłonie, które wczoraj były sprzączką pasa Erica oraz innych, dziś składają się do modlitwy.

Strażnicy zaczynają chodzić między więźniami i uważnie wsłuchiwać się w ich śpiew. Tym razem obrywają ci, którzy nie znają polskich słów modlitwy, myślą się bądź milczą.

– Pamiętam, jak ksiądz na lekcji katechezy pokazywał nam kiedyś obraz przedstawiający piekło – mówi do Jana Karol, gdy po modlitwach i przeciągającym się w nieskończoność liczeniu więźniów naczelnik w końcu zezwala na powrót do baraków. – Wszyscy baliśmy się rogatych diabłów uganiających się z widłami za grzesznikami. Przerazały nas pazury rozdzierające ludzkie ciała. Byliśmy głupi. Piekło to nie diabły, ale zwyczajni ludzie o niewinnych twarzach. I to jest najstraszniejsze.

Jan spogląda na swojego ucznia. Starzec z coraz większym trudem powłóczy nogami. Z wysiłkiem łapie powietrze przez rozchylone usta. On również przed oczami widzi teraz obraz Hansa Memlinga. Chce przypomnieć Karolowi, że piekło jest tylko częścią „Sądu Ostatecznego”, więc jeśli wśród ludzi są diabły, to należy mieć nadzieję, że są też anioły. Gwałtowny kaszel nie pozwala mu jednak na wypowiedzenie ani jednego słowa. Rektor potrząsa głową i chwyta Karola za ramię, pochylając do przodu umęczone ciało.

Ploch nie ma pojęcia, jak pomóc nauczycielowi. Martwi się o niego i wścieka na swoją bezradność. Prowadzi mężczyznę do baraku, a potem obaj kładą się na pryczy. Karol wsłuchuje się w świszczący oddech przyjaciela i nagle w głowie Plocha pojawia się myśl, że jest mu już wszystko jedno, co będzie z nim dalej.

Czuje, jak zapada się w sobie coraz głębiej i głębiej. A więc to dzieje się tak szybko? Tak łatwo jest zabić w sobie chęć życia? Wystarczy zrozumieć, że nic się nie znaczy, że każdy następny oddech zależy tylko od dobrej woli tych, którzy ich tu zamknęli.

Czy Margot też poddałaby się tak szybko? Nie, ona walczyłaby do końca, jeśli nie dla siebie, to dla Piotrusia. Zrobiłaby wszystko, aby żyć i ochronić synka.

Nagłe wspomnienie żony jest niczym błysk światła. Karol gwałtownie otwiera oczy, patrzy na brudne deski sufitu, na pełzające po nich robactwo,

które w nocy spadało mu na głowę, i wysilając odrętwiały umysł, zaczyna malować w wyobraźni obraz Margot.

Twarz o łagodnych rysach, pąsowe usta, drobne ramiona ukryte pod błękitną bluzką, tą, którą tak często zakłada latem, gdy po niedzielnej mszy w kościele Mariackim idą skąpanymi w słońcu ulicami miasta...

Obok Margot na deskach baraku pojawia się buzia ich synka. Roześmiana, z drobnymi piegami na nosie odziedziczonymi po matce i w zawadiacko przekrzywionym kaszkiecie. Piotruś biegnie przodem, ale odwraca się co chwilę, aby upewnić się, czy rodzice nie zmienili zdania i wstąpią na obiecane lody do jednej z okolicznych kawiarni.

Ploch przypatruje się stworzonemu w wyobraźni malunkowi. Jeśli ma to przetrwać, to tylko dla nich. Jeśli ma przeżyć, to jedynie po to, aby wrócić do swojej rodziny.

Już wie, że w obozie nie ma Margot. Nie odnalazł jej wśród kobiet stojących na apelu, jej nazwisko nie padło też, kiedy wymieniano chore więźniarki, które o własnych siłach na apel przyjść nie mogły.

Myśl o żonie i Piotrusiu, którzy są gdzieś tam, po drugiej stronie drutów, o ojcu, który narażając się na niebezpieczeństwo, przyszedł tu za nim i pewnie już szuka sposobu, aby wyciągnąć syna z tego przekłętego miejsca, sprawia, że nadzieja zaczyna kropla po kropli na powrót wlewać się w serce mężczyzny.

Pokonał pierwszą słabość. Pierwsze umieranie. I choć wie, że przyjdą kolejne załamania, czuje, jakby wstąpiła w niego nowa energia. „Nie ma przegranego, dopóki mecz trwa” – przypomina sobie słowa swojego idola, Eziego Wilimowskiego, które tamten zapisał mu na bilecie, gdy przypadkiem wraz z Piotrusiem spotkali piłkarza w zwierzyńcu w parku Kościuszki.

„Gdzie teraz jesteś, Ezi? Czy ciebie też uznano za zdrajcę, bo najbardziej na świecie pragnęłeś grać w piłkę?” – zastanawia się Ploch.

Karol zeskakuje z pryczy. Zamierza opowiedzieć Wilhelmowi o piłkarzu, którego uwielbia. Chce zachować pozory, pragnie choć przez chwilę zająć myśli czymś innym niż obozowa egzystencja, ale kiedy pochyła się nad

drzemiącym mężczyzną, nagłe poruszenie, a przede wszystkim drażniący nozdrza zapach sprawiają, że jego myśli umykają w innym kierunku.

– Chleb! Chleb przyjechał! – wołają więźniowie i zeskakują z łóżek znacznie szybciej, niż robili to nocą na rozkaz Morela.

Słyszą brzdęk naczyń.

Blokowy Marek wchodzi do baraku, pchając przed sobą wózek, na którym leżą porozrzucane w nieładzie bochny chleba. Na dolnej półce wózka stoi spory garnek z przezroczystą cieczą.

– Stać! Ustawić się w kolejce, bo nikt nic nie dostanie! – wrzeszczy Marek i zaczyna wymachiwać gumową pałką wyciągniętą zza paska.

Wszyscy natychmiast się zatrzymują. Widać wiedzą, że nadzorca nie rzuca słów na wiatr.

Rozpoczyna się skomplikowana procedura dzielenia chleba. Karol patrzy, jak blokowy wyjmuje z kieszeni sznurek i wzywa do pomocy jednego z więźniów. Potem obaj dokładnie mierzą i odcinają pajdy. Wszystko trwa niezwykle długo, ale, o dziwo, nikt nie pospiesza Marka ani nie przepycha się w kolejce.

W końcu ten, który ustawił się jako pierwszy, może podejść.

Pomocnik blokowego wręcza mu pajdę chleba, a do podstawionej puszki po konserwie nalewa chochlą coś, co Karolowi przypomina pomyje, choć inni twierdzą, że to zupa.

– Nie mamy żadnego naczynia – szepcze do Janoscha. – Skąd je wzięliście? Dali wam? – Spogląda pytająco na Wilhelma.

Koch marszczy brwi, jakby nieco już poirytowany tym, że nowi wciąż nie odnajdują się w obozowej codzienności, ale odpowiada spokojnie.

– Za kuchnią, tam, gdzie wyrzucają odpadki, czasem trafi się puszka. Trzeba się podkraść i coś sobie znaleźć. Tyle że to zabronione.

Karol o nic już nie dopytuje, ale gdy w końcu przychodzi jego kolej, robi coś, co jeszcze kilka dni temu wydawałoby mu się niegodne cywilizowanego człowieka i obrzydliwe. Podany przez Marka chleb wsuwa do kieszeni, po czym wyciąga do przodu dłonie złożone w koszyczek.

– Nalej mi tutaj – mówi do mężczyzny trzymającego chochlę.

Tamten patrzy na oblepione brudem i zaschniętą krwią ręce, a potem wzrusza ramionami i wlewa do nich zupę.

Ploch nie zastanawia się ani przez chwilę. Czuje, jak ciecz kapie mu na buty, więc błyskawicznie unosi ręce i wlewa sobie zupę do ust. Połyka, nie myśląc o smaku, i zaczyna wyjadać pozostałe na rękach kawałki kwaszonych buraków.

Odchodzi, dostrzegając, że inni nowi idą w jego ślady i też używają dłoni jako naczyń. Zjedzona zupa cofa mu się do gardła, gdy patrzy, jak jego kompani łapczywie wylizują resztki.

„Jeszcze dziś znajdę puszkę. Dla siebie i Jana” – obiecuje sobie w duchu, wkładając do ust maleńki kawałek gumiestego chleba. Potem rozgląda się dookoła. Przypatruje się towarzyszom niedoli, próbując znaleźć odpowiedź na pytanie, co zrobić z tymi kilkoma marnymi kęsami mającymi starczyć im aż do jutra.

Różne są sposoby, aby oszukać głód. Niektórzy jedzą szybko, gryzą chleb, popijając go zupą i w kilka chwil kończą posiłek. Inni upychają pajdy po kieszeniach, oderwawszy sobie zaledwie małą część. Żują ją powoli, z nabożną czcią, jakby w ustach mieli ciało Chrystusa, a nie codzienny pokarm.

Karol postanawia, że resztę pieczywa zje dopiero wieczorem. Walczy z głodem przez dłużące się w nieskończoność minuty, których i tak nie może policzyć, bo nikt w baraku nie ma zegarka, a czas wyznacza jedynie powrót do obozu tych, którzy na porannym apelu wygrali szczęśliwy los na loterii i otrzymali nakaz dołączenia do brygady pracującej. Niestety, wśród wybrańców nie ma nikogo z siódemki.

Ploch próbuje oszukać zmysły, myśląc o wspaniałych ciastach, które nawet w czasie wielkiego kryzysu potrafiła wyczarować Margot. O torcie, który upiekła zaledwie kilka dni temu na ich rocznicę, o pączkach z różaną konfiturą piętrzących się na ustawionej na stole paterze w jego urodziny. Prawie czuje smak cytrynowego lukru oblepiającego palce. Nigdy nie lubił

tej lepkości, przeszkadzała mu, ale teraz oddałby wszystko, aby móc wsunąć palce do ust i wyssać z nich słodycz.

Czuje, że przegrał walkę. Wyciąga z kieszeni chleb i rwie go zębami. Następnie gryzie niestarannie i połyka, prawie się krztusząc. Tak samo robi z kolejnym i ostatnim kawałkiem. Zbiera ze spodni kilka okruszków i trzyma je w ustach tak długo, aż zupełnie się rozpuszczą, aż przeminie choćby najdelikatniejsza nuta smaku, a potem kładzie się na pryczy i płacze.

Karol Ploch szłocha jak dziecko, bo wie, że na następny posiłek będzie musiał czekać wiele godzin, a obudzony zupą i chlebem żołądek gwałtownie domaga się kolejnej porcji jedzenia.

Do  
Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego  
w Katowicach

*Niżej podpisana zwraca się z wielką i uprzejmą prośbą do wyżej wymienionego Urzędu o zwolnienie jej z Obozu Pracy w Świętochłowicach. Prośbę moją uzasadniam następująco:*

*Urodz[iłam] się dnia 6 I 1921 w Chorzowie, a od 1926 r. zamieszkiwali rodzice moi w Karbiu pow. Bytom. Do szkoły uczęszczałam także w Karbiu. Jestem Reichsdeutsch, jednak nie należałam do żadnej organizacji niem[ieckiej] lub hitlerowskiej.*

*W dniu 13 czerwca 1945 r. zostałam z matką moją z nieznanym mi dotychczas powodów aresztowana, a w dniu 20 czerwca 1945 r. osadzona w Obozie Pracy w Świętochłowicach. Matka moja zmarła 28 czerwca 1945 r. w tutejszym obozie.*

*Ponieważ nie mam rodziców i rodzeństwa, a tylko krewnych, którzy są Polakami i zamieszkują na Śląsku polskim, chciałabym także zostać Polką i zamieszkiwać nadal w Polsce. Wniosek o moją rehabilitację złożony został przez mojego wujka Polaka, obyw[atela] Hieronima Knapika zam[ieszkałego] w Chorzowie I, ul. Gałęckiego.*

*W nadziei uwzględnienia mojej prośby, kreślę z poważaniem*

*Analiza Wolnik<sup>[32]</sup>*

## Kanarek odfrunął

Nieludzkie wrzaski przerywają niespodziewanie monotonię popołudnia. Przez ostatnie dni Karol wielokrotnie zastanawiał się, co w obozie jest najgorsze do wytrzymania. Głód? Brutalność strażników? Czy może godziny, których nie ma czym wypełnić?

Tych, których komendanci wyznaczają do jakichkolwiek robót, traktuje się jak największych szczęściarzy. Mogą choć na kilka godzin znaleźć się poza drutami, mogą zająć czymś ręce, a przede wszystkim głowy. Mężczyźni z baraku numer siedem nigdy nie otrzymują takiej sposobności. Oprócz udziału w nocnych „zabawach” urządzanych przez komendanta i strażników, podczas których poznają wciąż nowe metody maltretowania i odczłowieczania, nie wymaga się od nich niczego. Mogą całymi dniami leżeć na pryczach, spać lub rozmyślać o swoim losie. Mogą też zabijać czas rozmową, ale na to już po kilku dniach nikt nie ma ochoty. Są zbyt słabi, a przede wszystkim zbyt przygnębieni. Zresztą o czym tu gadać, kiedy świat każdego z nich się skończył.

W nowej rzeczywistości wszystko staje się sensacją, chwilowym przerwaniem monotonii, która obłapia człowieka mackami, wysysając z niego wszelką energię.

Właśnie dlatego wrzaski rozbrzmiewające gdzieś na zewnątrz w kilka sekund stawiają pogrążonych w półśnie mężczyzn na nogi. Więźniowie podbiegają do okien i drzwi. Nie mogą wyjść, bo wraz z krzykami rozlega się dźwięk umieszczonego na placu apelowym dzwonka, który sygnalizuje zakaz opuszczania baraków. Cisną się zatem przy niewielkich okienkach, popychając się wzajemnie. Każdy chce choć na chwilę zerknąć na to, co dzieje się na zewnątrz.

– Ciągną jakieś kobiety. To one tak krzyczą – komentuje Eric, który znalazł sobie najwygodniejsze miejsce do obserwacji.



– Ale co to za kobiety? Więźniarki? Nasze? – dopytują inni.

Eric zaprzecza.

– Nie nasze, bo nie mają ogolonych głów i trzymają w rękach torby i słóiki. Chyba z jedzeniem tu przyszły. Ciągną je do komendantury!

W baraku na moment zapada cisza, a potem więźniowie zaczynają jeszcze bardziej przepychać się i tłoczyć. Teraz już nie przebierają w środkach, aby choć przez chwilę spojrzeć na kobiety. Szarpią się nawzajem za koszule, ktoś obrywa pięścią w nos, ktoś inny brutalnie odepchnięty upada na podłogę. Każdy pragnie zobaczyć, czy to przypadkiem nie jego matka, żona albo córka zostały zatrzymane za to, że chciały nakarmić głodnych bliskich.

Karolowi też przyspiesza serce.

Minął tydzień, odkąd ich tu wsadzili, a on codziennie wypatruje Margot wśród kobiet ustawiających się pod bramą. Rozgląda się, a potem modli, aby nikt z jego rodziny tu nie przychodził.

Po co się narażać, po co ściągać na siebie spojrzenia? Jedzenie, które strażnicy odbierają od kobiet, i tak najczęściej nie trafia do adresata, a jeśli nawet, to każdy kęs domowej strawy słono kosztuje. Choć więźniowie nie mają przy sobie niczego, handel trwa w najlepsze.

Płoch gwałtownie łapie Erica za kołnierz i odsuwa go od okna.

– Daj też innym zobaczyć, gówniarzu! – krzyczy.

Strach sprawia, że nawet on staje się agresywny. Nerwy mu puszczaają. Teraz liczy się tylko to, aby spojrzeć przez szybę i upewnić się, że wśród zatrzymanych nie ma jego żony.

Obrazek jest wstrząsający.

Strażnicy, nie zważając na płacz i błagania, na wpół prowadzą, na wpół włoką po pośniegowym błocie trzy kobiety. Dwie z nich są młode, trzecia starsza, w wieku matki Karola, ale nawet na tak zaawansowany wiek strażnicy nie zwracają uwagi. Tym bardziej że staruszka najpewniej postradała ze strachu rozum, bo wciąż próbuje tłumaczyć coś strażnikom po niemiecku, co jeszcze bardziej ich rozjusza.

– Zamknij ryj, niemiecka kurwo! – ryczy Skutela i uderza babkę w twarz.

Młodsze kobiety zaczynają rozumieć, że nic nie wskórają, a szarpanina jedynie przysporzy im bólu. Uspokajają się i pozwalają prowadzić, szeroko otwartymi ze strachu oczami rozglądając się wokół.

– Przecież to moja córka! Moja Barbarka! – Głos Pawła sprawia, że wszyscy w jednej chwili przestają interesować się tym, co dzieje się na placu.

Więźniowie baraku numer siedem patrzą ze współczuciem, a nawet pewnym zakłopotaniem na swojego druha. Wszak każdy tu już zdążył się dowiedzieć, jaka tragedia spotkała ich kompana podczas wojny, i choć nikt z więźniów stracił kogoś bliskiego, rozstrzelanie chłopaka, który poszedł do siedziby gestapo, aby uratować siedzącego w areszcie ojca, wydaje się szczególnie wstrząsające.

Paweł nie widzi jednak tych spojrzeń, jest zupełnie oszołomiony.

– To moja Baśka – powtarza zdumiony. – Co ona tu robi?

W baraku znów zapada idealna cisza. Nikt nie wie, co powiedzieć, ani jak pocieszyć przyjaciela. Mężczyźni nie mają pojęcia, dlaczego straż prowadzi kobiety do komendanta. Czy Morel pogrozi im tylko palcem i zakazuje wystawiania pod bramą, czy może zamknie je tutaj, ogoli im głowy, a potem pozwoli na zaczepki, sprośne zżarty, a może i coś więcej, o czym żaden z ojców i mężów nie chce nawet myśleć.

\*

Nie mija wiele czasu, a po obozie rozchodzi się wieść, że kobiety zostały zatrzymane. Za co i dlaczego – nie wiadomo.

– Basia. Barbórka... – jęczy Kubiczek, obejmując się ramionami i kołysząc w przód i w tył, jakby był w jakimś letargu. – Chłopy! Tylko ona mi została. Synka mi Niemcy zabili, żona dawno już na tamten świat uciekła... Tylko ją jedną mam. Za co ją tu wsadzili? Za troskę o starego ojca? Przecież ona ma siedemnaście lat i nigdy nikomu nic złego nie zrobiła.

A potem już nic nie mówi, tylko leży na pryczy i patrzy gdzieś w przestrzeń, zupełnie nieobecny.

Karol współczuje mu szczerze. Teraz chłopina nie tylko o swój los, ale też o los córki będzie się musiał troszczyć, a wiadomo, że własna krzywda mniej boli niż krzywda bliskich. Jest mu żal Pawła, jednak myślami jest przy Margot, która ma drugą grupę, a przy tym niemieckobrzmiące imię i oczy jaśniejsze nawet od oczu Erica.

Co to za dziwne miejsce, co to za cudaczny skrawek ziemi, na którym raz można oberwać za polską, a raz za niemiecką mowę.

Musi dać żonie jakiś znak. Musi znaleźć sposób, aby jej przekazać, że nie może tu przychodzić. Ani ona, ani ojciec, ani matka. Dopóki tu siedzi, muszą o nim zapomnieć, muszą zatroszczyć się sami o siebie i unikać kłopotów. Tak będzie najbezpieczniej.

„Stanik Muszalik!” – Karol wpada na pomysł, gdy wieczorem leży obok Jana na pryczy. Natychmiast opowiada nauczycielowi o swoim planie.

– On wychodzi do roboty, do huty. Zna mnie, może będzie chciał pomóc. W hucie pracują też cywilni robotnicy, którzy wspierają więźniów. Czasem przyniosą kawałek kiełbasy, czasem przekażą wiadomość rodzinie... Może uda się w ten sposób z Margot skontaktować? Może ktoś jej powie, aby trzymała się z daleka od Zgody?

Ploch patrzy wyczekująco na przyjaciela. Potrzebuje jego wsparcia i akceptacji, ale Janosch długo się nie odzywa. Karol słyszy jedynie ciężki oddech staruszka i widzi, jak niewiele zostało już z człowieka, z którym wszedł za bramę obozu zaledwie tydzień temu.

Wystarczy spojrzeć na starego nauczyciela, aby dostrzec uciekające z niego życie. Być może Morel też to widzi. Przygląda się przecież Janowi na każdym apelu, dobrze go pamięta, a mimo to wciąż nie karze mężczyzny za drwinę, której dopuścił się podczas tamtej pierwszej nocy. Najwyraźniej uznał, że nie będzie brudził sobie rąk, skoro kostucha chce go wyręczyć.

– Jeśli masz jakąkolwiek możliwość, żeby ratować żonę, złap się jej i zrób wszystko, aby się udało – odzywa się w końcu Jan słabym głosem, powoli cedząc słowa. – Jeśli Stanik jest twoją jedyną szansą na kontakt z Margot, spróbuj mimo ryzyka. Najbardziej żałuje się rzeczy, których się nie zrobiło.

– A jeśli Muszalik doniesie na mnie do komendanta? Albo wybierze nieodpowiedniego posłańca i tamten nas wsypie? Wtedy Margot będzie jeszcze bardziej zagrożona.

– Tutaj żadna decyzja nie jest dobra – przerywa Karolowi Janosch. – Nie wiesz, czym ściągniesz na nią większe niebezpieczeństwo: próbą przesłania jej wiadomości czy jej brakiem.

Chce jeszcze coś dodać, ale przerywa mu atak kaszlu. Ploch z trwogą patrzy na przyjaciela, na jego zażółconą twarz, przekrwione oczy i spierzchnięte usta z trudem walczące o każdy oddech, i już wie, że jego druh nie doczeka zwolnienia z obozu. Czuje, jak ogarnia go złość. Dlaczego Jan poddał się tak szybko? Dlaczego nawet nie próbuje przytrzymać się uciekającego życia?

– Nie zostawiaj mnie tutaj samego! Nie uciekaj! – szepcze cicho i czuje się tak samo bezradny i opuszczony jak wtedy, gdy za szkolnymi kiblami oplakiwał odebrany mu słodki smak kołacza.

Teraz jednak nie ma nikogo, kto mógłby stanąć obok niego i uspokajająco pogładzić jego posklejane brudem włosy.

Mężczyzna wpatruje się w wychudzoną twarz rektora, a kiedy ich spojrzenia się krzyżują, Ploch pojmuje, że stary nauczyciel nie może tu zostać, nie może być więźniem obozu śmierci, spać na zarobaczonym sienniku, pobity i poniżany przez strażników.

Kiedy liczy nierówne oddechy Jana, przychodzi mu do głowy myśl, że być może życie nie jest największą wartością. Może godność i szacunek do samego siebie przewyższają potrzebę przetrwania.

– Ty masz powód, aby to wszystko znosić – odzywa się ponownie Jan, tak cicho, że Karol musi prawie dotknąć uchem jego warg, aby usłyszeć szept. – Myśl o Margot i Piotrusiu. Ciągle o nich myśl. I rób coś, cokolwiek... Bezczytność zabija najszybciej.

Jeszcze w czasie wojny Karol, słysząc o Żydach zamykanych w gettach, o obozach i sowieckich łagrach, zastanawiał się, dlaczego więźniowie tak rzadko się buntowali, dlaczego nie próbowali atakować strażników i walczyć o wolność. Przecież zawsze przewyższali ich liczebnością. Słu-

chając teraz słów Janoscha i patrząc na współtowarzyszy leżących nieruchomo na pryczach, Karol zaczyna być pewny tego, co już wcześniej przemknęło mu przez myśl. Wystarczy odebrać ludziom nadzieję, wystarczy wmówić im, że są jedynie numerkami w księżde osadzonych, zdanymi na łaskę i niełaskę strażników, a oni szybko w to uwierzą. Zbyt szybko.

Wstaje i cicho ześlizguje się na podłogę. Musi działać, aby nie stać się kolejną pociąganą za sznurki marionetką.

\*

Zgodnie z obozowym regulaminem baraki można opuszczać wyłącznie po to, aby udać się za potrzebą, i to w dziesięcioosobowych grupach. Bijący dzwon zakazuje jednak takich wycieczek, gdy robotnicy wychodzą poza obóz, gdy do obozu kierowana jest nowa grupa więźniów albo gdy wywożone są ciała zmarłych.

Karol pamięta doskonale, że za złamanie jakiegokolwiek punktu regulaminu grozi w najlepszym razie pobicie, w najgorszym – karcer.

Tego słowa boją się tu wszyscy. Obozowy karcer to pozostałość po wojnie. Dawny bunkier przeciwlotniczy, który ktoś, być może sam Morel, rozkazał zalać wodą. Ukaranego więźnia zmusza się, aby schodził po prowadzących w głąb budynku schodkach tak długo, dopóki jedynie głowa nie będzie widoczna ponad taflą wody. Nieszczęśnik musi stać tak zanurzony – czasem kilka godzin, czasem kilka dni. Wyławianie zwłok tych, którzy nie dali rady, to częste zajęcie pozostałych przy życiu więźniów.

– To musi być straszna śmierć – szepczą ci, którzy wynoszą topielców. – Kiedy czujesz, jak się zbliża, jak cię pochłania i zabiera oddech.

Karol, stojąc przez barakiem, właśnie tej kary boi się najbardziej, ale musi pokonać strach. Dla Margot. Dla Piotrusia. Dla Jana.

Plan Płochy jest prosty. Wie, że Stanik przebywa w baraku znajdującym się najbliżej ubikacji. To ułatwia nieco sprawę, bo jeśli go zatrzymają, powie, że idzie za potrzebą.

Aby dodać sobie odwagi, powtarza w myślach, że przecież nie wszyscy strażnicy są okrutni, wielu przymyka oko na drobne łamanie regulaminu i samotne wyprawy do haźli.

Idzie szybko i z pochyloną nisko głową przemyka przez plac apelowy. Udaje mu się niezauważonym dotrzeć do ubikacji. Nie może jednak zbliżyć się za blisko do baraku Stanika. Jeśli któryś strażnik by go zobaczył, Karol nie mógłby liczyć na wyrozumiałość. Co innego pójście za potrzebą, a co innego próba nawiązania kontaktu z osadzonym w innym baraku. Szczególnie jeśli jest się mieszkańcem siódemki.

Pomysł Karola jest inny. Wymaga jednak od niego wtajemniczenia jeszcze jednej osoby.

Osadzone kobiety, oprócz tych skazanych za przynależność do faszystowskich organizacji, często wykonują różnego rodzaju prace na terenie obozu. Zamiatają plac, pomagają w kuchni, obcinają włosy nowo przybyłym albo sprzątają umywalnie i ubikacje.

Ploch widział wczoraj, że ustępy myśla Adela Ciupka. Zapamiętał ją jeszcze z ulicy Zamkowej. To do niej podbiegł chłopczyk – Egon – i razem z nią został tu zamknięty.

Karol wie, że Adela nie jest dobrym pośrednikiem. Kobieta może nie chcieć się narażać, wszak dba tu nie tylko o siebie, ale też o synka. Ale Ploch słyszał również, że Ciupkowa jest odważna. Morel już wielokrotnie wzywał ją na przesłuchania, twierdząc, że mąż Adeli był członkiem Freikorpsu, a w ich mieszkaniu zorganizowano skład broni. Ciupkowa jednak zaprzecza. Nie łamie się nawet wtedy, gdy zabierają uczonego jej spódnicy synka i pokazują mu granaty i pistolety, każąc wskazać, które z tych rzeczy widział w domu.

Choć przyznanie się do winy zaoszczędziłoby im wiele cierpienia, Ciupkowa zaciska pięści i patrząc w oczy komendantowi, dumnie powtarza, że ani ona, ani jej mąż nigdy nie współpracowali z nazistami. Ciupka harował w hucie, nawet w Wehrmachcie nie był, bo huta, potrzebując robotników, wybroniła go przed pójściem w kamasze.

Zamknięcie Adeli i jej synka w obozie, tak jak zamknięcie większości innych, jest wynikiem czyjegoś błędu, nieprawdziwego donosu albo efektem podłej chęci rewanzu, karą za nieistniejącą winę.

Ploch czuje ulgę, widząc kobietę przy łaźniach. Ogromną, w stosunku do jej drobnej budowy, łopatą zrzuca sople lodu zwisające z dachu budynku.

Karol zastanawia się, kto dał jej takie zadanie? Komu zależy, aby idący do łaźni więźniowie, zanim będą mogli przez kilka sekund postać pod lodowatym strumieniem wody, nie dostali spadającym soplem w głowę?

Mężczyzna zatrzymuje się przy wejściu do toalet i czeka, aż Adela go zauważy. Jest tak pochłonięty przyglądaniem się pracującej kobiecie, że wzdryga się przestraszony, gdy niespodziewanie ktoś zachodzi go od tyłu i pociąga za rękaw.

– To ty... – Wzdycha z ulgą, ujrawszy obok siebie Egona.

Jak mógł pomyśleć, że Adela jest tu sama? Przecież dobrze wie, że malec ani na krok nie odstępuje matki. Ploch pochyla się, patrzy w ciekawskie oczy dziecka i ogarnia go taka tkliwość, taki żal, że jednym ruchem przyciąga do siebie chłopczyka i tuli go w ramionach jak własnego syna.

– Puść go! – Głos Adeli brzmi groźnie. – Jeszcze twoje wszy na dziecko mi przejdą – dorzuca, przyciągając chłopca do siebie.

– Co tu tak stoisz? Rób, co potrzebujesz, i wracaj, bo zaraz Skutela się pojawi albo inny i oberwiesz za takie łażenie.

Karol wie, że kobieta ma rację. Za dużo już czasu zmarnował. Zaraz ktoś się nim zainteresuje. Rozgląda się i widzi, jak z daleka w stronę ubikacji idzie grupa kobiet.

To jego jedyna okazja, jedyna szansa.

– Znacie Stanika Muszalika? – pyta Adelę.

Kobieta przeszywa go wzrokiem. Jest ostrożna. Rozmowy z brunatnym barakiem są zabronione. I ona doskonale o tym wie.

– Muszę z nim porozmawiać – wyjaśnia Karol. – Jeśli tu przyjdzie, przekażcie mu, że jutro po apelu, zanim wyruszą do roboty, będę tu na niego

czekał. Pracującym zezwalają na skorzystanie z kibla przed wyjściem, a ja jakoś się przemknę.

Ciupkowa nie odzywa się ani słowem. Wciąż patrzy na Karola, a on niczego nie umie wyczytać z jej twarzy. Zastanawia się, czy w ogóle go usłyszała, czy zrozumiała, co do niej mówi.

Gdy grupa kobiet jest już całkiem blisko, Adela, ciągnąc za sobą Egona, odwraca się szybko.

– Zrobicie to? Powiecie mu? – próbuje jeszcze raz Karol, ale Ciupkowa, nie zwracając na niego uwagi, odchodzi.

– To bardzo ważne... – szepcze już bardziej do siebie niż do niej.

„Popełniłem błąd” – myśli, gdy noga za nogą wlecze się do baraku, czując, jak smutek i lęk znów chwytają go w swoje sidła. Adela nie ściągnie na siebie niebezpieczeństwa, a on może się tylko modlić, żeby była tak pocziwą kobietą, jak mówią, i nie wydała go strażnikom, by poprawić własny los. Jednak czy mógłby ją za to winić?

Przed oczami stają mu twarze Margot i Piotrusia, Adeli i jej synka. Obrazy się zlewają. Chwilami Karolowi wydaje się, że nie ma żadnego obozu, że wraca do domu po zwyczajnym dniu pracy w przedsiębiorstwie. Przecież nie można ot tak człowieka zamknąć, bić i głodzić bez wyroku, bez jednego słowa wyjaśnienia. Czym różni się ofiara od kata, kat od ofiary, jeśli w czasie wojny i po niej ludzie robią sobie te same rzeczy?

Nie, to musi być przywidzenie. To musi być zły sen, z którego w końcu uda mu się obudzić.

– Panie Ploch! Panie Ploch! – woła Eric, kiedy tylko Karol przekracza próg baraku.

Młody Holender stoi przy jego pryczy i trzyma dłoń na czole Jana.

– Pogorszyło mu się – informuje Karola, gdy ten podchodzi. – Chyba ma wysoką gorączkę.

Ploch dotyka czoła przyjaciela. Eric ma rację. Jan jest rozpalony. Twarz ma wilgotną od potu.



– To pewnie zapalenie płuc. Już od kilku dni strasznie kaszlał – zauważyła przejęty chłopak, tak jakby Karol mógł przeoczyć pogarszający się stan zdrowia rektora.

– Jak się czujecie? – pyta Ploch, gładząc delikatnie policzek Janoscha, ale Jan nie odpowiada. Oddycha tylko coraz płycej i szybciej.

– Trzeba go zanieść do izby chorych. Doktor musi mu pomóc. – Eric patrzy z nadzieją na Karola.

Stary nauczyciel, który zatroszczył się o niego po pobiciu, stał się mu bardzo bliski.

– Jeśli ten człowiek jest dla was ważny – odzywa się Wilhelm – zostawcie go tutaj i pozwólcie mu w spokoju umrzeć albo przeżyć.

– Przecież mamy blok chorych. Pracuje tam więzień, który jest lekarzem. Ponoć znanym w Katowicach. Jak mu tam... – Karol w nerwach nie umie sobie przypomnieć. – Kurt Glombitza.

Koch śmieje się krótko. Nie ma w tym dźwięku jednak ani cienia wesołości. Wszyscy, którzy stoją obok, czują powiew chłodu.

– Znam tego człowieka jeszcze z czasów wojny. Był obersturmführerem w SA. Zapamiętałem go jako kawał drania, a z tego co słyszę, teraz jest jeszcze gorszy.

Karol nie może uwierzyć w słowa Wilhelma. Widział już kilka razy obozowego lekarza. Nie wyglądał jak inni więźniowie, zagłodzeni i pobici. Widać było, że cieszy się tu specjalnymi przywilejami.

– To my tu gorzej niż zwierzęta jesteśmy traktowani, a on... chodzi jak pan? – Kubiczek aż drży ze zdenerwowania.

Inni więźniowie też są poruszeni słowami Kocho. Nic tu do niczego nie pasuje. Jak w koszmarnym śnie, z którego nie da się obudzić.

\*

Ostatecznie nie proszą blokowego o pozwolenie na zanieśenie Jana do ambulatorium. Czuwają przy nim całą noc. Wilhelm, Eric, Karol i Paweł, który

zajmuje się wszystkim, o co poproszą go inni, byleby tylko nie myśleć o Basi siedzącej w baraku kobiet.

Do tej pory córce i ojcu udało się porozmawiać tylko jeden raz. Przepłacili strażnika basynym pierścionkiem i w zamian za złoto otrzymali kilka minut za kiblami. Paweł dał Basi swoją puszkę, aby miała do czego nabierać buraczaną zupę, a potem wrócił do baraku roztrzęsiony, choć dziewczyna zapewniała go, że da sobie radę i nic jej nie będzie. Od tamtego dnia Paweł z nikim o córce nie chce rozmawiać, zaciął się. Jednocześnie Jana pielęgnuje z niepasującą do tego wielkiego jak dąb chłopa delikatnością.

Cała czwórka robi, co tylko może. Mężczyźni chłodzą kostki i czoło Janoscha okładami zrobionymi z zawiniętego w kawałek materiału sopła lodu, oklepują też plecy chorego, gdy męczą go napady kaszlu.

Momentami Jan odzyskuje świadomość.

– Nie musicie – mówi ochryple. – Ja już się nażyłem. Ale młodzi muszą uciekać. On musi uciekać. Musicie go uratować – dodaje, gwałtownie siadając na pryczy i łapiąc za ramię Erica. – Uciekaj stąd! – powtarza na wpół przytomny, patrząc niewidzącymi oczami na Calsterena. – Uciekaj stąd, chłopcze!

– Majaczy – szepcze wystraszony Holender, unikając wpatrzonych w niego oczu nauczyciela. – To przez gorączkę tak mówi... – dorzuca niepewnie.

Nad ranem Jan zasypia.

Inni też są zmęczeni, potrzebują chwili snu przed porannym apelem, który przeciąga się czasem do kilku godzin. Karol kładzie się koło Jana w taki sposób, aby zabierać choremu jak najmniej miejsca. Wie, że przyjaciel potrzebuje wygody.

Sen jednak znów nie chce nadejść. Natrętne myśli mącą spokój Plocha. Jak to możliwe, że zaledwie miesiąc temu ufał, że wraz z zakończeniem wojny zniknie lęk o przyszłość? Różowe plakaty informujące o wykonanych karach śmierci już nie będą przerażać przechodniów. Nie trzeba

będzie omijać ulicy Powstańców, aby nie słyszeć krzyków więzionych tam ludzi.

Jak to możliwe, że teraz, po wojnie, on sam stał się więźniem? Zastanawia się bezustannie, co złego zrobił, że tutaj trafił, że leży na pryczy, na której jeszcze kilka miesięcy wcześniej leżeli więźniowie filii obozu Auschwitz. Czy ich bito mocniej? Czy głodzono ich bardziej? Płoch przypomina sobie mężczyzn o patyczkowatych nogach i pergaminowych twarzach ze zbyt wielkimi oczami, którzy odziani w pasiaki i trepy byli pędzeni ulicami Świętochłowic na spotkanie ze śmiercią. Czy i jego czeka podobny los? Czy za miesiąc, dwa, a może szybciej, tak jak tamci przestanie przypominać ludzką istotę?

Wilhelm śmieje się z jego naiwności, ale on wciąż stara się wierzyć, że musi istnieć powód jego zatrzymania, choćby najbliższy, wynikający z czyjegoś kłamstwa lub bałaganu. W praworządym państwie nie można przecież zamęczyć człowieka bez wyroku.

Karol próbuje sobie przypomnieć. Musi sobie przypomnieć! Może w rozmowach z Janem, ojcem lub Margot raz czy dwa wypowiedział się krytycznie o powojennych porządkach? Może przytaknął komuś, kto mówił źle o nowych władzach, może ktoś zauważył współczucie malujące się na jego twarzy, gdy patrzył na zmuszane do ciężkich prac Niemki? Czy ktoś mógł go podsłuchać, donieść na niego? A może ktoś miał do Karola jakiś żal?

Gdyby chociaż był dwójkarzem... Gdyby na jego volksliście widniał ten numer, wiedziałby, dlaczego tu siedzi. Odkąd znalazł się w obozie, wiele razy słyszał o wydanym w lutym przez Krajową Radę Narodową dekreście o wyłączeniu ze społeczeństwa polskiego wrogich elementów. Wrogim elementem były właśnie osoby zaliczane do grupy I i II. Choć mówiono, że ostatecznie ten dekret w życie nie wszedł, ci, co mieli grupę II, łapali się go jak ostatniej deski ratunku, bo wspomniano w nim również, że w obozach pracy i miejscach odosobnienia uwięzieni będą przebywać tylko do czasu uzyskania wyroku rehabilitującego. W przypadku trójek i czwórek miała wystarczyć deklaracja wierności Narodowi i Demokratycznemu Państwu

Polskiemu. O zamykaniu w obozach nie było mowy. W takim razie co on tu robi? Co Karol Ploch robi w tym opuszczonym przez Boga miejscu?

Jego myśli galopują i dopiero krzyki blokowego przerywają ten pęd.

– Wstawać! Ustawiać się. Za minutę wszyscy na placu!

Mężczyźni, przyzwyczajeni do tych pobudek, powoli zwlekają się z prycz. Po nocy spędzonej w ścisku, na twardej deskach są bardziej zmęczeni niż przed zaśnięciem.

Dzwon na placu apelowym nie zaczął jeszcze bić. Mają czas.

– Trzeba obudzić pana Janoscha – przypomina Eric. – Może da radę wstać. Jeśli strażnicy uznają, że nie jest aż tak chory, za nieobecność spadną na niego kłopoty.

Chłopak dotyka ramienia Jana i jak oparzony odskakuje od pryczy.

Karol patrzy na przestraszoną twarz młodziaka, na jego szeroko otwarte oczy i usta bezgłośnie wypowiadające słowa. Już wie.

Unosi ciężką jak z ołowiu rękę i choć ma wrażenie, że całe jego ciało buntuje się przeciw temu gestowi, dotyka policzka nauczyciela.

„Jest chłodne. Gorączka spadła” – w głowie Plocha rodzi się myśl, która na ułamek sekundy przynosi mu ulgę.

– Nie żyje? – pyta Wilhelm gdzieś zza pleców Karola.

Mężczyzna patrzy na blade usta przyjaciela, na widoczne już fioletowe plamy przy uszach.

„Leżałem obok, gdy on umierał” – pojawia się kolejna myśl. „Musiałem słyszeć jego ostatni oddech”.

– Zbiórka! – wrzeszczy blokowy. – Co się tam dzieje? Na zewnątrz z nim! – rozkazuje, podchodząc do pryczy, na której leży Jan. – Już! Ty i ty! – Wskazuje na Karola i Erica. – Jazda na apel!

– Ściągnijcie mu chociaż koszulę i skarpety – prosi ktoś cicho. – Przydadzą się nam.

W pierwszym odruchu Karol czuje tak ogromną złość, że tylko silny uścisk Wilhelma powstrzymuje go, aby nie dopaść mężczyzny, który nie ma

szacunku dla zmarłego. Szybko jednak przypomina sobie, gdzie się znajduje i jakie w tym miejscu panują zasady. Codziennie widzi rozebrane zwłoki. Nagie ciała są wykładane przed baraki, a potem przenoszone do trupiarni znajdującej się za łaźniami. Dopiero stamtąd ciała są wywożone na cmentarz.

Zmarłym nie przyda się już przecież marynarka czy buty, tylko dla żywych ubiór ma znaczenie. Dlatego Ploch odsuwa się i ignorując popędzanie Marka, pozwala Wilhelmowi ściągnąć z Janoscha ubranie.

W końcu chwytają nauczyciela za nogi i ramiona i wynoszą przed barak. Karol czuje, że dusza rektora już uleciała, a ciało bez niej wydaje się lekkie jak piórko. Pokrzepia go ta myśl. Stary przyjaciel już się nie męczy, już nie patrzy na to, co ludzie stworzyli na ziemi, którą tak kochał.

Wciąż ktoś rości sobie prawa do duszy Ślązaka. Myśli, że może kazać mu być raz Niemcem, raz Polakiem, a potem karać go za jedno i drugie.

Zarówno Johan Janosch, jak i Jan Janosch pokornie to znosił. Chciał uczyć, pragnął przekazywać młodym wartości nawet wtedy, gdy władza zdecydowała, że nie można go już słuchać, ale w końcu nawet on uznał, że ma dosyć tego szarpania, tego wiecznego potępiania za to, gdzie się urodził.

Karol i Eric powoli kładą ciało na ziemi. „Dzisiejszej nocy w baraku numer siedem zmarł jeden więzień” – chwilę później podczas apelu zamelduje o tym blokowy Marek. Któryś z pracowników administracji wykreśli Jana z listy więźniów i ucieszy się, że ma mniej roboty, bo nie musi wysyłać powiadomienia do żony.

Żona już wie. Jan właśnie do niej idzie.

\*

Karol nie może jeszcze sobie pozwolić na opłakiwanie tej śmierci. Ma przecież zadanie do wykonania, a teraz, gdy Jan odszedł, skontaktowanie się z Margot traktuje również jak wypełnienie ostatniej woli zmarłego. Nie może zawieść nauczyciela. Nie może pokazać, że lata ich rozmów poszły na marne.

Aby zrealizować plan, Karol musi zacząć działać już podczas apelu.

Gdy Skutela wskazuje więźniów, którzy dziś zajmą się przewiezieniem ciał zmarłych w nocy więźniów do trupiarni, Ploch zgłasza się na ochotnika. Nie budzi to niczyjego zdziwienia, zawsze bowiem znajduje się ktoś, kto szuka jakiegokolwiek, nawet najgorszego zajęcia, aby choć na chwilę uciec z baraku.

Karol boi się, że nie zostanie wybrany, a to jedyny sposób, aby zaraz po apelu znaleźć się blisko łaźni i ubikacji.

– Ty! – Gumowa pałka Skuteli wskazuje na Plocha.

Karol patrzy w oczy mężczyzny. Pierwszy raz jest mu za coś wdzięczny.

\*

– Bydã!

Ktoś wpada na Karola, gdy po apelu osadzeni tworzą dwuszereg, aby przejść się do baraków. Nim mężczyzna orientuje się, co się stało, widzi już tylko plecy więźnia, ale wie, że to Stanik.

Serce podskakuje mu radośnie w piersi. A więc Adela przekazała wiadomość. Nie zignorowała jego prośby, nie doniosła na niego. Poczciwa, dzielna kobieta.

Choć przed barakami leży zaledwie kilka trupów, Ploch dostaje do pomocy drugiego więźnia. Nie zna nawet imienia mężczyzny, z którym ładuje na wózek ciało Janoscha, a potem kolejnych nieszczęśników. Robota, którą wykonują, nie sprzyja rozmowie, zresztą nikt tu nie jest specjalnie wylewny ani chętny do zawierania nowych znajomości.

Karol stara się nie myśleć o tym, co robi, próbuje nie patrzeć na ludzi, którym towarzyszy w tej ostatniej podróży, nie chce czuć chłodu ich skóry. Przez cały czas zastanawia się, jak mógłby zostać przy łaźniach sam, czy zdoła pozbyć się w odpowiedniej chwili swojego pomocnika. Żaden pomysł nie przychodzi mu jednak do głowy, postanawia więc zdać się na los.

– Wracamy – mówi jego kompan, kiedy ciała zostają ułożone obok innych w trupiarni.

– Ja jeszcze muszę za potrzebą – wymawia się Karol i odwraca się w kierunku budynku z ubikacjami.

– Ale zaraz będą formowali kolumny do wyjścia do roboty – protestuje mężczyzna. – Blokowy cię zleje, jak cię w haźlu nakryje. A jeszcze mnie się oberwie, że ci pozwoliłem odejść.

Na nieszczęście Karola więzień okazuje się formalistą.

– Muszę do kibla! – powtarza ostrzej Ploch i odchodzi kilka kroków. – Te zgniłe buraki mi szkodzą – dodaje, aby podkreślić pilność swojej potrzeby.

– To ja idę z tobą! Sam nie wracam! Jeszcze mi życie miłe. Skóra mnie nie swędzi, aby dać się sprać.

Karol zaciska nerwowo pięści. Wie, że ma mało czasu. Stanik pewnie już na niego czeka, jeszcze chwila i będzie musiał wracać.

– Posłuchaj. – Ploch stawia wszystko na jedną kartę. – Jeśli zostaniesz, grozi ci większe lanie.

Przeszywa mężczyznę wzrokiem, licząc na to, że ten zrozumie i nie będzie musiał tłumaczyć nic więcej.

Przez chwilę wydaje się, że nawet to ostrzeżenie nie pomaga. Pomocnik Karola wciąż stoi niewzruszenie, grzebiąc butem w resztkach mokrego śniegu. Nie patrzy na Plocha, a Karol bardzo chce wiedzieć, co dzieje się głowie niewygodnego towarzysza.

Przecież chce tylko zawiadomić Margot, aby tu nie przychodziła. Chce ją zapewnić, że da radę, że przeżyje, a ona ma się troszczyć o siebie. Za dużo ludzi już wtajemniczył w swoje plany, za dużo ich bierze udział w tej chybionej być może misji.

I gdy już prawie zaczyna sądzić, że Jan się mylił, że działanie wcale nie przynosi poprawy, za to może przynieść zgubę, mężczyzna unosi głowę.

– Powodzenia! – cedzi przez zęby, odwraca się i odchodzi.

Karol jeszcze chwilę patrzy, jak idzie pochylony, chowając ręce w kieszeniach kapoty. Ploch ma nadzieję, że uda mu się bezpiecznie dojść do baraku, że ani Marek, ani bezręki Skutela nie zapytają, gdzie podział się Karol i dlaczego nie wracają razem.

Teraz jednak nie ma czasu na roztrząsanie tego, co może się wydarzyć. Rozgląda się, sprawdzając, czy nikt go nie widzi, i wsuwa się do budynku wychodka.

Na pierwszy rzut oka wydaje mu się, że jest wewnątrz sam. Patrzy na rzędy desek z otworami, które służą za toalety. Nie ma tu żadnych ścianek, nie ma nic, co dawałoby choć odrobinę intymności. Ludzie zmuszeni są do wykonywania najbardziej osobistych czynności słyszani i widziani przez wszystkich dookoła. Kobiety i mężczyźni.

Karolowi staje przed oczami Margot, która podnosi spódnicę i siada na jednym z otworów. Szybko jednak przepędza ten obraz.

– Panie Stanik? – szepcze. – Jest pan tu?

Odpowiedzi nie ma, ale w jednym z kątów pomieszczenia coś zaczyna się poruszać. Płoch napina mięśnie. Przez głowę przebiega mu myśl, że może to nie Muszalik. Może jednak Adela albo Stanik donieśli na niego i strażnicy zaczęli się tu, aby go złapać. Karol jest gotowy do ucieczki, tak jakby faktycznie było dokąd uciekać.

Dopiero gdy widzi znajomą twarz, spływa na niego ulga, a zarazem poczucie, że wystarczyło kilka dni tutaj, aby zacząć bać się własnego cienia, a innych podejrzewać o wszystko, co najgorsze.

– Jakō mōcie dō mie sprawã? – pyta bez wstępów Muszalik, a potem podchodzi do Karola i wyciąga rękę na powitanie. Nie ma czasu na puste gadki.

– Potrzebuję przekazać wiadomość mojej Margot. Pamiętacie ją?

– A przecã, iže pamiyntōm. – Stanik kiwa głową. – Piyknō mōcie žōnã, i dycki takō szykownŏ i ušmiechnęta.

Karola przyjemnie łechtają jego słowa. Postanawia wykorzystać wyobrażenie współwięźnia o Margot.

– To wiecie, że ona nie może tu trafić. A widzieliście na pewno, co zrobili z kobietami, które przysły pod bramę. Wiem, że w hucie są porządne chłopy i czasem można coś przez nich przekazać.

Stanik kiwa głową. Już wszystko rozumie.



– Nic niy ôbiecujã, ale sprōbujã. Juź pōrã takich informacyje przekōzō-  
łch. Jak coś bydã wiedziōł, dōm Wōm znać – mówi, a gdy Karol próbuje  
mu podziękować, unosi tylko rękę. – I za co nōs Pōn Bōg tak skōroł? – pyta  
ni to Karola, ni to samego siebie i nie czekając na odpowiedź, wycofuje się  
w cień.

Ploch rozumie, że to on ma wyjść pierwszy. Lepiej, aby nikt ich razem  
nie widział.

Gdyby mógł, nie wracałby do baraku. Zajęty sprawą powiadomienia  
Margot, odsuwał od siebie myśli o śmierci Janoscha. Doskonale wie, że  
smutek uderzy go z całą mocą, kiedy spojrzy na pustą pryczę przyjaciela  
albo w oczy Erica, który choć znał Jana zaledwie parę dni, żył się z nim  
tak, jak niegdyś Karol.

\*

W siódemce jak zwykle panuje cisza. Kiedyś Ploch bardzo lubił chwile,  
w których mógł odpocząć od hałasu pracującego silnika samochodu, od  
dziecięcej paplaniny Piotrusia i miłego, aczkolwiek czasem męczącego  
szczebiotania Margot. Uwielbiał niedzielne popołudnia, gdy po obiedzie  
pozwalał sobie na godzinną drzemkę. Wszyscy w domu wiedzieli, jak wa-  
żna jest dla Karola pora odpoczynku. Cichły wtedy głosy, Margot wyłączy-  
ła radio i przymykała drzwi sypialni, aby mąż mógł się zrelaksować.

Podchodząc do swojej pryczy, Karol wie, że jeśli przetrwa, jeśli wróci do  
życia toczącego się za drutami obozu, już zawsze będzie nienawidził ciszy.  
Do końca życia będzie mu się ona kojarzyła z rezygnacją i marazmem,  
w jaki wszyscy tu wpadają.

Kiedy staje przy posłaniu, widzi, że Eric, Paweł i Wilhelm leżą obok sie-  
bie i szepczą o czymś nerwowo. Wilhelm jest wyraźnie wzburzony, ale na-  
wet jego głos milknie, gdy dostrzega Karola.

Ploch nie zwraca uwagi na tajemnice kompanów. Ma własne problemy  
i własne sprawy. Kładzie się i przez chwilę gładzi ręką miejsce po swojej  
lewej stronie, gdzie jeszcze kilka godzin temu leżało ciało Jana, a pewnie

już za moment położy się tu inny więzień. Człowiek szukający odrobiny wygody szybko przełknie to, że leży na miejscu trupa.

Karol zasypia ze wspomnieniem dobrodusznej twarzy przyjaciela pod powiekami i po raz pierwszy jest to sen mocny i przynoszący odpoczynek, jakby sam Janosch czuwał nad tym, aby nic nie zmaćło spokoju ucznia.

## **Wiosna budzi się do życia**

Coraz cieplejsze dni przynoszą ulgę. Można wystawić do słońca twarz i udawać, że jego promienie karmią wyschnięte ciało. Łatwiej jest też przetrwać niekończące się poranne apele, podczas których zbyt skąpo ubrani więźniowie trzęsą się jak osiki, a niejeden z nich zapada później na zapalenie płuc zazwyczaj kończące się śmiercią. Wiosna, która wślizgnęła się za druty Zgody, obudziła jednak nie tylko nasiona traw i kwiatów kiełkujących tu chyba tylko po to, aby zostały natychmiast zjedzone przez wiecznie głodnych więźniów, jak zwierzęta rzucających się na wszystko, co zazieleniło się na brunatnej, obozowej ziemi.

Rosnąca temperatura zbudziła też insekty. Pluskwy i pchły, z którymi nie radzono sobie już wcześniej, teraz stały się prawdziwą plagą, koszmarem dręczącym zjadanych żywcem ludzi.

– Trzeba powiadomić komendanta! – krzyczy do blokowego Paweł, który od ugryzień ma opuchniętą całą twarz. – Trzeba mu powiedzieć, co się tu dzieje! – Denerwuje się, nie zwracając uwagi na uniesioną drewnianą łaskę oraz cios, który zaraz spadnie na jego głowę.

– Sam mu to powiedz! – wydziera się równie głośno Marek. – No, idź i mu powiedz, że cię wszy zjadają. Na pewno zaraz ci siennik wymieni i mydło jeszcze da. – Kpi blokowy.

Inni więźniowie przyglądają się tej kłótni z bezpiecznej odległości. Wiedzą, że Marek nie skatuje Pawła za ten niespodziewany wybuch złości. Może jedynie walnie go raz czy dwa, aby się uspokoił. A potem jeszcze kopnie, aby więzień zapamiętał sobie nauczkę. Nie będą to jednak groźne

ciosy. Marek nie jest sadystą. Więźniom brunatnego baraku wydaje się czasem, że wstydzi się tego, co przyszło mu tu robić, ale tylko nieliczni wiedzą, że ich nadzorca jest synkiem szewca z Kostuchny. Cała dzielnica przychodzi do ich domu reperować buty. Znają ich wszyscy i szanują, bo to porządni ludzie, pracownicy Ślązacy. Marek też się na szewca uczył. Podobała mu się ta robota, a starzejący się ojciec liczył, że wkrótce przekaze synowi warsztat. I nagle, jeszcze w styczniu, coś się chłopakowi odwiedziało. Przyszedł pewnego dnia do domu i dumnie prezentując biało-czerwoną opaskę na ramieniu, powiedział, że zapisał się do milicji.

– Będę złodziei i bandytów łapał – oznajmił z dumą, nie zwracając uwagi na niepokój widoczny w oczach matki i złość ojca, który chętnie by tę robotę Markowi pasem z głowy wybił. Jednak czy można uderzyć funkcjonariusza?

A potem Marek dostał pierwsze zadanie. Miał sporządzić listę tych mężczyzn z dzielnicy, którzy nadają się do ciężkiej roboty.

Z obowiązku wywiązał się wzorowo. O nikim nie zapomniał. Lista, którą zaniósł przełożonemu, była długa i staranna.

Następnego ranka zbudziło go walenie do drzwi. Przyszli po jego sąsiadów.

Nie był głupi, szybko powiązał poranne zatrzymania z listą, którą wręczył przełożonemu.

Nie takiej roboty chciał. Nie o tym myślał, spełniając dziecięce marzenia o byciu stróżem prawa.

Nie potrafił znieść lamentów kobiet, które w jednej chwili straciły mężów i synów, a co za tym idzie jedyne źródło utrzymania.

– Chcę wystąpić ze służby – zameldował kilka dni później. – To nie jest robota dla mnie – wyjaśnił, licząc na zrozumienie.

Przełożony pokiwał głową.

– Nie dla was powiadacie? Za delikatni jesteście? Za wrażliwi, aby na Niemców donosić? A może wy im sprzyjacie, może wolelibyście, aby tu nie było Polski?

Marek słuchał z niedowierzaniem słów komendanta posterunku. Chciał coś powiedzieć, jakoś się bronić, ale strach odjął mu mowę.

– Teraz zobaczycie, co robimy z takimi, co nie są godni naszego zaufania! – Krzyczał komendant, gdy dwóch wezwanych milicjantów wyprowadzało Marka z pokoju.

Karol nie zna jednak historii blokowego. Nie wie, że aby jeszcze bardziej upokorzyć chłopaka, któremu nie w smak było wykonywać rozkazy przełożonych, nadano mu funkcję blokowego. Chciano, aby Marek na zawsze sobie zapamiętał, że z nową władzą się nie igrza. Być może gdyby Ploch był świadomy, że Morel często pyta Marka o zdrowie jego matki, dając mu tym samym do zrozumienia, że kolejne niewywiązanie się z obowiązków będzie miało fatalne w skutkach konsekwencje, nie zastanawiałby się teraz, po której stronie stanąłby blokowy, gdyby wśród więźniów wybuchł bunt, gdyby ta pozornie błaha sprzeczka stała się jego początkiem.

Mężczyzna sunie wzrokiem po twarzach kompanów i szybko porzuca zgubny pomysł. Nie będzie żadnego buntu. Aby sprzeciwić się władzy Salomona Morela, potrzeba siły. Człowieka chcącego się zbuntować musi być stać na coś więcej niż tylko zawleczenie zmarnowanego ciała do łaźni albo włożenie do owrzodziałych ust małej porcji chleba. Więzień, który szykuje atak na władzę, musi zgromadzić w sobie energię wystarczającą na coś więcej niż przetrwanie nocnych nalotów pijanych strażników i wyśpiewywanie na cały głos *Horst Wessel Lied*.

Karol wie, że jego barak nie ma sił na sprzeciw.

Marek uderza Pawła tylko raz, niezbyt mocno. To wystarcza, aby uspokoić górnika. Potem wszystko wraca do normy, w baraku nie słychać już nic poza odgłosami zabijania chodzącego po ciele robactwa i rozdrapywania powstałych po setkach ugryzień ran.

Karol jednak wciąż czuje pragnienie wyrażenia choćby najdrobniejszego sprzeciwu. Ospałość towarzyszy, choć sam wpada w nią coraz częściej, denerwuje go dziś i męczy. Nie zważając na to, czy Marek go nie zawróci, zeskakuje z legowiska i wychodzi. Siada tuż obok drzwi baraku. Unosi głowę i przez chwilę nie myśląc o niczym, cieszy się ciepłym dniem.

Nie chce wspominać innych wiosen, nie chce, aby słońce przywoływało mu na myśl rzeczy, które utracił. Jest tu i teraz. W obozie koncentracyjnym Zgoda.

Spod przymrużonych powiek przypatruje się dziewczynie zamiatającej plac. To Basia, córka Pawła. Dziewczyna uśmiecha się do niego, a on mimowolnie odwzajemnia ten uśmiech i przygląda się dalej, jak młoda kobieta wykonuje monotonne zajęcie, z którego jest pewnie bardzo zadowolona, bo przynajmniej może cieszyć się piękną pogodą. Być może jej blade policzki zarumienią się choć trochę, może odrastające włosy przestaną wypadać garściami z powodu braku witamin.

Córka Pawła zbyt krótko przebywa w obozie, aby panujące tu warunki zdążyły zupełnie wymazać z jej twarzy młodzieńcze świeżość i blask, które mają w sobie nastoletnie panny. Wciąż jeszcze przyjemnie jest patrzeć, jak dziewczyna krząta się na placu, jak przystaje i unosi twarz w kierunku słońca.

Karol pragnie zachować w pamięci ten obraz. Czuje, że oddałby teraz wiele, aby uchronić tę młodą kobietę przed złem, które może ją tu jeszcze spotkać.

Postanawia wrócić do baraku i zachęcić Pawła, który pewnie po kłótni z Markiem znów leży na pryczy w wyniszczającym półśnie, aby wyszedł i przyjrzał się pracującej córce, a może nawet spróbował chwilę z nią porozmawiać. Ploch wierzy, że uspokoi to nieco stroskanego ojca.

Ale gdy Karol podnosi się z ziemi, do Basi niespodziewanie podbiega Adela Ciupka. Kobiety rozmawiają przez chwilę, a potem córka Pawła oddaje miotłę Adeli i odchodzi, choć Ploch widzi, że nie jest z tej zamiany zadowolona. Teraz plac zaczyna zamiatać matka Egona. Niby sprząta, niby przykłada się do pracy, ale cały czas zerka w jego kierunku. Karolowi przyspiesza serce. Już wie, że Adela ma dla niego jakąś wiadomość, chce mu coś przekazać.

Krok po kroku Ciupkowa zbliża się do siódemki. Co jakiś czas kładzie rękę na kieszeni spódnicy, jakby sprawdzając, czy nie wypadło z niej to, co tam ukrywa.

Ploch się rozgląda. Między barakami przemyka dziś więcej niż zwykle więźniów. Widać nie tylko on postanowił sprzeciwić się przymusowi siedzenia w zatęchłych pomieszczeniach. Grupy liczące wymagane dziesięć osób idą w kierunku ubikacji. Kilku mężczyzn, tak jak Karol, przysiadło przed barakami. O dziwo, nie ściągają tym na siebie gniewu strażników.

W nocy do obozu trafiła duża grupa nowych więźniów. Trzeba było zgotować im „powitanie”. Prawie do białego rana z baraku numer dwa, w którym odbywają się przesłuchania, dobiegały krzyki. Teraz najwidoczniej strażnicy odpoczywają. Dosyć naużywali sobie nocą.

Adela jest już całkiem blisko niego, dzieli ich od siebie najwyżej kilkanaście kroków. Karol wstaje i rusza w jej kierunku, gdy nagle coś dziwnego dzieje się wokół. Przestrzeń między barakami pustoszeje. W jednej chwili znikają ci, którzy odważyli się wyjść, aby ogrzać twarze w słońcu. Ploch powoli odwraca głowę. Czuje, jak cała krew odpływa mu z twarzy, kiedy widzi, że nie tylko on idzie ku Adeli. Od strony zabudowań administracyjnych spacerowym krokiem sunie wolno Salomon Morel, trzymając przy nodze potężnego psa.

Ciupkowa zastyga w pół ruchu, wciąż dzierżąc oburącz miotłę, jakby ta licha kępka suchych gałązek miała stanowić jej broń.

Karol zaczyna myśleć intensywnie, czy to przypadek, że akurat teraz komendant wybrał się na przechadzkę, być może też urzeczony pięknem tego pierwszego naprawdę wiosennego dnia, czy jednak ktoś na nich doniósł. Za chwilę Morel zrewiduje Adelę i znajdzie to, co kobieta trzyma w kieszeni. Ploch i Ciupkowa trafią do karceru, a Margot, jeśli rzeczywiście Adela niesie dla Karola list od niej, zostanie aresztowana i przywieziona do obozu.

Mężczyzna omal nie wymiotuje, gdy uświadamia sobie następstwa swojego czynu.

Stoi na baczność. Wie, że Morel już go dostrzegł, ale jest za późno, by tak jak inni próbował wrócić do baraku.

Wydaje się, że cały obóz zastyga w oczekiwaniu. Jedyne ruchome punkty są komendant i jego pies.

I nagle w ten bezruch, w ten czas pomiędzy tym, co przed i po, wbiega dziecko – Egon. Jakby nigdy nic podnosi z ziemi jakiś kamyk, patyczek, podbiega do matki i przytula się mocno do jej nogi. Zaskoczona kobieta spuszcza głowę i odrywa jedną rękę od styliska miotły, aby pogłaskać synka po głowie, ale ten biegnie już dalej. Przykuca obok Karola, idealnie naprzeciw otwartych drzwi baraku i grzebie znalezionym patykiem w piasku. Karol widzi, jak chłopczyk sięga za pazuchę i szybkim ruchem wrzuca coś do wnętrza budynku. Przez ułamek sekundy podąża wzrokiem za szarą koptą płynącą niziutko nad ziemią. Gdy znów podnosi wzrok, komendant właśnie przystaje obok Adeli i kiwa palcem na Egona, aby ten do nich podszedł.

Dziecko blednie. Płoch również.

A więc plan chłopczyka się nie udał. Nie uratuje matki, Karola i siebie. Wszystko na nic.

Egon podnosi się, jego ruchy są automatyczne, a w szeroko otwartych oczach można dostrzec jedynie strach.

Morel wymija Adelę, która nie wykonuje najmniejszego ruchu, ale Karol widzi w niej jakąś nieludzką dzikość i wie, że jeśli komendant skrzywdzi teraz dziecko, kobieta rzuci się na niego, nie dbając o własne życie.

– Grasz w nogę? – pyta Morel, kiedy jest już całkiem blisko chłopca.

Malec patrzy przez chwilę na mężczyznę, jakby nie rozumiejąc zadanego pytania, a potem powoli kiwa głową.

– Dobry jesteś? – Interesuje się komendant.

Karol przechwytuje spojrzenie Adeli. Oboje są tak samo zaskoczeni.

Egon wzrusza ramionami

– Średnio – przyznaje. – Najczęściej stawiają mnie na bramce.

Mężczyzna uśmiecha się, a potem unosi rękę i beztrząsowo tarł włosy chłopca.

– A jakiej drużynie kibicujesz?

Zapada cisza. Egon znów blednie. Dyskretnie zerka na matkę, a potem na Karola, który porusza ustami, bezgłośnie przekazując chłopcu właściwą od-

powieź.

Kilka dni temu po obozie przetoczyła się plotka, że Morel w wygłanco- wanych oficerkach i nieskazitelnie czystym mundurze kazał zawieźć się na mecz. Przyjechał potem w doskonałym nastroju i długo opowiadał, że choć mecz skończył się remisem, jedna z drużyn wyraźnie zdominowała drugą.

– Ruchowi z Chorzowa – szepcze drżącym głosem młody Ciupka.

Karol oddycha z ulgą. To właściwa odpowiedź.

– Brawo. – Morel klepie chłopca po ramieniu. – To bardzo dobra druży- na.

Ploch nie wie, jaki skład widział kilka dni temu komendant, ma jednak świadomość, że wielu przedwojennych graczy mogłoby dzielić z nim pry- czę za pochodzenie, volkslistę albo za to, że służyli w Wehrmachcie. Teraz jednak nie myśli o dziwnych sportowych upodobaniach Morela i o jego zu- pełnej nieznamomości realiów miejsca, w którym się znalazł. Teraz z drze- niem serca czeka na dalszy ciąg rozmowy.

Ale dalszego ciągu nie ma. Morel mija Egona. Odchodzi, tylko przelotnie zerkając na Adelę i Karola.

Cała trójka jeszcze przez dłuższą chwilę stoi nieruchomo, zupełnie wstrząśnięta. Ciupkowa pierwsza rusza w stronę synka i bez słowa bierze w ramiona trzęsące się ze zdenerwowania dziecko. Ploch patrzy na tę scenę i czuje coraz większe wyrzuty sumienia. Co z tego, że nic się nie stało, że Morel nie dowiedział się o liście i jakimś cudem nie dostrzegł tego, co zro- bił Egon. Karol naraził matkę i dziecko, to on sprawił, że musieli bać się bardziej niż zwykle.

– Przepraszam – szepcze, gdy udaje mu się na moment uchwycić spoj- rzenie Adeli.

Kobieta nie odpowiada. Na jej twarzy widać ogrom cierpienia.

Żywo reagują natomiast jego współtowarzysze z baraku. Kiedy tylko Ka- rol wchodzi do środka, podbiega do niego Eric, który trzyma w ręku list.

– Co tam się stało? Co to było? – dopytuje.

Nie tylko on jest ciekawy. Wilhelm i Paweł też stają obok niego.



– Jak udało ci się dostać list? – pyta Eric. – Przekupiłeś strażnika?

Jego myśli idą dobrym torem, właśnie w taki sposób więźniowie najczęściej kontaktują się z rodzinami. Za obrączkę list od żony, za trzymane na czarną godzinę pieniądze wiadomość od matki. Nie jest to jednak droga ani pewna, ani bezpieczna. Kobiety, które zostały zatrzymane, też miały układ ze strażnikiem.

Karol pragnie opowiedzieć Ericowi o Adeli, Egonie – małym bohaterze – i Staniku. Chce podzielić się z chłopakiem strachem i niepewnością czekania, milczy jednak, przypominając sobie niedawne szepty, które ucichły, gdy się zbliżał.

W takich miejscach jak to trzeba umieć trzymać język za zębami. Nie warto też słuchać zbyt uważnie.

Zresztą to nie czas na opowieści. Jedyne, o czym myśli teraz Ploch, to list, który trzyma w ręku.

Serce znów zaczyna łomotać mu w piersi. Z nerwów ledwie oddycha, gdy kładzie się na łóżku i drżącymi palcami pospiesznie rozrywa szarą kopertę.

Jeśli zauważy go Marek lub, co gorsza, do baraku wejdzie Skutela, czeka go kara, która może dotknąć również Margot, ale tak trudno zachować ostrożność, kiedy cały pragnie tylko zatopić się w pisanych przez żonę słowach. W jednej chwili rozpływają się szmery rozmów, niknie świad pogryzionego przez insekty ciała. Serce, choć wciąż przepełnione niepokojem, odnajduje właściwy rytm.

*Kochany mój,*

*nawet nie chcę myśleć, ile ryzykowałeś, przekazując mi wiadomość, dlatego już na wstępie pragnę Ci podziękować i obiecać jednocześnie, że choć serce mi krwawi, pod obóz ani ja, ani Twój ojciec więcej nie pójdziemy.*

*Muszę Ci też wyznać, że byłam już na Zgodzie. Tak bardzo pragnęłam Cię zobaczyć i dowiedzieć się, czy jesteś zdrowy. Szłam tam z silnym postanowieniem, że tak jak inne kobiety porozmawiam ze strażnikiem i jeśli*

będzie trzeba, zapłacę mu, aby móc przekazywać Ci jedzenie. Wysłałam wcześniej rano i zabrałam ze sobą Piotrusia, liczyłam bowiem, że widok dziecka rozmiękczy serca strażników. Z półmroku najpierw wyłoniło się ponure pole, na którym chyba jeszcze nigdy nic nie wyrosło, a potem wieżyczki obozu, brama i ogrodzenie.

Do dziś nie wiem, co wtedy na mnie spłynęło i mnie ostrzegło, ale gdy zobaczyłam druty, baraki oraz kilka wychudzonych i zabiedzonych postaci snujących się niczym zjawy w tej porannej mgle, nogi odmówiły mi posłuszeństwa, a ja sama nabrałam pewności, że jeśli zrobię jeszcze choćby jeden krok, jeśli podejść bliżej, stanie się coś złego i nieodwracalnego. Chwycałam więc Piotrusia za rękę i zawróciłam, nie bacząc na jego protesty oraz płacz, bo przecież obiecałam mu, że Cię zobaczy.

Wstyd mi było za tę swoją słabość tak bardzo, że przez kilka kolejnych dni nie umiałam spojrzeć na siebie w lustrze. Obwiniałam się o tchórzostwo. Dopiero wczoraj, kiedy przyszedł do mnie mężczyzna, którego imienia Ci tu nie zdradzę, bo on też lęka się o swoje bezpieczeństwo, i przekazał mi wieści od Ciebie, ustaliliśmy, że właśnie w dniu, w którym szłam do obozu, zatrzymano kobiety spod bramy. Być może gdybym nie posłuchała wtedy tego szeptu nakazującego mi zawracać, byłabym teraz po drugiej stronie tych potwornych drutów. Bliżej, a jednocześnie o całe kilometry dalej od Ciebie.

Bądź pewny, mój kochany, że Twój ojciec nie ustaje w próbach wyciągnięcia Cię z obozu albo choć ustalenia przyczyny Twojego zatrzymania. Napisał już kilka listów i do Wydziału Bezpieczeństwa w Katowicach, i do samego komendanta Morela. Opisuje w nich, że jesteś porządnym człowiekiem, że nigdy na nikogo nie donosiłeś, zawsze uczciwie pracowałeś i nie popełniłeś żadnego przestępstwa. Niestety, dotychczas nie otrzymaliśmy odpowiedzi, ale obiecuję, że będziemy walczyć o uwolnienie Cię aż do skutku.

Wiem, że ojciec zaangażował w Twoją sprawę prawnika. Może tą drogą uda się coś zdziałać.

Mężczyzna, który przyniósł mi wiadomość od Ciebie, mówił, że nie chodzisz do huty do roboty. Czy to dobrze? Ten człowiek twierdzi, że nie wie,

*jak Was tam traktują, czy dają Wam dostateczną ilość jedzenia i czy w barakach macie ciepło. W jego oczach widziałam jednak smutek. Wiem, że nie mówił mi wszystkiego.*

*Kochany, boję się, że jesteś w tym strasznym miejscu wyłącznie przeze mnie. To ja powinnam tam przecież trafić. Wiem, że zatrzymani zostali głównie ci, którzy mieli w papierach dwójkę, tak jak ja. Jak to więc możliwe, że Ciebie zamknęli, a ja chodzę wolna? To jakaś straszna pomyłka.*

*Karolku, nie martw się o nas. Myśl tylko o sobie. Szczęśliwie jesteśmy zdrowi, choć dni są szare i smutne bez Ciebie. Wierzę jednak, że już niebawem się zobaczymy.*

*Twoja Margot*

*PS*

*Człowiek, który przyniósł mi wiadomość od Ciebie, nakazał stanowczo, abyś zniszczył ten list, gdy tylko go przeczytasz.*

*Zrób to i nie czekaj na inne listy ode mnie, to zbyt niebezpieczne, a ja nie chcę, abyś się czymkolwiek narażał. Pamiętaj jednak, że piszę do Ciebie każdego dnia. Czuję się wówczas tak, jakbyś był obok i jakbyśmy ze sobą rozmawiali.*

Karol miota się. Z jednej strony pragnie zostawić sobie list Margot i traktować go jak talizman przynoszący szczęście, z drugiej – rozumie, że zatrzymując tę kartkę, narazi na niebezpieczeństwo nie tylko swoją żonę, ale i innych, którzy mu pomogli. Gdyby list dostał się w ręce blokowego, strażnika lub samego komendanta, z pewnością ukrócono by kontakty więźniów z pozostałymi pracownikami huty. Strażnicy też musieliby się mieć na baczności. Nie, Karol nie może do tego doprowadzić. Już i tak nie potrafi pozbyć się wspomnienia wystraszonych oczu Egona i Adeli.

Płoch okrywa się kocem. W miejscu, gdzie zadbano o brak jakiegokolwiek intymności, gdzie chwila samotności, gdyby można ją było kupić, koszty-

wałaby pewnie tyle samo, ile miska pożywnej zupy, koc jest jedynym schronieniem, namiastką utraconej wolności.

Otoczony ciemnością jeszcze raz dotyka zapisanych kartek, a potem powoli i z namaszczeniem drze je na drobne kawałeczki. Każdy z nich wsuwa do ust, czekając, aż ślina rozmoczy papier, a potem usiłuje je połknąć. Ale jego usta są suche, trudno przełykać, gdy gardło jest niczym tarka. Karol co chwilę więc się krztusi.

– Spal to – podpowiada Wilhelm, niespodziewanie zrywając mu z głowy koc. – Tak będzie prościej – dodaje i podstawia mu pod nos zapaliki.

Ploch, osłaniany przez Kocha, wciśnięty w kąt między pryczą a ścianą patrzy, jak płoną słowa Margot. Jedyne namacalne dowód, że gdzieś tam czeka na niego dom, ginie w ogniu.

– Podpalmy to wszystko – cedzi przez zęby. – Ty masz zapaliki, inni noże i łyżki. Marna to broń, ale zawsze jakaś. Zmobilizujmy się w końcu! – mówi jak w gorączce. – Jeśli zdołamy podnieść ludzi z tych śmierdzących sienników, pójdą za nami. Jan twierdził, że najgorzej jest nie robić niczego, popaść w apatię, a potem w obłęd. Zróbmy coś, zróbmy! – Chwyta Wilhelma za ramię.

Koch z niepokojem rozgląda się wokół.

– A jak przyjdą po Margot i twoją matkę? – pyta, upewniając się, że nikt ich nie podsłuchuje. – Gdy ci zagrożą, że nie zobaczysz już Piotrusia? Jesteś pewny, że nadal będziesz trzymał nóż przy szyi komendanta? Zdołasz go zabić, gdy opowiedzą ci, co z nimi zrobią? Dobrze wiesz, że oni nie rzucają słów na wiatr. I wiesz też, że nikt się za twoimi bliskimi nie wstawi, nikt się o nich nie upomni. Tam, na zewnątrz, jest teraz takie samo więzienie jak tutaj. Tylko drutów nie widać. Ten list był już ogromnym ryzykiem, nie tylko dla ciebie. Jesteś gotów podjąć jeszcze większe?

Karol czuje, że rośnie w nim nienawiść. Chętnie chwyciłby Wilhelma za gardło i rozkazał, aby mężczyzna cofnął wypowiedziane przed chwilą słowa. Jakim prawem mówi mu, że są w matni, z której nie da się wyjść? Dlaczego z taką łatwością odbiera mu nadzieję?

Ploch chce krzyczeć, że to wszystko dzieje się właśnie przez takich jak on, Niemców, którzy kiedyś uwierzyli Hitlerowi. Zamiast tego stoi, patrząc na Wilhelma tak długo, aż ogień dosięga jego palców.

Koch bez słowa wytrąca płonący list z rąk Karola i przydeptuje go butem.

Ploch wsuwa do ust oparzony koniuszek palca. Ból, który czuje, zmniejsza nieco ten, który rozlał się w jego duszy.

Wie, że na nic przyjdzie mu obwinianie Wilhelma, bo tym samym musiałyby zrzucić winę na Jana Janoscha, który był przecież kiedyś Johanem i po niemiecku opowiadał Karolowi o tym, jak ważne są w życiu zasady moralne. Wraz z Kochem musiałyby obwinić również chrześniaka Margot, bo w końcu matka zapisała syna do Hitlerjugend, aby nie wywieźli jej z kraju, a dziecko nie zostało sierotą. Gdyby chciał obwinać Niemców, musiałyby poczuć też złość na Margot i na siebie, że wziął ją sobie za żonę, że zakochał się w Niemrze.

– Ja zbuntowałem się raz. – Słowa Wilhelma brzmią tak, jakby dobiegały z głębokiej studni. On sam wciąż stoi obok Karola i opierając się o deski pryczy, patrzy na czarne płyty, które sekundę temu były listem Margot. – Byłem już w partii, gdy dowiedziałem się, że mój przyjaciel i cała jego rodzina zostali wywiezieni do obozu w Auschwitz. Zacząłem dopytywać, myślałem, że jako członek partii zdołam ich stamtąd wyciągnąć. Dowiedziałem się wówczas, że mój przyjaciel Witold jest śmierzdzącym Żydem. A to dla naszego Führera oznaczało mniej niż najpodlejsze zwierzę, najpaskudniejszy robak. Nie chciałem tego słuchać. Witolda znałem od dziecka. Był dla mnie jak brat. Postanowiłem o niego walczyć, wyciągnąć go z piekła. Przecież on też był patriotą. Czuł dumę z tego, że jest Niemcem, i gdy w latach trzydziestych Adolf Hitler dochodził do władzy, jemu również wydawało się, że to najlepsze, co może spotkać pogrążony w kryzysie kraj. Odpuściłem zbyt późno. – Wilhelm milknie. Unosi głowę i wciąż nie patrząc na Karola, zaczyna wodzić wzrokiem po leżących na pryczach współwięźniach. – Odpuściłem, gdy najpierw mój jedyny brat, a potem ojciec, mimo niepoborowego wieku, zostali z dnia na dzień skierowani na front

wschodni. Obaj zamazli gdzieś pod Leningradem. – Znów przerywa i czubkiem buta rozgniata popiół. – Dlatego jeśli zechcesz się zbuntować, przemyśl to dobrze, aby potem nie musieć błagać o wybaczenie zbyt wielu bliskich osób, a przede wszystkim samego siebie. – Mężczyzna odwraca się od Karola i siada na dolnej pryczy. – Nie tylko tobie tak radzę, ale nie wszyscy chcą mnie słuchać – mówi głośno, jakby nagle zapragnął, aby jego słowa dotarły nie tylko do Płocha.

Do  
Komendy Obozu Pracy  
w Świętochłowicach-Zgodzie

*Wnoszę prośbę o zwolnienie mojego syna, Dongi Augustyna, ur. w dniu 17 IX 1919 r. w Gaszowicach, z obozu pracy. Prośbę swoją uzasadniam następująco: syn mój August został zabrany przez funkcjonariusza Bezpieczeństwa w Rybniku w dniu 16 V br. i przebywa obecnie w obozie pracy. Jako powód aresztowania podano, że ma II grupę niem[ieckiej] volkslisty. Zaznaczam, że syn mój do żadnych organizacji nie należał. Grupę II (drugą) niem[iecką] volkslistę otrzymał jedynie dlatego, że z powodu małego wzrostu znany był władzom okupacyjnym. Przez dłuższy czas pełnił obowiązki listonosza, mówiąc z ludnością tutejszą tylko po polsku. Zastał również pewnego dnia w domu ukrywającego się przez całą okupację ob. Kupczyka Karola i mimo nacisku ze strony władz policyjnych, nie wydał go. (...)*

Anna Donga<sup>[33]</sup>

## Niewysłane listy Margot

Karolku,

*To dziś już drugi list, który piszę. Pierwszy dałam mężczyźnie, który wczoraj zjawił się u nas z wiadomością od Ciebie. Może będziesz kiedyś miał mi to za złe, ale nie chciałam wspominać Ci w nim o naszych problemach. Przecież w żaden sposób nie możesz nam teraz pomóc.*

*Mężczyzna mówił, abym nie przychodziła pod obóz, bo i tak strażnicy nie przekazują Wam paczek, a ostatnio zatrzymali kilka kobiet, które przyszły z jedzeniem do mężów i ojców. Muszę uwierzyć w jego ostrzeżenia, choć teraz trudno ufać obcym.*

*Z mojego listu dowiesz się, że ja też byłam już blisko obozowej bramy, ale zawróciłam, czując, że gdy zrobię choć jeden krok więcej, pochłonie mnie rozpacz, z której już się nie otrząsnę, a przecież dla naszego synka muszę codziennie wstawać i udawać, że nad wszystkim panuję. Dziecko nie może zobaczyć, że matka jest słaba. W kim wówczas znalazłoby oparcie? Piotruś też udaje przede mną, ale widzę, jak przygryza wargi i z trudem hamuje łzy, gdy ktoś wspomina o Tobie. W szkole nie jest jedynym chłopcem, który stracił nagle ojca. Dzieci trzymają się razem, choć zdarzyło się raz czy dwa, że przyszedł do domu z rozbitą głową i choć nie przyznał się do tego, wiem, że brał udział w bójce.*

*To dla Piotrusia codziennie upinam włosy w kok i próbuję pamiętać, aby się uśmiechnąć, gdy wychodzi do szkoły. Dziś jednak nie poszedł, bo rano pochowaliśmy Mutter. Karolku, nawet w liście, którego nie otrzymasz, tak trudno mi o tym pisać... Jedna z moich szkolnych nauczycielek zwykła mówić, że dopiero zapisane albo głośno wypowiedziane słowa stają się prawdą. Ja tej prawdy nie chcę.*



*Moja kochana Mutter, moja matula, nie umarła ze starości, choć właśnie tak wszyscy myślą. W końcu miała już swoje lata i była mocno schorowana. Karolku, tylko ja wiem, że ona nie chciała już żyć, że bała się każdej chwili i w końcu stąd uciekła. A ja nie potrafiłam jej zatrzymać.*

*Tego ranka wyglądała, jakby spała, choć przecież zawsze budziła się bardzo wcześnie. Może minęłoby kilka chwil, może o te kilka minut dłużej żyłaby w moich myślach, gdyby nie pusta fiolka z jej lekami na serce i otwarta szafka, w której zawsze je trzymałam. Szybko posprzątałam wszystkie ślady. Przecież gdyby ksiądz się dowiedział, nie mógłby uczestniczyć w pogrzebie.*

*Teraz ta tajemnica, ten matczyzny grzech ciąży tylko na mnie. Codziennie modłę się, aby Bóg jej nie potępił i aby odnalazła spokój.*

*Pogrzeb był skromny, przyszli Twoi rodzice, kilkoro sąsiadów i dawni znajomi rodziców. Z bratem wciąż nie mam kontaktu. Wysłałam telegram na jego gliwicki adres, ale oni już tam nie mieszkają. Myślę, że nazwisko Langer na klepsydrze sprawiło, że niektórzy bali się pożegnać mamę. Zresztą i tak zjawily się głównie kobiety, bez mężów i synów.*

*Miasto wciąż obklejone jest afiszami wzywającymi mężczyzn do stawienia się w wyznaczonych punktach. Mają zabrać ze sobą koce i jedzenie na czternaście dni. Ponoć jadą odgruzowywać bardziej zniszczone miasta, ale od tych, którzy już wyjechali, nie ma żadnych wiadomości. Nie wracają, choć mija zapowiadany termin powrotu. Na pogrzebie słyszałam, jak dwie kobiety szeptały, że w Bytomiu urządzono łapanki na mężczyzn wracających z kopalni. Zabrali ich tak, jak stali.*

*Choć Twój ojciec bardzo nam pomaga, jest nam coraz trudniej. Dora-biam, strzygąc włosy. To oczywiście zabronione. Jeśli ktoś na mnie doniesie, będę miała kłopoty, ale cóż mogę zrobić, musimy coś jeść. Już od jakiegoś czasu chodzę na Szaberplatz. Wyprzedaję to, co zbędne. Może teraz po śmierci Mutter uda mi się sprzedać jej chustę i ten komplet pościeli, którego nie pozwalała używać, mówiąc, że czeka na dzień, w którym ksiądz przyjdzie do niej z ostatnim namaszczeniem.*

*Niestety, nie przyszedł.*

*Teraz, gdy Twoi rodzice poszli, Piotruś śpi, a mojej matki już nie ma, ogarnia mnie ogromny smutek i znów pojawia się ta natrętna myśl, że powinnam coś zrobić. Przez ostatnie kilka dni Mutter wszędzie widziała rosyjskich żołnierzy. Mówiła, że wchodzi do domu i zaglądają przez okna. Chciała się chować w piwnicy. Staralam się ją chronić przed opowieściami napływającymi z miasta, ale czasem ktoś i tak przynosił je do domu. W radio też wiecznie „rozprawiają” się z Niemcami.*

*Kilka dni temu, w niedzielę, poszliśmy z Piotrusiem na Załęże do Twoich rodziców. Ojciec miał rozmawiać o Twoim aresztowaniu z kuzynem swojego znajomego, który jest radcą prawnym. Gdy weszłam, oboje byli zdenerwowani, matka z trudem patrzyła mi w oczy. Najpierw myślałam, że to przez nieudaną rozmowę ojca z radcą, który tylko ręce rozłożył i stwierdził, że nie będzie się w takie sprawy mieszał. Dopiero potem matka wyznała mi, że na porannej mszy nowy proboszcz w ich kościele kazał wyjść ze świątyni wszystkim dwójkarzom, twierdząc, że nie są godni stawać przed obliczem Pana.*

*Karolku, patrzę, jak wiosna budzi się za oknem. Czy ty też ją widzisz? Może to wszystko stało się przez niedostatek światła. Może teraz, gdy dni będą coraz dłuższe, ten zły czar w końcu pryśnie.*

*Ojciec dowiedział się, że kobiety piszą listy do naczelnika obozu.*

*Margot*

## **Niemiecki domek**

Mimo że to kolejny słoneczny dzień tej wiosny, po południu powietrze staje się ciężkie. Nie tylko Karol odczuwa dziwną duszność. Ludzie zerkają w górę, szukając zwiastunów nadchodzącej burzy, ale na niebie nie można dostrzec ani jednej chmury.

Dawno nie było tak ładnego kwietnia.

– Może wypuszczą nas stąd, gdy Niemcy skapitulują? – zastanawia się Kubiczek leżący na pryczy obok Karola.

Już od jakiegoś czasu mężczyźni dzielą ze sobą tych kilka desek. Do baraku codziennie trafiają nowi. Nie ma już miejsc, ludzie próbują spać nawet we trójkę, ale zazwyczaj kończy się to upadkami, a one z kolei często poważnymi zranieniami. Ani Morel, ani Krut nie przejmują się jednak przedludnieniem.

– Chłopie, a może oni się boją, że do Wehrmachtu się przekradniemy i Niemcom pomożemy jeszcze wygrać tę wojnę – myśli głośno Paweł. – Może dlatego nas tu trzymają?

Karol wzrusza ramionami. Czuje dziwny niepokój rozlewający się w piersiach, nie chce mu się toczyć rozmowy, która i tak do niczego nie prowadzi. Codziennie któryś z więźniów wymyśla inny powód ich zatrzymania i codziennie padają prawdopodobne daty zwolnienia. Dziś jest nią zbliżająca się niemiecka kapitulacja.

Nawet tu, w barakach, za drutami docierają do nich wieści z frontu. O tych fatalnych dla Hitlera donosi im sam komendant. Więźniowie obozu na Zgodzie wiedzą, że Berlin jest bombardowany. Muszą słuchać o tym, co wyzwoliciele robią z cywilami, znają każdy szczegół ich zemsty. Morel, a czasem też inni strażnicy, opowiadają im o gwałconych kobietach. O dwunastoletnich dziewczynkach i osiemdziesięcioletnich staruszkach, które są teraz wojennymi trofeami. Sowieccy oficerowie pilnują bowiem, aby każdy żołnierz dostał nagrodę za wysiłek związany z wygraną wojny.

– Myślisz, że jak nas zwolnią, będziemy mogli tu zostać? – pyta znów Kubiczek. – Ktoś mówił, że wyrzucają dwójkarzy z domów. I tych, co w Wehrmachcie byli, też.

Karol odwraca głowę. Przez chwilę bez słowa przygląda się towarzyszowi. Patrzy na jego małe, ruchliwe oczy, które wyglądają, jakby były pomalowane czarną kredką.

– A ty chciałbyś tu zostać po tym wszystkim? – zadaje w końcu pytanie.

Paweł marszczy czoło. Głębokie bruzdy, którymi pokryta jest jego twarz, stają się jeszcze wyraźniejsze.

– Tak – odpowiada prawie natychmiast. – Jeśli tylko mi pozwolą. To zawsze będzie mój dom – oznajmia górnik, któremu węgiel najwidoczniej głęboko wrył się w serce.

Karol zastanawia się, czy we krwi Kubiczka również płyną czarne okrucy.

\*

To, co kumulowało się przez cały dzień, wychodzi na wierzch wieczorem, gdy więźniowie pod żadnym pozorem nie mogą już opuszczać baraków.

Najpierw dobiegają do nich przytłumione rozmowy i śmiechy.

– Może faktycznie wojna się skończyła i świętują zwycięstwo? – zaczynają szeptać między sobą osadzeni, kiedy odgłosy toczącej się w budynku administracyjnym zabawy stają się coraz głośniejsze.

– Dziś jest dwudziesty kwietnia. Urodziny Hitlera – mówi nagle Wilhelm i wszyscy odwracają się w jego kierunku.

– Pierdolisz, chłopie. – Paweł pluje pod nogi. – I co? To by świętowali? – Wykrzywia z niesmakiem usta.

Inni też nie wierzą, że właśnie to może być powodem coraz głośniejszej libacji, ale dyskusje na ten temat szybko milkną.

– Dziewczyny! Ciągną kilka dziewcząt! – Nagle ucisza wszystkich przejmujący szept Erica.

Kubiczek odpycha chłopca od okienka, ale chyba nic już nie widać, bo odwraca się do chłopaka i chwyta go za ramiona.

– Była z nimi Baśka? – pyta, prawie krzycząc. – Była?!

Eric pochyla głowę.

– Nie wiem – szepcze, ale ton jego głosu nie jest przekonujący.

Paweł puszcza go i jakby nagle opadły z niego resztki sił, osuwa się na podłogę.

W baraku zapada pełna napięcia cisza. Nikogo już nie obchodzi, za co piją strażnicy. A gdy chwilę później pośród męskich głosów uszy osadzo-

nych wychwytyją również te kobiety, więźniowie w baraku numer siedem zakrywają sobie głowy kocami. Nikt nie chce patrzeć na Pawła, który wciąż siedząc pod oknem, gryzie własne pięści. Mężczyźni modlą się, aby jak najprędzej nadszedł sen i pozwolił im nie myśleć o tym, co czuje ojciec.

\*

– Baczość! Wstawać!

Drzwi baraku uderzają w stojącą z brzegu pryczę. Więźniowie podnoszą się, właściwie nie czując lęku. Który to już raz będą uczestniczyć w „powitaniu”? Liczą w myślach, ilu nowych więźniów trafiło do nich w ciągu ostatnich dni i kalkulują szybko, ile snu zabierze im kolejne nocne lanie.

Łatwo można się zorientować, kto trafił tu niedawno, a kto jest już zaprawionym w bojach rezydentem.

Ci pierwsi ze strachem patrzą na kolegów, próbując wyczytać z ich twarzy, dlaczego strażnicy budzą ich w środku nocy. Drudzy mają pustkę w oczach.

Chcą to tylko przetrwać i zasnąć ponownie.

Wystarczy jedno spojrzenie na Skutełę i wspierającego się na ramieniu sekretarki, ledwie trzymającego się na nogach Morela, aby poczuć, że ta noc będzie niezapomniana.

– Jakie święto dziś obchodzicie?! – krzyczy Morel, patrząc na więźniów błyszczącymi od gniewu i wódki oczami.

Nikt się nie odzywa.

Nawet ci, którzy są tu od lutego, wiedzą już, że to nie jest zwyczajna noc powitania.

– Jakie święto?! – wydziera się komendant jeszcze głośniej, a gdy wciąż nie pada żadna odpowiedź, chwytając stojący obok niego taboret i zrobiwszy zamach, uderza nim w twarz stojącego najbliżej więźnia.

Tamten przewraca się natychmiast, ale Morel zachowuje się, jakby stracił rozum. Bije nogami taboretu leżącego, nie zważając na jego jęki i błagania. Gdy mężczyzna przestaje się ruszać, komendant dopada kolejnego.

– Dziś urodziny obchodzi Adolf Hitler – mówi głośno Karol, przypominając sobie to, o czym kilka godzin wcześniej wspominał Wilhelm.

Wie, że ryzykuje życie. Jeśli jest w błędzie i nie o to święto chodzi Morelowi, komendant z całą pewnością go zatłucze. A co, jeśli ma rację? Ploch nie myśli o konsekwencjach. Musi choć na chwilę przerwać szal Morela. Jeśli tego nie zrobi, jutro rano spod baraku numer siedem zostanie wywiezionych wiele ciał.

Komendant zatrzymuje się w połowie ruchu. Odrzuca taboret na bok i podchodzi do Karola.

– Bardzo dobrze. – Klepie Plocha po policzku. – Bardzo dobrze. Dziś wasz wódz obchodzi urodziny. Mam nadzieję, że ostatnie. – Uśmiecha się szczerze. – Za dobrą odpowiedź jest nagroda – mówi dalej, a jego uśmiech znika. – Możesz sobie wybrać więźnia i go uderzyć. No dalej, dalej – zachęca. – Może ten? – Chwyta Kubiczka za koszulę i stawia go naprzeciw Plocha.

Karol wstrzymuje oddech. Patrzy w oczy Pawła i wie, że jego przyjaciel jest już pogodzony z tym, co ma się stać. Spiał nawet mięśnie, aby uderzenia mniej bolały. Nie będzie miał żalu do Karola. Przecież komendantowi się nie odmawia, nie psuje się mu zabawy.

Ploch unosi rękę, przymyka oczy i bierze zamach, ale gdy ma już uderzyć, zwalnia ruch i rozluźnia pięść. Cios jest niczym dotknięcie. Wie, że Paweł nawet go nie poczuł.

Komendant wybucha śmiechem.

– Tak to się dziewczki klepie, a ty masz uderzyć – mówi, gdy spazmy śmiechu ustają. – O tak. – Staje obok Karola i wymierza Pawłowi cios.

Kubiczek chwieje się, ale nie przewraca, co jeszcze bardziej rozjusza Morela.

– Teraz ty! – wrzeszczy do Plocha. – Tylko porządnie, bo sam oberwiesz!

Karol znów unosi rękę i patrzy na spokojną twarz kompana. Prawy policzek Pawła jest zaczerwieniony, a z rozciętej wargi płynie stróżka krwi.

– Nie zrobię tego! – oświadcza stanowczo Ploch i opuszcza rękę. Sam nie wie, skąd nagle tyle w nim odwagi, ale odwraca się do komendanta i staje tak, że teraz ich twarze dzieli zaledwie kilka centymetrów. – Nie uderzę przyjaciela! – Jego głos niesie się po baraku.

Zaskoczenie na twarzy Morela widać tylko przez ułamek sekundy, ale ten grymas, mimowolne drgnięcie powieki, sprawia, że Karol jeszcze wyżej unosi głowę.

– Na ziemię! – Komendant błyskawicznie odzyskuje rezon.

Jego oczy zachodzą mgłą.

„I przyszła pora żegnać się z życiem” – myśli Karol, klękając na kolanach, a potem kładąc się na brzuchu.

Zawsze mu się wydawało, że gdy nadejdzie jego czas, będzie przerażony wizją zbliżającej się śmierci, więc dziwi go ten nagły spokój. Dobrze wie, co stanie się dalej. Zna ulubioną zabawę komendanta Morela. Widział wielokrotnie, jakie szanse na przeżycie ma ten, który w piramidzie, jaką zaraz ułożą, znajduje się na samym spodzie.

Czuje na plecach ciężar kolejnego wskazanego przez Morela więźnia. Jest pewien, że do piekielnej zabawy komendant zaprosił Pawła, ale przerażony oddech Erica wstrząsa nim dogłębnie. Myśl, że młodziak, dziecko właściwie, pewnie również nie przeżyje dzisiejszej nocy, jest dla niego boleśniejsza niż własny koniec. Chciałby uspokoić Calsterena, szepnąć mu, że ma się nie bać, że już za chwilę będą w lepszym świecie bez bólu, drwin i powolnego odczłowieczania, ale ciężar kolejnych ciał miażdży mu piersi i odbiera głos. Ploch wie, że najpierw zacznie się dusić, bo płuca nie wytrzymają obciążenia, potem pękną mu żebra i śledziona, a na końcu jego trzewia wypełni krew.

Wilhelm, który przeżył układanie piramidy już kilkakrotnie, objaśniał mu kiedyś, że należy skupić się wyłącznie na oddechu. Wdech i wydech mają być płytkie i szybkie.

Teraz jednak słowa Kocha wydają się jedynie senną marą. Karol umiera i ta myśl wypełnia go całego. Gdyby tylko nie bolało tak strasznie, śmierć byłaby wybawieniem.

Któryś w więźniów, stanowiący kolejną warstwę piekielnego tortu, ześlizguje się. Uderza Karola w głowę, przygważdżając jego policzek do ziemi. Ploch słyszy odgłos pękających kości.

– Chcesz wyższą? – Śmiech Morela dobiega już jakby z innego świata. – Postawię cię na szczycie i zatańczysz nam kalinę. Ty tak pięknie tańczysz.

– Nie chcę dziś tańczyć – odpowiada mu miły kobiecy głos. – Lepiej chodźmy już spać.

\*

Prawdziwy ból i cierpienie nie do zniesienia pojawiają się dopiero kilka chwil później, kiedy piramida Salomona Morela zaczyna się rozpadać.

Ploch wie, że nikt już na nim nie leży, ale i tak nie potrafi się podnieść. Nie może nawet otworzyć oczu.

Wcale nie czuje ulgi. Chce krzyczeć, ale zmiażdżonych płuc nie stać na taki wysiłek.

Krzyczą za to inni, a raczej śpiewają najgłośniej, jak tylko potrafią, bo właśnie tak kazał im śpiewać komendant.

*Die Fahne hoch! Die Reihen fest geschlossen!*

*SA marschert mit ruhig festem Schritt.*

*Kam'raden, die Rotfront und Reaktion erschossen,*

*Marschier'n im Geist in unser'n Reihen mit.*

Płyną słowa pieśni Horsta Wessela, hymnu nazistów.

Obóz na Zgodzie śpiewa, a słowa niosą się daleko za kolczaste druty i bramę wspartą na trzech potężnych słupach. Unosi je kwietniowy wiatr i nawet pospiesznie zamykane okna najbliższych domostw nie są w stanie stłumić dźwięków zakazanej piosenki.



\*

Karol nie pozwala się dotknąć ani przenieść na pryczę. Boli go skóra, mięśnie i kości. Czuje, jakby wewnątrz miał jedną wielką ranę.

Koledzy patrzą bezradnie na jego cierpienie. Okryli go kocem, ale nic więcej zrobić nie potrafią.

– Jeśli on umrze, pójdę na druty. Przysięgam wam. Zrobię to! – Odgraża się Eric, próbując poruszyć ramieniem, które szybko puchnie. On też jest mocno potłuczony.

Gdyby kochanki Morela nie znudziła lub nie obrzydziła zabawa komendanta, gdyby nie poprosiła o jej zakończenie, pewnie Eric i Karol nie przeżyliby. Obozowa sekretarka uratowała mężczyznom życie, ale wydaje się, że chłopak wcale nie jest jej za to wdzięczny.

– Sam wybiorę sobie godzinę śmierci. Nie dam mu tej satysfakcji – oznajmia, patrząc z nienawiścią w stronę drzwi, przez które niedawno wyszli oprawcy.

– I co my potem twojej matce powiemy? Żeśmy cię nie upilnowali? – Denerwuje się Wilhelm. Boi się, że młody naprawdę jest u kresu wytrzymałości. – Pokaż lepiej to ramię – mówi i unosi delikatnie rękę chłopaka.

Ten aż jęczy z bólu.

– Wybity bark. Nic takiego – diagnozuje Koch i bez ostrzeżenia chwyta Erica za obolałą rękę i wykonuje gwałtowny ruch.

Calsteren krzyczy i wyszarpuje się z uścisku Wilhelma. Upada na kolana, tuż obok głowy Karola.

– Już po wszystkim. Ból zaraz minie – tłumaczy Koch, patrząc, jak oczy chłopca szklą się od łez.

– Pójdę na druty! Wczoraj ściągali z nich jakąś kobietę. Widziałem ją. Jutro ściagną mnie. – Młody przyciska dłonie do twarzy. – Ja już nie chcę. Już nie mam siły. Chcę stąd uciec... Pozwólcie mi.

Wilhelm podchodzi i bez słowa głaszcze prawie białe włosy młodziutkiego Holendra. Jednocześnie zerka porozumiewawczo na Pawła.

– Uciekniesz stąd. Uciekniesz. – Uspokaja chłopca, a potem mówi coś jeszcze, ale Karol już tego nie słyszy.

Zasypia albo mdleje, mając przed oczami obraz Morela obejmującego ramieniem sporo niższą do niego kobietę. Obozowa sekretarka patrzy na niego z czułością i podziwem. Kąciki jej wąskich ust unoszą się w uśmiechu. Komendant też się uśmiecha. Lubi swoją podwładną, jest dla niej wyrozumiały i szarmancki. Zabawia ją żartami, czasem nawet gra dla niej na mandolinie. Wychodząc z baraku numer siedem i pozostawiając za sobą półżywych więźniów, zastanawia się, czy ta prostoduszna dziewczyna mogłaby kiedyś zostać jego żoną.

## Szept pomiędzy pryczami

– Planujemy ucieczkę córki Pawła – zagaja Koch, gdy stan Karola poprawia się na tyle, że mężczyzna może wstać i przejść z kamratami w kąt baraku, gdzie toczą się najbardziej poufne rozmowy.

Ploch szczerze się zdziwił, kiedy o świcie, po nocy świętowania urodzin wodza, wciąż żył i mógł ponownie zobaczyć dające nadzieję słońce. Z jeszcze większym zaskoczeniem przyjął fakt, że choć cały był siny, opuchnięty i potwornie obolały, nie czuł już widma śmierci wiszącego nad głową. Kostucha najwidoczniej tym razem odpuściła. Jedynie oczy wciąż go bolały, a mimo upływu dni szare plamy pojawiające się przed nimi nie chciały zniknąć.

Paweł, Wilhelm, Karol i Eric pochylają się ku sobie i szepczą najciszej, jak potrafią. Choć wierzą, że wśród kolegów nie ma donosicieli, a Marek jakiś czas temu wyszedł, wezwany przez naczelnika, wszyscy tu wiedzą, że lepiej być ostrożnym. Głód, strach oraz rozpacz mogą złamać nawet najbardziej prawego człowieka. Jeśli wiesz, że donos uratuje ci życie, trudno milczeć.

– Przecież mówiłeś, że bunt nie ma sensu. Podobnie jak ucieczka – przypomina Ploch, kątem oka widząc, jak stojący obok niego Paweł spina się,

jakby chciał wystartować do niego z pięściami.

– Chłopie, ona stąd musi uciec! – zaczyna mówić podniesionym głosem Kubiczek. – Wilhelm też był przeciwny, ale już mu to wytłumaczyłem. Teraz tobie też muszę? My już nikogo poza sobą nie mamy. Jak Baśka ucieknie, będą mogli się tylko do mnie dobrać, a ja wszystko wytrzymam – zapewniam, bijąc się pięścią w pierś. – Wszystko dla Basi zniosę. Wierzysz mi?

Karol kiwa głową. Nie ma cienia wątpliwości, że Kubiczek wie, co mówi. Gdyby Margot tu była, on też oddałby życie, aby ją stąd wyciągnąć.

Choć nikt nie wspomina o tym głośno, szepty o libacji trwającej w baraku strażników w noc urodzin Hitlera nie ustają.

Dziś rano, gdy Karol wraz z grupką innych próbował dojść o własnych siłach do łaźni, aby przez kilka sekund wymoczyć w lodowatej wodzie posklejane brudem i zaschłą krwią ciało, spotkał Adelę, jak zwykle zamiatającą plac. Więźniów pilnował tylko Marek, więc Karol bez strachu odłączył się na chwilę od pozostałych.

Wystarczyło jedno spojrzenie na Plocha, aby kobieta zrozumiała, w którym baraku świętowano najhucniej.

– Od nas wzięli kilka młodych dziewcząt – zaczyna pospiesznie opowiadać. – Baśka, córka tego waszego górnika, też tam była. Biedne dziecko. – Ciupkowa wzdycha. – Co tu dużo mówić, chłop jesteś, to się domyśl! – Denuruje się, gdy Karol zbyt natrętnie dopytuje o przebieg nocy. Kobieta nie chce dłużej rozmawiać i zaczyna machać miotłą tuż przy nogach Plocha.

Ten stoi bez ruchu jeszcze przez chwilę.

– Dziękuję za list – szepcze ledwie słyszalnie, gdy Marek zaczyna wrzeszczeć, aby dołączył do innych.

Adela skina tylko głową.

Ploch nie przekazuje Pawłowi słów Ciupkowej. Nikomu o nich nie wspomina. Wie przecież, że ojciec i tak przeczuwa, co przytrafiło się córce, dodatkowe informacje jedynie pogłębiłyby jego ból.

– Jaki macie plan? Jak Basia ma się stąd wydostać? – pyta Karol i patrzy na Wilhelma, uznając, że jedynie ten, który ma najwięcej wątpliwości i nie

daje się ponieść emocjom, może sprawić, że ucieczka się powiedzie.

– Przemyslałem wszystko – podejmuje Koch. – I uważam, że uciec można jedynie, będąc w hucie.

– Ale przecież moja Basia nie wychodzi do roboty – wtrąca się Paweł, jednak Wilhelm karci go wzrokiem i daje znak, aby mu nie przerywano.

– Nigdy nie widziałem formowania kolumny, bo nie możemy wtedy wychodzić – kontynuuje. – Ale przecież wiele razy ktoś nam mówił, że strażnicy nie sprawdzają wychodzących zbyt dokładnie. Więźniowie są liczeni na porannym apelu, a potem dopiero w hucie, gdy mają wracać od obozu. A i to nie zawsze. Strażnicy to lenie. Nie robią niczego, czego nie muszą.

– No i co z tego? Jak Baśka miałaby się dostać do brygady? Akurat tego, aby nikt poza wychodzącymi nie szwendał się po placu, blokowi dobrze pilnują – wtrąca się znów Kubiczek, a Karol już wie, że miał rację: jedynie Wilhelm jest tu w stanie myśleć rozsądnie.

– O kimś zapomniałeś. – Koch zachowuje spokój.

– Chłopie, wiem przecież, że Karol zbiera wtedy umarlaków! – Prycha zniecierpliwiony ojciec. – Ale on też Baśce nie pomoże.

Wilhelm kręci głową.

– Więźniarki sprzątające plac również mogą być na zewnątrz, gdy brygada wychodzi. Pamiętasz, kto najczęściej wykonuje to zadanie?

– Adela Ciupka – szepcze Paweł po chwili zastanowienia.

Wilhelm przytakuje, a Karol czuje nagły dreszcz biegnący po plecach. Już domyśla się dalszego przebiegu rozmowy.

– Basia musi zamienić się z Adelą. Jeśli twoja córka, zamiatając, podejdzie dostatecznie blisko, być może uda jej się wmieszać w grupę i wyjść razem z innymi do huty, a potem uciec. – Słowa Kocha potwierdzają przypuszczenia Karola. – To jedyna droga. Trzeba tylko wtajemniczyć Ciupkową. Musi udać chorą, aby Basia mogła ją zastąpić. Twoja córka sprzątała plac już wcześniej, więc ta zamiana nie będzie podejrzana.

Wilhelm milknie, ale po chwili zwraca się do Karola:

– Ufasz Adeli? Będzie chciała nam pomóc?

Ploch się waha. Nie wie, co odpowiedzieć. Nie chce znów angażować kobiety w coś, co może okazać się niebezpieczne dla niej i dla Egona. Doskonale pamięta wyrzuty sumienia, które towarzyszyły mu, gdy ostatnio musiał patrzeć na strach w oczach chłopca i jego matki. Przecież to on powinien teraz odwdzińczyć się Ciupkowej, tymczasem plan Wilhelma znów ją naraża.

I gdy już chce prosić resztę, aby nie wciągali kobiety w ucieczkę Basi, przed oczami staje mu córka Pawła sprzątająca skąpany w słońcu obozowy plac.

Tamtego dnia tak bardzo pragnął ocalić dziewczynę przed czyhającym tu na nią złem. Już wie, że mu się nie udało. Karol nie musi widzieć Barbary, aby być pewnym, że po zabawie ze strażnikami i nocy spędzonej w ich biurze zniknął cały jej blask, który wówczas tak bardzo go oczarował.

– Adela pomoże w ucieczce Basi. Jestem tego pewien – odpowiada, spoglądając na Pawła.

Wilhelm kiwa głową.

– Ale w hucie twoja córka będzie już zdana tylko na siebie. Trudno przewidzieć, czy uda jej się uspić czujność strażników. Czy ona to rozumie? – Patrzy na Kubiczka, a w jego spojrzeniu wyraźnie widać, że wciąż nie jest przekonany, wciąż ma wątpliwości.

– Ja jej pomogę. Razem to zrobimy – odzywa się nagle Eric, który przez cały czas trwania rozmowy sprawiał wrażenie nieobecnego. – Ja również daję stąd nogę – oświadcza, wpatrując się w zgromadzonych w kącie baraku mężczyzn. – We dwoje będzie nam łatwiej.

## Tam i z powrotem

Karol nie potrafi zasnąć, ale mimo to zamyka oczy, a nawet pochrapuje od czasu do czasu. Udaje sen, aby Kubiczkowi nie zachciało się z nim rozmawiać. Wie, że górnik też nie śpi. Od kilku godzin leży na wznak i wpatruje się w sufit baraku. Ploch odwraca się na bok, plecami do towarzysza, ale

nawet w tej pozycji wydaje mu się, że słyszy łomocące ze strachu serce ojca.

Nie wie, jak miałyby pocieszyć kompana, który być może już nigdy nie spotka się z córką. Nie ma pojęcia, co powiedzieć mężczyźnie, który pomysłem ucieczki naraża swoje jedyne dziecko. Co się stanie z Pawłem, gdy ich plan się nie powiedzie? Kiedy złapią Basię, pobiją ją, zgwałcą ponownie, a może zastrzelą bez żadnego procesu i wyroku? A co będzie z Kubiczkiem, gdy ucieczka się uda? Jak odpłaci mu się za nią Morel?

Karol czuje ucisk w żołądku. Znow drętwieje mu policzek oraz skroń. Pulsujący ból oczu powoduje mdłości.

„To z nerwów” – próbuje sobie tłumaczyć, bo przecież boi się nie tylko o Pawła i Basię. Przed zamkniętymi oczami widzi też twarz Erica. Ucieczka chłopaka już się rozpoczęła. Kiedy zegnali się kilka godzin wcześniej, Calsteren się uśmiechał i wydawał się przepełniony energią. Czy tylko Karol widział, że właśnie w taki sposób tłumił lęk?

Początkowo Eric chciał zakraść się do ubikacji po porannym apelu i tam poczekać, aż idący do roboty mężczyźni będą mogli skorzystać z toalet. Wówczas zamierzał wmieszać się w tłum i, mając nadzieję na to, że straż nie przeliczy grupy, tak jak Basia przekroczyć bramę.

Wyjawiając kolegom swój plan, nie przewidział jednak, że odkąd nastaly cieplejsze dni, porucznik Morel zaczął mieć w zwyczaju poranne przechadzki między barakami. Z łatwością mógłby dostrzec Erica próbującego dostać się do toalet w czasie, w którym dźwięk dzwonka oznajmiał absolutny zakaz wychodzenia na zewnątrz wszystkim poza zmierzającymi do huty, jedną sprzątającą plac kobietą i Karolem ładującym na swój wózek ciała zmarłych w nocy więźniów.

Oczywiście Holendrowi i tak mogło się udać, ale ryzyko było spore.

– Jeśli cię złapią, zrobi się zamieszanie i być może Basi też nie uda się przedostać do wychodzącej z obozu grupy – szeptał gniewie Paweł, wierząc, że za sojusznika ma również Wilhelma, który nawet na ucieczkę Barbary patrzył krytycznie. – Baśka poradzi sobie bez ciebie. Ty tylko wszystko popsujesz. – Denerwował się ojciec.

Ale Koch nie wsparł Pawła. Milczał, tak jakby wiedział, że cokolwiek powie, nie zmieni podjętej przez Erica decyzji. Przypominanie mu o czyhających na niego niebezpieczeństwach oraz o tym, że naraża nie tylko siebie, ale też Basię, a przede wszystkim swoją matkę, nie miało sensu. Młody Holender miał przygotowaną odpowiedź na wszelkie zarzuty i wątpliwości. Planował uciec. Nawet jeśli będzie się to równało wyrokowi śmierci.

– Dołączysz do brygady czyszczącej ubikacje. Nikt nie chce babrać się w gównie, więc jeśli poprosisz Marka, chętnie powierzy ci to zadanie – odezwał się w końcu Wilhelm tonem nieznoszącym sprzeciwu zaledwie dzień przed wyznaczoną datą ucieczki.

Czuł się odpowiedzialny za tego dzieciaka, ale wiedział, że nie może go powstrzymać ani zmusić do wytrzymania czegoś, czego Eric wytrzymać już dłużej nie umiał.

Słuchając słów Kocha, Karol po raz drugi upewnił się, że jedynie Niemiec może sprawić, że wszystko skończy się pomyślnie. Tylko on dostrzegł okoliczność, która ucieczkę Calsterena zdecydowanie ułatwiała.

Gdy temperatura zaczęła się podnosić, obok ubikacji trudno było choćby przejść, aby płynący z wnętrza odór nie wywołał odruchów wymiotnych. Wystarczyła krótka wizyta, by smród wsiąknął w ubranie oraz włosy. Cuchnęły więc nie tylko toalety, ale i baraki. Cuchnęli więźniowie.

Już nie tylko pluskwy, wszy i pchły dręczyły osadzonych, pojawiły się też roje tłustych much.

Być może to one zaczęły przeszkadzać Morelowi w spacerach, bo w końcu komendant nakazał stworzenie brygady, która miała zająć się gruntownym sprzątnięciem wychodka.

– Potem będziecie jedzenie z tych kibli zlizywać, aby udowodnić mi, że jest czysto. – Tymi słowami zakończył wydawanie rozkazu więźniom.

Wszyscy byli absolutnie pewni, że naczelnik dotrzyma słowa. W końcu zaledwie kilka dni wcześniej wymyślił sobie nową zabawę polegającą na zmuszaniu osadzonych do zlizywania z ziemi węglowego miazgu.

– Zgodnie ze słowami komendanta będziecie sprzątać też po wieczornym dzwonku. Schowasz się w kiblu i przeczekaasz tam do rana – wyjaśnił Wilhelm.

– Myślisz, że nie przeliczą, ilu ludzi wychodzi? – zapytał niepewnie chłopak

Koch machnął tylko ręką.

– Ten, kto ma was pilnować, wieczorem będzie już pijany. Nie policzy więźniów, a jeśli nawet, nie zrobi tego starannie. Sprawdzi tylko, czy w środku nikogo nie ma.

– Zauważy mnie. Tam przecież nie ma gdzie się schować.

Wilhelm uniósł brwi. Czekał, aż chłopiec sam domyśli się tego, co dla niego było oczywiste.

– Mam wejść do środka? Do dziury? – Dzieciak skrzywił się z obrzydzeniem.

– Najpierw sam sobie ten środek wyczyścisz. – Koch mrugnął do młodego.

– Przecież będę śmierdział. Rano z kilometra będzie mnie czuć. Zaraz się połapią, co jest grane.

Tego faktycznie nawet Wilhelm nie przewidział. Wprawdzie wszyscy w obozie śmierdzieli, ale noc spędzona nawet w wyczyszczonej ubikacji mogła dać trudny do przewidzenia efekt.

Szybko wymyślono, że w tym kłopotcie pomocny okaże się Karol, który codziennie rano ładował na taczkę ciała wyrzucane w nocy przed barak, a potem zwoził zmarłych do trupiarni.

Na początku strażnicy zawsze dawali Płochowi kogoś do pomocy. Lecz odkąd w obozie zaczęły pojawiać się przypadki tyfusu i czerwonki, nie było ochotników do tej pracy. Nikt nie chciał dotykać ciał zmarłych.

Śmierć, która przychodziła po więźniów Zgody, była nieludzka. Nie miała w sobie niczego naturalnego, niczego, co można by wpisać w odwieczny krąg życia. Dlatego tak bardzo się jej bano.



Karol chyba jako jedyny czuł inaczej: właśnie to zajęcie, ta ostatnia droga, którą przechodził wraz ze zmarłymi towarzyszami niedoli, ratowała go przed zupełnym odczłowieczeniem. Czasem płakał, jak najdelikatniej układając na wózku ciało kogoś, kogo znał, czasem czuł wściekłość, ale właśnie te uczucia sprawiały, że wciąż uważał siebie za człowieka. Wciąż jeszcze nim pozostawał.

Być może komendant zauważył, że wykonywana praca nie jest dla Karola odrażająca, a nawet w trudny do wytłumaczenia sposób go uspokaja, dlatego aby Plochowi to zadanie utrudnić i jeszcze bardziej go zmęczyć, zakazał przydzielania mu pomocnika. Karol stał się jedynym więźniem, któremu zezwalano na wywóz zmarłych. Tylko od niego zależało, czy ciała będą się rozkładały przed barakami, czy też dzięki zachowaniu choć odrobiny szacunku dla zmarłych trafią do trupiarni.

Tak więc, po pamiętnej kwietniowej nocy, gdy tylko poobijane ciało znowu zaczęło być zdolne do wysiłku, Karol wrócił po swoją taczkę.

\*

W końcu Ploch słyszy dzwon sygnalizujący pobudkę i spływa na niego uczucie ulgi. Nie chce już dłużej myśleć o tym, co może się nie udać. Chce działać.

Spiskowcy już ze sobą nie rozmawiają. Nie ma rzeczy, która wcześniej nie została obgadana, każdy wie, co ma robić. Choć właściwie z trójki mężczyzn zadanie do wykonania ma wyłącznie Karol, reszta zajmie się rozmyślaniami, czy uciekinierom dopisze szczęście. Czy wszystko pójdzie tak, jak ma pójść.

– Gdzie jest Calsteren?

Pytanie, które słyszą, gdy pospiesznie składają w kostkę koce, tylko na moment ich elektryzuje.

– Chłopie – odzywa się Paweł – a to wiadomo, jaka cholera go dopadła w tych kiblach? Jaką zarazę tu przywłókł? Wczoraj brygada późno skończyła sprzątać. Gdy wrócił, zaczął narzekać na ból brzucha, całą noc jęczał

z tych boleści, aż dziwne, żeście go nie słyszeli, a teraz poleciał za barak, pewnie tam rzyga albo sra. Ja tam nie wiem, co mu jest, ale od dziś będę się trzymać od niego z daleka. Jeszcze mi życie miłe.

Kubiczek mówi płynnie, z wyraźnym przejęciem. Doskonale nauczył się swojej roli. Jego słowa przynoszą zamierzony efekt, bo Marek odsuwa się nieco od Pawła i pryczy, na której śpi Eric.

– Lepiej go tam zostawić – sugeruje z troską Paweł. – Może sam wydobrzeje albo potem Karol go na taczkę załaduje. Niech tu tylko tej zarazy nie przywleka.

Marek rozgląda się niepewnie, szukając innych chorych. Czy to możliwe, aby brygada sprzątająca kible przywlekała coś do baraku?

Odkąd kilku więźniów zmarło dzień po dniu z powodu biegunki, wszyscy stali się bardziej czujni i ostrożni. Jeśli Pawłowi udało się nastraszyć blokowego, ten nie powinien drażnić tematu nieobecności Erica.

Chwila, w której Marek zastanawia się, co począć z nieobecnością więźnia, przedłuża się. Sekundy wydają się godzinami. Kubiczek, stojąc naprzeciw blokowego, widzi, jak przez twarz mężczyzny przepływają różne emocje. Wie, że Marek toczy ze sobą walkę. Kalkuluje, co zaszkodzi mu bardziej: kontakt z ewidentnie chorym czy niedopełnienie obowiązku przeprowadzenia wszystkich zdolnych się poruszać więźniów na poranny apel.

Karol i Wilhelm wracają do przerwanych czynności. Ploch widzi, że nawet Kochowi trudno jest zapanować nad strachem. Jego ręce drżą.

– Teraz wszyscy ustawić się w rzędach i wychodzić! A potem zabierzcie chłopaka do izby szpitalnej. Nie chcę go tu widzieć.

Pod Karolem uginają się kolana. Udało się, ale to tylko pierwszy etap. Będzie cudem, jeśli uda im się przejść przez kolejne.

Apel ciągnie się w nieskończoność. Kobiety stoją daleko, ale i tak oczy mężczyzn szybko odnajdują Basię i Adelę. Obie wydają się zupełnie spokojne, jednak Karol wie, że to tylko pozory. Nie chce nawet myśleć, co dzieje się w duszy młodej dziewczyny i jej ojca, skoro nawet jego serce drży.

Najgorsze jest udawanie obojętności, bo przecież nikt, ani blokowi, ani strażnicy, ani pozostali więźniowie nie mogą wyczuć tego targającego ciałem zdenerwowania. Karol ma wrażenie, że wszystko, co robi, każdy jego ruch jest nienaturalny, że na odległość śmierdzi strachem, więc to jedynie kwestia czasu, aż inni też ten smród poczną.

Po apelu Wilhelm i Paweł wracają do baraku. Rozbrzmiewa kolejny dźwięk dzwonu, tym razem obwieszczający zakaz wychodzenia na zewnątrz. Zaczyna się zadanie Karola. Mężczyzna, nie patrząc na kompanów, wychodzi i kieruje się jak co dzień do bloku numer cztery, w którym mieści się garaż. Właśnie tam Ploch trzyma swoją taczkę.

Idąc, musi przejść obok ubikacji i łaźni. Bierze głęboki wdech, rozgląda się i nie przyspieszając kroku, wchodzi do toalety.

Ma zaledwie kilka sekund, nim puste teraz pomieszczenie wypełni się innymi więźniami, którzy wejdą tu za potrzebą przed wymarszem do roboty.

Ploch wie, gdzie ukrył się Eric. Podchodzi do otworu kloacznego i kopie w murek dwa razy, taki jest ich sygnał. Na szczęście ze środka natychmiast dobiega głos Calsterena. Chłopak wyskakuje z otworu. Karolowi przechodzi przez myśl, że taka scena pasowałaby do dobrej komedii, na przykład takiej z Charlie Chaplinem, na której byli kiedyś w kinie z Margot. Śmiali się wtedy do rozpuku, ale teraz nikomu nie jest do śmiechu. Eric potwornie cuchnie. Dół jego spodni jest śliski od nieczystości, w których stał przez wiele godzin.

– W nocy wyszedłem na chwilę, bo już dłużej ustać nie umiałem w tym gównie – przyznaje się Holender, biorąc od Karola spodnie, buty i koszulę, które jeszcze kilka godzin wcześniej należały do innego więźnia.

Ploch szybko ucisza Erica. Nie ma teraz czasu na rozmowy.

– Powodzenia! – szepcze tylko i wymyka się, chowając pod koszulą brudne ubranie Calsterena. Zaraz schowa je do taczki, a potem wsunie pod któregoś ze zwożonych zmarłych.

Ma nadzieję, że wiara w cuda teraz wystarczy, bo przecież głównie na tym oparty jest plan ucieczki dwojga młodych.

Jakże chciałby się teraz schować w baraku! Zniknąć pod kocem i po prostu czekać. Zazdrości Wilhelmowi, nawet Pawłowi, choć on pewnie umiera z niepokoju o Basię. Karol jako jedyny będzie naocznym świadkiem tego, co się wydarzy.

Po raz pierwszy pracuje tak machinalnie. Nie czyni znaku krzyża, nie próbuje zamknąć oczu tym, którzy do końca mieli odwagę patrzeć na zbliżającą się śmierć.

Choć wie doskonale, że nie powinien tego robić, nie umie się powstrzymać i co chwilę odwraca głowę i zerka w stronę bramy, przy której gromadzą się mężczyźni wychodzący do huty. Nie może dostrzec, czy wśród szarych postaci ustawionych w niestarannych szeregach jest też Eric. Na razie nie dzieje się jednak nic, co świadczyłoby o tym, że ucieczka chłopaka została udaremniona. Strażnicy zachowują się zwyczajnie. Czasem coś pokrzykują, czasem uderzą pałką któregoś z czekających na wymarsz, ale Karol nie dostrzega nadmiernego podenerwowania albo gorączki innej niż ta, do której wszyscy tu przywykli.

W końcu podchodzi pod barak kobiet. Tu leży dziś tylko jedno ciało. Schyla się, aby chwycić martwą kobietę pod ramiona i wsunąć na taczkę. Zna ją i trudno mu uwierzyć, że ona też jest już po drugiej stronie.

To Amerykanka. Wanda Lagler. Mimo że więźniowie nie próbowali nawiązywać bliskich znajomości, Wandę znał tu każdy i głęboko wierzono, że ona pierwsza zdoła odzyskać wolność.

Kobieta była bogata. Wynikało tak nie tylko z jej opowieści, widać było to także w sposobie bycia, jakości ubrań, w których ją tu przywieziono, a nawet w blasku włosów. Za Wandą stała armia prawników robiąca wszystko, aby kobieta jak najszybciej mogła opuścić Zgodę.

Karol ciągnie martwe ciało. Jeśli jej się nie udało, to jak ma się udać innym? Ubogim i bezimiennym. Nieumiejącym napisać listów do władz, nieposiadającym dostatecznej sumy pieniędzy, aby opłacić choćby najlichszego prawnika.

Wanda Lagler nie była przecież jedną z wielu. Ludzie ją znali. Miała duże grono wysoko postawionych znajomych po obu stronach oceanu.

Przerażająca jest myśl, że nawet takie koneksje na nic się nie zdały. Lagler przyjechała do Polski jeszcze przed wojną, aby uporządkować sprawy bliższego krewnego, Edmunda Strzeleckiego, wybitnego podróżnika, pierwszego Polaka, który indywidualnie, w celach naukowych, okrążył świat. Nawet Karol, którego nigdy nie interesowała geografia, o nim słyszał. Słyszeć musiał więc i Salomon Morel oraz ci, którzy nad nim stoją.

Układając ciało na wózku, Ploch zastanawia się, czy ta elegancka kobieta o wypielegnowanych dłoniach, przekraczając granicę ziemi ojczystej Edmunda, mogła przypuszczać, że ta ziemia ją pochłonie.

Przyszli po nią w marcu i w związku z posiadaniem przez nią podwójnego obywatelstwa oskarżyli o szpiegostwo, dokonali rewizji mieszkania oraz skonfiskowali cenne rzeczy – futra, pieniądze i biżuterię.

Karol robi znak krzyża, pierwszy dziś, i zapomina o Wandzie, bo właśnie męska brygada robotnicza przechodzi przez bramę. Z uwagą i trwogą przygląda się, jak ustawieni czwórkami mężczyźni wychodzą poza teren obozu. Nie wie, czy czuje ulgę, czy jeszcze większy strach, bo na to, co stanie się dalej, nie ma już żadnego wpływu.

Teraz przy bramie zaczynają gromadzić się kobiety. Wszystkie mają jednobarwne chusty albo ogolone głowy oraz zbyt duże bluzki zsuwające się z wychudzonych ramion.

Karol szuka wzrokiem Basi i, o dziwo, znajduje ją prawie natychmiast, ale to tylko wzmacnia jego niepokój, bo jeśli on rozpoznał dziewczynę tak szybko, to czy stojący obok strażnicy pozostaną aż tak ślepi? Kto pierwszy zorientuje się, że ta więźniarka nigdy wcześniej nie wychodziła do huty, kto poda w wątpliwość jej zapewnienia, że została tu przydzielona?

– Pod ciężarem bólu uciekam się do ciebie, Święta Rito, ufny w to, że zostanę wysłuchany – modli się Ploch. Nie potrafi powstrzymać płynących słów. Tak jakby od nich zależało bezpieczeństwo Erica i Basi. – Ty, która zostałeś wybrana przez Boga jako orędowniczka w przypadkach najbardziej beznadziejnych, wyproś dla nas łaskę, o którą gorąco cię prosimy.

\*

– Udało się? – Paweł dopada do Karola przy drzwiach baraku i błagalnie patrzy mu w oczy.

Wystarczy jedno spojrzenie na bladą twarz górnika, aby wiedzieć, jaką torturą było dla niego oczekiwanie na powrót kompana.

Z baraku, w którym przebywają, nie widać bramy, gdzie zbierali się najpierw mężczyźni, a potem kobiety. Paweł i Wilhelm mogli zatem tylko nasłuchiwać, czy na zewnątrz nie dzieje się coś, co mogłoby sugerować, że ucieczka się nie powiodła.

Karol niepewnie kiwa głową. Teraz nic już w zasadzie nie może zrobić. Zbyt wielu innych więźniów kręci się dookoła. Zresztą nie widział dostatecznie dużo, aby uspokoić skołataną nerwy ojca. Mimo wysiłków nie dostrzegł Erica wśród idących do huty mężczyzn, widział za to Basię, ale nie jest pewien, czy wyszła. Nie mógł przecież stać i w nieskończoność przyglądać się tworzonej kompanii. Musiał odejść spod baraku kobiet i skierować się na tyły obozu, do trupiarni.

Nie ma ani jednej rzeczy, która nie może pójść źle.

Płoch już wie, jak ciężkie będą kolejne godziny, i nie ma słów, którymi choć trochę mógłby pocieszyć odchodzącego od zmysłów Pawła.

– To się nie może udać... Skazałem własne dziecko na śmierć – szepcze do siebie górnika, a potem kładzie się na pryczy i zapada się w sobie, szeroko otwartymi oczami patrząc w nicość.

Karol odwraca głowę.

Musi zająć czymś myśli, aby to oczekiwanie i jego nie doprowadziło do obłądzenia.

Tylko co zrobić, gdy robić nie można nic. Gdy kolejny dzień, oznaczony kolejną kreską wydrapaną paznokciem na drewnianej ramie pryczy przemija na oczekiwaniu na kawałek chleba oraz zupę, które zamiast napełnić brzuch, sprawiają jedynie, że człowiek wije się w boleściach.

*Kochana Margot!*

*U mnie wszystko dobrze. Jestem zdrowy i wciąż tli się we mnie wiara w szczęśliwe zakończenie...*

Karol zaczyna pisać w myślach list do żony. Nigdy go nie wyśle, nigdy żadne ze słów nie pojawi się na kartce, a jednak Ploch nawet w nieistniejących zapiskach nie chce martwić ukochanej. Zamiast złorzeczyć, szuka w pamięci wszystkiego, co nie pozwala mu zatopić się w rozpacz i strachu.

*Najmilsza moja, może dobrze, że to wszystko nam się przytrafiło. Może gdy wrócę, a wrócę na pewno, będziemy umieli bardziej docenić to, co zostało nam na chwilę odebrane.*

*Tyle tu wokół mnie przeróżnych historii. Pobyt w obozie po raz kolejny utwierdził mnie w przekonaniu, że nikogo nie można oceniać. Nie można potępiać ludzi, nie znając ich na wskroś. Nie wsłuchując się w bieg ich życia. Nikomu nie jest dane prawo do niszczenia człowieka tylko dlatego, że należy do wrogiego narodu. Wszak człowiek to nie naród. Człowiek to Paweł, górnik z Bytomia, to Niemiec Wilhelm, który przyznaje, że zawsze był dumny ze swojego pochodzenia, to też blokowy Marek, a nawet sam komendant Morel.*

*Tak, nawet jego próbuję nie potępiać. Choć to tak potwornie trudne.*

*Komendantowi odebrano przecież całą rodzinę. Wiele razy krzyczał do nas, że wszyscy jego bliscy zginęli w Oświęcimiu, że zabili ich Niemcy.*

*Słyszę, co teraz szepczesz. Patrzysz mi w oczy i przypominasz, że nie jestem Niemcem, że wielu z nas, tutaj na Zgodzie, nie ma nic wspólnego z Hitlerem i z jego wojną.*

*Masz rację, ale może bycie Ślązakiem wystarczy. Może my wszyscy nosimy jakieś piętno. Historia sprawiła, że siedzimy okrakiem na granicy dwóch państw. To musi boleć.*

*Kochana Margot, czasem myślę, jak spojrzą na to wszystko następne pokolenia. Czy Piotruś, a może dopiero jego dzieci lub wnuki będą umieli przełknąć gorycz tego miejsca? Czy pozbędą się tych drutów, tych wieży-*

*czek pamiętających najpierw strażników z trupią czaszką na ramieniu, a potem tych noszących biało-czerwone opaski? Jak sobie to wytłumaczą? Czy będą szukać usprawiedliwienia dla tego, co się tu wydarzyło? A może zapragną przeprosić i dopiero wówczas, po wypowiedzeniu tych najtrudniejszych ze słów, to miejsce będzie można zamienić w ogród? Dopiero wtedy na tej suchej ziemi wyrosnie trawa i ktoś zasadzi kwiaty.*

*Margot, cokolwiek się stanie, nie chcę nikogo nienawidzić. Nie chcę żyć z poczuciem krzywdy.*

*Bo to chyba nie jest już życie...*

Ostatnie myśli Karola, ostatnie słowa niemego listu do Margot mąci dźwięk, którego Ploch nie chce słyszeć. Nie musi odwracać głowy, aby być pewnym, że to leżący obok Paweł próbuje stłumić płacz wydobywający się z jego piersi.

Do Karola dociera, że gdyby list do Margot naprawdę powstał, zniszczyłby go teraz, podarł na tysiące drobnych kawałeczków.

Wybaczyć? Usprawiedliwić? Z chęcią parsknąłby w tej chwili śmiechem.

Przed oczami ma tych wszystkich, których zdołano tu już zamęczyć. Kolejny raz musi patrzeć na krew sączącą się z nadgarstków Kuna Wenzla, na Erica, który pragnął rzucić się na druty, i na tych, którzy już to zrobili.

Wciąż słyszy płacz Pawła.

Ploch widzi też siebie. Przygląda się swojej opuchniętej twarzy, mruży oczy, na które mimo mijających dni wciąż źle widzi, i już wie, że słowo „wybaczenie” to tylko zbiór nic nieznaczących liter. Slogan powtarzany przez tych, którzy wybaczać nie mają czego.

Słyszy w uszach śmiech komendanta Morela i czuje, że nic go nie obchodzi to, co przeżył ten straszny człowiek. Nie obchodzi go jego ból i strata, którą poniósł.

Nie sposób wybaczyć Zgody. Obojętnie, ile lat przyjdzie mu jeszcze żyć. Te baraki, te przeklęte druty pozostaną w nim na zawsze.



\*

Mały Egon wbiega do baraku i wspiąwszy się na pryczę Karola, szepcze mu do ucha straszne nowiny.

– Złapali go! Złapali Erica!

Chłopiec ma zaczerwienione policzki. Trudno powiedzieć, czy to ze zdenerwowania, czy może z powodu ekscytacji czymś, co choć na chwilę przerywa obozową monotonię.

Nim blokowy Marek chwyci Egona za kołnierz i nie patyczkując się, wyrzuci chłopca z baraku, Ploch, oszołomiony wiadomością, której dziś, prawie tydzień po ucieczce, już nie oczekiwał, zerka na zaropiałe, wychudzone palce dziecka wbijające się w deski pryczy.

Przykry obraz znika mu sprzed oczu, a zamiast niego pojawia się twarz Pawła.

– Co on powiedział? Co ci powiedział ten mały? – szepcze nerwowo, wpatrując się w Karola, tak jakby to on był winien słowom, które wypływały z ust chłopca.

– Złapali Erica. – Głos Karola brzmi oschle, a on sam czuje narastający gniew.

Nie współczuje teraz chłopakowi, jest na niego zły, że zdecydował się na ucieczkę, że dał się złapać i być może właśnie wyjawia informacje, które doprowadzą ubecką milicję do Basi. Czuje odrazę, bo wie, że znów będzie zmuszony patrzeć na pobite ciało Calsterena i słuchać jego jęków.

Ploch tak bardzo nie chce już nic słyszeć, niczego oglądać. Niechże mu wszyscy dadzą święty spokój.

– A Basia? Była z nim Basia?

Kubiczek najwyraźniej nie dostrzega gniewu rodzącego się w Karolu. Chwyta kolegę za ramiona i próbuje uzyskać od niego odpowiedź.

Ale Karol strachu Pawła też nie chce już oglądać. Nagłym ruchem strząsa z siebie jego dłonie.

– Niedługo się przekonasz! – odpowiada ostro. – Ja tej ucieczki nie wymyśliłem. Skąd mam wiedzieć, co się dzieje z twoją córką? – Odpycha od siebie Kubiczka. Potem przekręca się na drugi bok i zaciska powieki. – Wszystko mi jedno, co się z nimi stanie – szepcze. – Wszystko mi jedno.

Próbuje wyryć sobie w sercu te słowa.

\*

– Sam się zgłosiłem. Nie miałem innego wyjścia. – Eric cały czas patrzy na Wilhelma, jakby tylko jego miał za co przeproszać. – Na początku wszystko szło tak, jak zaplanowaliśmy... Baśka wymknęła się, gdy czekaliśmy na wejście do huty. Ja ukryłem się wewnątrz szopy, w której składowano cegły. Wyszedłem potem z innymi wolnymi robotnikami. Panuje tam straszny bałagan, aż dziw, że więcej naszych nie próbuje ucieczki. Robotnicy wymontowują dosłownie każdą śrubę, chyba do Rosji to wszystko zawożą. Nie wiem, kiedy zaczęli nas szukać... Ile trwało, zanim się zorientowali, że nas nie ma?

– Zrozumieli, co się stało, dopiero gdy na porannym apelu zgłoszono brak dwojga więźniów. Nie policzyli was przed wyjściem do huty, więc po powrocie nikogo im nie brakowało – zaczyna wyjaśniać nerwowo Paweł. – Marek myślał, że jesteś w lazarecie. Chyba dopiero kiedy blokowa z babskiego nie doliczyła się Baśki, zaczął się czegoś domyślać. Szukali i pytali, ale długo próbowali to ukrywać. Bali się donieść Morelowi o uciekinierach. Potem, gdy wszystko wyszło na jaw, komendant mnie wezwał. Dostałem po pysku i tyle, chociaż bałem się, że mnie zabije. Chyba nie w smak była mu ta ucieczka. Myślę nawet, że próbował ją zataić... Ale mów wreszcie – Paweł cmoka niecierpliwie – Co z wami?

– Z Baśką widziałem się jeszcze tylko przez chwilę. Chciała spróbować dostać się do Częstochowy, do swojej przyjaciółki. Liczyła, że tam jej nie znajdą, a ja ruszyłem do Gliwic. Nikt mnie nie zatrzymywał. Szedłem ulicą jak wolny człowiek. Odwiedziłem mieszkanie jednej z moich ciotek. Miałem do niej zaufanie. Gdy tylko mnie wpuściła, poprosiłem, aby zawiadomiła moją matkę. Wiedziałem, że milicja szybko się u niej zjawi. Nie wiem,

dlaczego ciotka zlekceważyła moją prośbę. Już następnego dnia dowiedziałem się, że matkę zatrzymano. Nie mogłem pozwolić, aby przyszła tu za mnie.

Karol, sam wciąż zły na chłopaka, w spojrzeniu Wilhelma również dostrzega gniew.

– Uciekać mogą ci, którzy nie mają już nikogo, na kim im zależy. – Koch przypomina wielokrotnie powtarzane przez siebie słowa.

Karol zastanawia się, czy Wilhelm czuje się odpowiedzialny za Erica, czy obwinia się o to, że pozwolił chłopakowi na ucieczkę, że go nie zatrzymał, mimo że wiedział, jak ta próba się zakończy.

Ale Holendrowi nic nie jest. Przywieźli go i tyle. Ma na sobie nowe, ciepłe ubranie. Widać, że ciotka odkarmiła go nieco przez tych kilka dni. Może nawet tak krótka wolność była więc dobrodziejstwem.

– Gdy przyszedłem na milicję, przyjął mnie sam Morel – odzywa się Eric. – Myślałam, że to mój koniec, tymczasem on przywitał się ze mną uprzejmie i prawie podziękował mi za to, że dobrowolnie się do niego zgłosiłem. Obiecał też, że zaraz wypuści moją matkę. – Jego głos brzmi niemal radośnie. Chłopak wydaje się odprężony. – To komendant mnie tu przywiózł – mówi dalej, udając, że nie widzi, jak złość i strach w oczach kompanów zmieniają się w coraz większe zdziwienie. – W samochodzie gawędziliśmy, opowiadał mi wiele rzeczy o sobie. Pochodzi z jakiejś wioski w łódzkim. Grabowo albo nie... Garbów. Ponoć jego rodzina miała tam piekarnię, ale kiepsko im szło, więc wyjechał do Łodzi i pracował tam jako ekspedient w sklepie z galanterią. Mówił, że tamta praca nauczyła go dbać o wygląd. – Eric przerywa na chwilę opowieść i sunie wzrokiem po twarzach słuchaczy. Karol deliberyje, czy tylko jemu się zdaje, że w oczach chłopca widać coś na kształt dumy. – Komendant pochwalił mój ubiór – ciągnie Holender. – A potem pozwolił mi zapalić i stwierdził, że mam lepszy tytoń od niego.

– A Basia? – Głos Pawła wydaje się nieco spokojniejszy. – Mówił coś o niej? Pytał cię o nią?

Eric kręci głową.

– W ogóle o niej nie wspomniał. Raz tylko powiedział, że niepotrzebnie uciekliśmy, że przecież w obozie jest komfortowo.

– Na pewno jej się udało... – szepcze Kubiczek, po raz setny uspokajając samego siebie.

Chce jeszcze zapytać o coś Calsterena, lecz w tym momencie do baraku wchodzi bezręki Skutela i jeszcze jeden strażnik.

– Na prycze! – wrzeszczy obozowy starosta.

Nieliczni więźniowie, którzy jeszcze nie leżą, biegną do swoich łóżek.

– Ty zostajesz – mówi mężczyzna, wskazując palcem na Erica.

Chłopak zatrzymuje się przed strażnikiem. Z twarzy nastolatka znika spokój.

– Ściągaj te łańchy i zakładaj to. Żadna świnią, szczególnie niemiecka, nie nosi spodni w kancik.

Eric chce coś powiedzieć, ale rezygnuje, szybko przypominając sobie podstawową regułę przetrwania w obozie.

Karol patrzy, jak chłopak pospiesznie zdejmuje ubranie, w którym dzień rano przyszedł na gliwicką milicję, i z nieskrywanym obrzydzeniem zakłada cuchnące szmaty, pewnie ściągnięte z któregoś ze zmarłych.

„Wystarczy kilka dni wolności, aby się odzwyczaić” – myśli Ploch, śledząc, jak Skutela i drugi strażnik wyprowadzają Erica z baraku. Jest wściekły, tym razem na samego siebie, że tak łatwo dał się omamić, że zdołał uwierzyć, iż chłopak nie poniesie konsekwencji swojego wybryku. Znów próbuje sobie wmówić, że los Calsterena już go nie obchodzi, że nie chce, nie może się troszczyć o głupca, który najpierw bezmyślnie uciekł, a chwilę później dał się złapać.

Już ma zeskoczyć z pryczy i nachylić się nad leżącym piętro niżej Wilhelmem, aby zapytać go, czy wie, że zgadzając się na ucieczkę Erica, doprowadzili do zguby tego dzieciaka. Chce mu powiedzieć, jak bardzo żałuje, że brał w tym udział. Po chwili rozmyśla się jednak. Jego wzburzenie i żal oznaczałyby, że jeszcze mu zależy, a przecież Karol Ploch już nic nie czuje. Tak sobie postanowił.

Nie mija chwila i Eric wraca w towarzystwie strażników.

Więźniowie, którym Marek nie pozwolił zejść z prycz, z ciekawością i trwogą przyglądają się temu, co ma się zaraz wydarzyć.

– Rozsyp i klękaj! – Skutela wydaje Calsterenowi krótki rozkaz.

Na podłogę sypią się drobne kamyczki, które chłopak wyciąga z obu kieszeni.

– A teraz klękaj! – grzmi ponownie starosta.

Eric wykonuje rozkaz.

– Ręce do góry! Wyżej. Wyżej! Do szkoły nie chodziłeś, że nie wiesz, jak to się robi? – pyta ze śmiechem drugi ze strażników. – Tu każde dziecko wie, jak się karnie klęczy.

Holender się krzywi. Zapewne kamyki zaczynają mu się wbijać w kolana, ale chłopak nawet nie drgnie.

– A wy – Skutela zwraca się do Marka – pilnujcie go i sprawdzajcie, czy sobie kamieni spod kolan nie usuwa.

Wychodzą. Marek wciąż nie pozwala innym się poruszyć, więc więźniowie z łóżek przyglądają się klęczącemu pośrodku baraku chłopakowi.

„I to ma być kara za ucieczkę?” – myśli Karol i przypomina sobie, że i jemu zdarzało się klęczeć na grochu. Janosch nigdy nie dawał takiej kary dzieciom, ale u innych nauczycieli nie była ona rzadkością.

Ploch pamięta ból kolan i drętwienie uniesionych w górę rąk. Nic przyjemnego, ale to wciąż tylko szkolna kara. Coś, co da się przetrwać.

Jednak wraz z mijającym czasem i coraz liczniejszymi kroplami potu pojawiającymi się na twarzy Erica, Karol zaczyna się zastanawiać, do jakiego sadyzmu zdolny jest Morel. Ile czasu każe wytrwać młodzikowi w tej pozycji i czy gdy ten w końcu zemdleje, rozkaże ocucić go wodą i zmusi, aby klęczał dalej? Czy może właśnie tą dziecięcą karą wydał na chłopca, który przecież wciąż jest dzieckiem, wyrok śmierci?

Wreszcie Ploch chowa twarz pod kocem. Próbuje uciec do swojego jedy- nego azylu, do skrawka prywatnej przestrzeni.

– Koniec tej zabawy. Calsteren, spać! – rozkazuje wchodzący do baraku Skutela.

W powietrzu prawie słycać jęk ulgi – wydobywa się on nie tylko z gardła ukaranego chłopca. Wszyscy są radzi, że przyjdzie im spokojnie przespać noc, a snu nie będzie mąciło cierpienie klęczącego.

Gdy Eric kuśtyka do pryczy i kładzie się obok Wilhelma, Karol próbuje na niego nie patrzeć, ale potem układa się wygodniej i zsuwa nieco koc z twarzy.

– Może Morel polubił Holendra, może wie, że jest niewinny – zastanawia się leżący obok Paweł. – To dobrze wróży też dla Baški. – Uspokaja samego siebie.

Widać górnik też odnalazł w sobie dobre myśli, bo już po chwili z jego półotwartych ust dobiega ciche chrapanie.

Karol znów rysuje na deskach sufitu obraz Margot i Piotrusia. Uśmiecha się do nich, pragnąc odgonić wciąż tłący się w sercu niepokój.

Tym razem wraz z żoną i synkiem idą do Parku Południowego. Jest słoneczna niedziela. Oszołomieni zapachem kwitnących róż spacerują alejkami ogrodu różanego. Margot chce pójść jeszcze do starego kościółka, który dwa lata wcześniej został tu przywieziony z Syryni. Miał być pierwszym obiektem powstającego tu skansenu. Niestety, wybuch wojny sprawił, że miasto odłożyło te plany na nieokreśloną przyszłość.

Piotruś biegnie przed nimi, ale nagle przystaje, przyglądając się czemuś z uwagą.

– Dlaczego rozbierają wieżę? – pyta, odwracając się do rodziców, a potem znów patrząc na naruszoną już stalową konstrukcję, która przed wojną służyła do szkolenia skoczków spadochronowych.

Karol zerka na Margot i złości się w duchu, że ta piekielna wojna może zepsuć nawet tak przyjemny dzień. Co ma odpowiedzieć ciekawskiemu chłopcu? Że niemieckie władze zdecydowały się rozebrać obiekt, który mieszkańcom Katowic kojarzy się z oporem i walką? Że wkrótce zniknie

miejsce, gdzie młodzi harcerze i gimnazjaliści z polskich szkół zginęli, próbując stawić opór wkraczającym żołnierzom Wehrmachtu?

– Jest w złym stanie. Może się zawalić – odpowiada synkowi, czując piekące wyrzuty sumienia, że nie ma odwagi powiedzieć prawdy.

Dopiero zapach starego drewna nieco go uspokaja. Przechodząc przez bramę na kościelny plac, Karol czuje, że znalazł się w bezpiecznym miejscu. Spływa na niego zupełnie irracjonalny spokój. Siada przy Margot na ławce i bierze dłoń żony w swoją.

– Zostaniemy tu? – pyta pewny odpowiedzi.

Margot uśmiecha się i kiwa głową. Karminowa pomadka lśni na jej ustach. Karolowi przychodzi do głowy, że ten makijaż to wyraz buntu. Wszak wiadomo, że Adolf Hitler nienawidzi czerwonej szminki.

\*

– Obudź się, chłopie. Zaś go gdzieś wzięli.

Karol otwiera oczy. Przez chwilę nie wie, gdzie jest i kto tak hałasuje, przerywając mu sen.

– Kogo wzięli? – pyta, widząc nad sobą twarz Pawła.

– Erica! Przyszło po niego dwóch ludzi. Skutela i ten drugi, co mu kamienie kazał zbierać. Chwycili go pod ramiona i wywlekli z baraku.

Resztki snu natychmiast rozplývają się w ponurej rzeczywistości.

– I nie budzili innych? – Dziwi się Karol.

Pierwszy raz tak po cichu kogoś zabrali. A przecież wszystko, co inne i odbiegające od obozowej rutyny, natychmiast budzi strach.

Wilhelm też już nie śpi, siedzi na pryczy i patrzy gdzieś przed siebie.

– Teraz go zabiją – mówi zduszonym głosem. – Nie potrzebowali świadków.

Karolowi ciarki przebiegają po plecach. Rozgląda się po baraku rozświetlanym co chwilę umieszczonymi na wieżyczkach reflektorami.

Reszta więźniów wydaje się spać. Choć przecież wiadomo, że jeśli nawet nie obudzili ich strażnicy, sen musiał im przerwać odgłos prowadzonych rozmów. Nikt tu nie zasypia aż tak głęboko.

„Nie chcą wiedzieć” – myśli Karol. „Oni też nie chcą już o niczym wiedzieć”.

Kładzie się i ponownie zamyka oczy. Tak bardzo pragnie zasnąć. Zaciska powieki, ale sen-wybawiciel nie nadchodzi.

\*

Ploch siedzi przed barakiem, wystawiając twarz do słońca. Jako jeden z nielicznych potrafi zmusić się jeszcze do takiej dobrowolnej aktywności. Większość jego kompanów nawet na tak niewielki wysiłek nie ma już siły, a może i chęci. Leżą na pryczach, czekając na kwaśną zupę i odganiają się od wgrzyzających się w ciało insektów.

– A gdzie ten Holender? Przecież go złapali.

Ploch odwraca głowę w stronę dziecięcego głosu. Chwilę temu przysiadł przy nim Egon. Odkąd pomógł Karolowi przemyścić list od Margot, częściej odwiedza barak numer siedem. Lgnie do mężczyzny jak do ojca, a ten zazwyczaj nie ma nic przeciwko jego towarzystwu. Zaprzyjaźnili się. Choć czasem Karol myśli, że wszelkie słowa sugerujące dobre uczucia zostały unicestwione w momencie przekroczenia bramy obozu. Tu można co najwyżej nienawidzić, bać się lub pozostać na wszystko obojętnym. Nie warto szukać przyjaciół tam, gdzie za chwilę można ich stracić.

– Wsadzili go do karceru? – dopytuje Egon, gdy Karol przez dłuższy czas nie odpowiada.

Ploch przez moment zastanawia się, czy powinien dzielić się z malcem swoimi obawami. Przygląda się wychudzonemu i pogryzionemu ciałku chłopca, posklejanym brudem włosom i oczom, w których nie ma już nic z dziecka.

– Zabiły go te skurwysyny? – odzywa się ponownie Egon.



Karol przytakuje ruchem głowy. Nie karci małego za wulgarny język, taka próba wychowania wydaje mu się teraz śmieszna.

Siedzą znów bez słowa, wpatrując się w bezchmurne niebo. Obaj pragną, aby minuty mijały szybciej.

– Zobacz! – Karol unosi rękę i wskazuje na coś. – Czy to bocian?

Chłopiec zerka w tę samą stronę i nagle zrywa się gwałtownie. Podskakując, biegnie przez plac.

– Bocian. Bociek! Kle, kle! – wykrzykuje, wymachując rękoma.

Ploch patrzy na ten niespodziewany wybuch dziecięcej radości i czuje, że śmiech Egona przeraża go bardziej niż wulgarne słowa, które malec wykrzyczał chwilę wcześniej. Ta radość tak bardzo tu nie pasuje.

Być może chłopiec też to rozumie, bo po chwili milknie i już spokojnie rusza w kierunku baraku numer dwa.

Karol odprowadza go wzrokiem. Mały Ciupka idzie coraz wolniej, tak jakby coś utrudniało mu postawienie kolejnego kroku.

– No, pospiesz się!

Ploch słyszy podniesiony głos i w tej samej chwili dostrzega blokowego Marka niosącego coś z wysiłkiem.

Marek woła chłopca, który od razu się zatrzymuje. Nawet z daleka widać, że sparaliżował go strach.

Karol wstaje i również idzie w ich kierunku. Mruga intensywnie, ale coraz słabszy wzrok nie pozwala mu jeszcze dostrzec, czyje ciało właśnie zsuwa się z ramion blokowego.

– Ty! – Mężczyzna dostrzega Karola. – Pomóż mi! – rozkazuje.

Ploch zaczyna biec.

– Żyje? – pyta blokowego, pochylając się nad ciałem Erica.

– Niestety – odpowiada Marek, a Karol wie, że te słowa nie są przejawem okrucieństwa. Przeciwnie, świadczą o litości.

– Wynocha stąd! Do matki! – Ploch odwraca się jeszcze do Egona, który też podbiega bliżej. – No, już! Nie ma cię tu! – mówi ostro, próbując zasło-

nić dziecku straszny widok.

Być może mały dużo przeszedł i widział już niejedno, ale obraz skatowanego Holendra to zbyt wiele nawet jak na obozowe dziecko.

– Myśleli, że nie żyje. Kazali go zabrać do trupiarni, ale on wciąż oddycha – szepcze ochryple Marek.

Karol najdelikatniej, jak potrafi, chwyta nogi chłopaka, które są jedną otwartą raną. Zresztą tak jak całe jego ciało. Niosą go bez słowa. Ploch zerkają na Marka. Blokowy ma usta zaciśnięte w wąską kreskę i ciężko oddycha. Nie z wysiłku, bo ciało Erica prawie nic nie waży. Karol wie, że to wyrzuty sumienia ciążą Markowi, bo choć nie było go przy torturowaniu Calsterena, on również go bił, tak jak ich wszystkich, choć może lekko i bez zaangażowania. Robił to, bo wtedy sam mógł liczyć na lepsze traktowanie, a także dlatego, że mu kazali, a on już przecież wie, że władzy się nie odmawia.

Karol zastanawia się, czy Marek domyśla się, że jemu też jest ciężko, że rany na ciele tego niespełna szesnastolatka to również jego wina, bo nie zapobiegł bezmyślnej ucieczce.

\*

Jedyne, co mogą zrobić, to obłożyć ciało nastolatka mokrym papierem i czuwać, aby w ranach nie zaległo się robactwo. Ale nawet na tym polu w końcu przegrywają i wyciągając białe larwy, czekają, aż chłopiec umrze i tym samym uwolni się od bólu.

Eric gorączkuje, ale gdy temperatura na chwilę spada, odzyskuje świadomość. To są najtrudniejsze momenty.

– Ciągle pytał, dlaczego uciekłem, bo przecież tu jest wspaniale – mówi, ledwie poruszając spierzchniętymi ustami. – Wspaniale! Cudownie! – powtarza, patrząc na pochylającego się nad nim Wilhelma, i znów zapada w niespokojny sen, przynosząc tym wytchnienie nie tylko sobie, ale też współwięźniom, których zabija bezradność.

Mijają kolejne dni, a chłopiec wciąż kurczowo trzyma się życia. A może raczej życie kurczowo trzyma się Erica, już bez jego woli.

– Zabijcie mnie! No, zabijcie! – krzyczy, kiedy Karol i Paweł próbują oczyścić mu rany, które nie chcą się zasklepić. – Proszę was... Błagam! Nie ruszajcie mnie. Nie dotykajcie. – Płacze chłopak.

To Wilhelm decyduje, że należy przenieść go do lazaretu.

Nikt nie protestuje, mimo że każdy doskonale wie, jak funkcjonuje obozowy szpital i jaką renomę ma doktor Glombitza.

– Będzie dobrze – szepcze Karol, bo nie wie, co innego mógłby powiedzieć, i ściska dłoń Erica na pożegnanie.

Czuje ulgę, że chłopiec, targany gorączką, znów nie wie, co się z nim dzieje. Nie rozumie, że się go pozbywają, aby już dłużej nie patrzeć na cierpienie, którego przed Zgodą nawet nie umieliby sobie wyobrazić.

Ploch zdaje sobie sprawę, że odprężenie, które czuje, gdy spogląda na pustą pryczę młodego Holendra, będzie go męczyło do końca życia. Wszyscy będą musieli nauczyć się z tym żyć.

Do  
Urzędu Wojewódzkiego Śląsko-Dąbrowskiego  
Wydział Bezpieczeństwa w Katowicach

*Prośba Marty Filip w Pielgrzymowicach  
o zwolnienie z obozu Ludwika Poloka,  
ur. 2 III 1916 r. w Golasowicach*

*W najniższej ukorze ośmiela się nizej podpisana wnieść swą uniżoną prośbę o łaskawe zwolnienie jej przyszłego męża Ludwika Poloka, znajdującego się w obozie przymusowym Świętochłowice-Zgoda.*

*Prośbę swoją motywuję tym:*

*Z nazwanym miałam zawrzeć związek małżeński, lecz w wyrabianiu dokumentów przeszkodziło nam nadejście frontu do naszej wsi, tak że związku nie mogliśmy zawrzeć. Wobec tego, że nazwany jest sierotą bez ojca i matki i nikt się za wspomnianym nie może ująć, a nazwany nie był żadnym wrogiem, był uczciwym robotnikiem, że tylko miał listę drugą, został przez milicję doprowadzony do tegoż obozu.*

*Z uwagi, że jego nazwisko już zdradza jego polskie pochodzenie, jak i z uwagi na to, że jest chorobliwy na płuca, upraszam gorąco władzę o zwolnienie jego, albowiem mogę ręczyć, że stanie się dalej dobrym obywatelem polskim (...).*

*Filip Marta*<sup>[34]</sup>

## Blok chorych

– Ponoć wczoraj zaszczepiono wszystkich strażników. Dla nich szczepionki się znalazły, a nam przyjdzie zdychać – mówi gniewnie Paweł.

Karol wsłuchuje się w słowa górnika. Już się nie dziwi, że wizja zbliżającej się kostuchy wcale go nie przeraża. W końcu niektórzy więźniowie znaleźli sobie drogę ucieczki. Wcale nie martwi go fakt, że z krainy, do której podążają, nie ma już powrotu.

– Panie Wilhelmie, co panu? – zaniepokojony głos Kubiczka przerywa rozmyślenia Plocha.

Mimo słabości mężczyzna zmusza obolałe ciało do ruchu. Wychyla się za ramę łóżka.

Wystarczy jedno spojrzenie, aby zauważyć, że z Wilhelmem nie jest dobrze. Jego skóra błyszczący od potu, a on sam, trzymając się za brzuch, próbuje wstać.

– Muszę do ubikacji – szepcze słabym głosem i w tej samej chwili osuwa się na podłogę między rzędami prycz, zwijając się z bólu.

Paweł i Karol zerkają na siebie porozumiewawczo.

A więc Kocha też dopadło. To już tylko kwestia czasu, kiedy choroba w pełni rozwinie się również u nich. Przed przetaczającą się przez obóz epidemią nie ma gdzie się schować. Droga jest jedna i prowadzi do trupiarni.

Choruje już prawie cały barak numer siedem. Strażnicy, którzy od kilku dni unikają wchodzenia do środka, mówią, że to tutaj, w Deutsches Haus, wszystko się zaczęło.

– Parszywi, brudni hitlerowcy! Wyłazi z was teraz całe zło, które nam wyrządziliście! – sarkali, gdy jeszcze liczone, że tyfus nie przeniesie się do innych baraków i pozostanie w tym, do którego włączano najwięcej no-

wych więźniów i w którym ranni oraz pobici ludzie nie mieli siły odpędzać się od przenoszących choroby insektów.

Nie minął jednak tydzień, a macki tyfusu wślizgnęły się też do innych pomieszczeń.

Z dnia na dzień choruje coraz więcej osób. Ludzie umierają, a Karol, któremu w końcu pozwolono znaleźć pomocnika, wciąż pracuje sam, bo zdrowi więźniowie boją się dotykać ciała. Reszta nie ma siły podnieść się z pryczy bądź zalega w spływających fekaliami ubikacjach.

Strach przed zarażeniem przynosi jednak więźniom również ulgę, bo zaraży panicznie boją się strażnicy, a sam komendant od kilku dni w ogóle nie pojawia się w obozie.

Nie ma apeli, nie ma nocnych powitań, a karcer pozostaje pusty.

Karol schodzi z pryczy i dotyka rozpalonego czoła Wilhelma. Razem z Pawłem pomagają mu się podnieść i położyć na łóżku, przykrywają go kocem i czekają. Jedynym lekiem, jaki dostali, jest kilka tabletek węgla i licha owsianka. Ta ostatnia jednak krzepnie w puszkach, bo niewielu jest w stanie przełknąć choćby odrobinę.

Ploch dotyka dłoni przyjaciela. Żegna się z nim w ten sposób, bo przecież wie, że tyfus potrafi zabić w mgnieniu oka, a potem powoli, noga za nogą, z trudem omijając tych, którzy nie umieją podnieść się z podłogi, wychodzi przed barak. Choć strażnicy wydali rozkaz, aby więźniowie siódemki pozostawali przez cały czas wewnątrz pomieszczenia, nie ma nikogo, kto mógłby ten nakaz egzekwować, a on obiecał sobie, że dopóki starczy mu sił i objawy choroby nie przykują go do łóżka, będzie wychodził i chociaż chwilę oddychał świeżym powietrzem.

Sierpień jest upalny. Karol rozpina koszulę, przymyka oczy i wystawia półnagie ciało na zbawienne działanie promieni słonecznych.

Kiedyś czytał, że promienie słoneczne niszczą bakterie. Wątpi, że poradzą sobie też z namnażającymi się w nim prątkami tyfusu, jednak nie chce odpuścić swojego rytuału.

Momentami nachodzi go myśl, że słońce jest jego własnością, że to jedyna rzecz, której mu jeszcze nie zabrali. Więźniowie histerycznie pragną tutaj posiadać coś na własność, jakiś należący wyłącznie do nich przedmiot. Czasem jest to przemycona do obozu chusteczka do nosa, czasem obrączka lub złoty ząb ukradziony zmarłemu. Karol ma słońce i teraz może kąpać się do woli w jego promieniach.

Czuje przypływ sił. Postanawia, że pójdzie po taczkę i jeszcze raz spróbuje znaleźć kogoś, kto pomoże mu przewozić zwłoki. Choć właściwie nie ma to większego sensu, bo trupiarnia też jest już przepełniona.

Furman, który wywozi ciała na cmentarz, nie zjawił się od kilku dni. Karol zastanawia się, czy Morel zgłosił komukolwiek, że w obozie szaleje zaraza, dla której kolce w ogrodzeniu i prąd biegnący przez druty nie są przecież przeszkodą.

Ploch czuje, że komendant się boi. Ktoś może zainteresować się tym, co dzieje się w obozie. Morel musiałby wtedy przyznać, że tym samym wozem, którym wywożono ciała, przywożono do obozu chleb. Może wówczas ktoś spytałby więźniów, czy mogli brać prysznic albo czy choć raz ich odwieszono.

Rozgląda się wokół. Wszędzie widzi ciała leżące pod oknami baraków i ludzi próbujących dojść do ubikacji albo z niej wrócić.

„W końcu ktoś zauważy roje much” – myśli, ale natychmiast zaczyna wątpić, czy stanie się to, zanim w obozie pozostanie choćby jeden żywy więzień mogący opowiedzieć, dlaczego ludzie zaczęły trawić choroby.

*Sto lat, sto lat*

*Niech żyje, żyje nam!*

Cichutki śpiew dobiegający nie wiadomo skąd najpierw wywołuje u Karola lęk. Czy to już? Czy on też, w wyniku osłabienia i rosnącej gorączki, zaczyna widzieć i słyszeć nieistniejące rzeczy? Wielokrotnie był już świadkiem, jak dotknięci chorobą kompani zaczynali majaczyć i odchodzić od zmysłów, a Ploch właśnie tego w umieraniu boi się najbardziej.

*Jeszcze raz, jeszcze raz  
Niech żyje, żyje nam!*

Kobięcy głos wchodzi w wysokie tony, stając się przez to głośniejszy, i Karol już wie, że to nie omamy. Śpiew dochodzi zza jednego z baraków. Teraz Ploch zaczyna się zastanawiać, czy zdrowy na umyśle pozostał ten, który świętuje tu urodziny. Nie wie, co zastanie za rogiem, ale ciekawość jest silniejsza niż lęk przed kolejnym łamiącym serce obrazem. Podchodzi do bocznej ściany i ostrożnie się wychyla.

To, co widzi, ogrzewa go i mrozi jednocześnie.

Na ziemi, tuż przy ścianie, klęczą blisko siebie dwie osoby. Karol dobrze je zna. To Adela Ciupka i Egon, jej syn.

Kobieta trzyma w rękach kawałek posypanego czymś chleba. W jego środek wetknięta jest zapalona świeczka. To ona śpiewa. Egon patrzy raz na matkę, raz na chleb, a na jego twarzy maluje się coś, czego Karol nie widział od wielu miesięcy. Szczęście.

Przez chwilę waha się, czy powinien do nich podejść, czy ma prawo zaburzyć swoją obecnością tę czułą chwilę między matką i dzieckiem. Czeka, aż głos Adeli ucichnie, aż chłopczyk zdmuchnie świeczkę i weźmie do ręki ten jedyny w swoim rodzaju tort.

– Wszystkiego najlepszego – mówi, wychodząc w końcu zza ścianki baraku. – Pomyślałeś życzenie, gdy zdmuchiwałeś świecę? – pyta malca, zauważywszy, że chłopak szczerze uśmiecha się na jego widok.

– Pomyślałem, ale wiesz, że życzeń nie można zdradzać, bo się nie spełnią – odpowiada rezolutnie Egon i ponownie zaczyna lizać chleb.

Teraz Karol widzi, że kromka posypana jest cukrem. Nawet nie chce myśleć, co musiała zrobić Adela, aby go zdobyć.

– A pewnie, że nie możesz, ale mam nadzieję, że to było coś odpowiedniego. Może rower albo ogromne pudło klocków? – Karol próbuje żartować, choć dobrze wie, jakie życzenie mógł mieć ten mały chłopczyk, i Bóg mu świadkiem, oddałby teraz duszę diabłu, jeśli sam sobie jej jeszcze nie



wziął, aby to marzenie się spełniło. – Wiesz, ja jestem zawodowym kierowcą. Jeżdżę samochodami dostawczymi, a nawet ciężarówkami – dorzuca, aby rozproszyć ponure myśli. W końcu jest na urodzinowym przyjęciu.

– Naprawdę? – Oczy chłopaka rozbłyskują. – Jeździsz ciężarówką? – pyta z niedowierzaniem.

Karol skina głową i klęka obok Egona.

– Ja też mam dla ciebie prezent – mówi. Pierwszy raz od bardzo dawna wzruszenie odbiera mu głos. – Gdy stąd wyjdziemy, musisz mnie odnaleźć. Pamiętasz, jak mam na nazwisko i gdzie mieszkam? Mówiłem ci kiedyś?

Chłopczyk przytakuje.

– Wezmę cię wtedy na długą wycieczkę. Najprawdziwszą ciężarówką – szepcze dalej, nie zważając na łzy napływające mu do oczu. – Pojedziemy hen, daleko. Ty, ja i mój syn.

Gdy Egon z naturalnością dziecka obejmuje Plocha za szyję, łzy płyną mężczyźnie po policzkach.

Nie tylko Karol płacze. Adela też wyciera oczy.

– Tylko musisz stąd wyjść. – Ploch odsuwa od siebie chłopca, aby na niego spojrzeć. – Obiecuj mi, że przeżyjesz.

– Ty też – opowiada Egon. – Ty też musisz mi to obiecać. Kto inaczej nas powiezie?

Karol nie ma wyjścia. Choć czuje, że wraz z rosnącą gorączką coraz trudniej mu myśleć, a ból mięśni i obezwładniająca słabość utrudniają ruch, kładzie rękę na piersi i szepcze:

– Obiecuję!

## **Niewysłane listy Margot**

*Karolku,*

*Za oknem lato. Na parapetach czerwienią się pelargonie. Wiesz, chyba miałam rację, bo wraz z nadejściem cieplejszych dni coś w końcu drgnęło.*

Wydaje się, że lód kruszeje, a wieści przychodzą lepsze.

Zakończenie wojny po raz pierwszy wlało w moje serce kroplę nadziei. Poszliśmy z Piotrusiem zobaczyć uroczystości przed gmachami Województwa<sup>[35]</sup>. Zebrało się tam mnóstwo ludzi i tym razem naprawdę czuć było radość wszystkich zgromadzonych. Skończyła się wojna! Skończyło się to piekło! Teraz musi być lepiej.

Wojewoda Zawadzki długo przemawiał, ale ja starałam się go nie słuchać. Bałam się, że powie coś, co zniszczy tę moją chwilę wytchnienia i znów przywoła ciemne chmury. Dużo było słów o przyjaźni narodu polskiego z narodem radzieckim, ale nie wiem, czy padły jakieś zdania o zemście na narodzie niemieckim.

Zawadzki wciąż powtarzał, że wygraliśmy wojnę, ale teraz musimy wygrać pokój. Miałam wrażenie, że to jedno słowo odbijało się echem i wypełniło sobą całą przestrzeń ulicy Jagiellońskiej, a potem maszerujący żołnierze roznieśli je dalej, po wszystkich zakątkach Katowic. Może dotarło również do Was.

Mamy jeszcze jeden powód do zadowolenia. Otóż Twój rodzice złożyli deklarację wierności Narodowi i Demokratycznemu Państwu Polskiemu.

Kiedy w maju weszła nowa ustawa w tej sprawie, Twój ojciec bardzo się zdenerwował. Zarzekał się, że nie będzie robił z siebie błazna, że zawsze był Polakiem i nim pozostanie. Dla niego to, co się dzieje, jest wielkim upokorzeniem.

Na szczęście Twoja matka przemówiła mu do rozsądku. Myślę, że teraz jego pisma i starania o zwolnienie Ciebie mogą być rozpatrywane z większą przychylnością. Ja też złożyłam już wniosek o rehabilitację do sądu grodzkiego. Musiałam udowodnić w nim, że zostałam wpisana do drugiej grupy wbrew własnej woli. Kilka dni później znalazłam swoje nazwisko wśród innych wymienionych w „Dzienniku Zachodnim”. Teraz czekam na termin rozprawy i modlę się, aby nikt nie złożył donosu, że szkodziłam Narodowi Polskiemu. Wiem, że teraz, gdy moja sprawa przyjęła oficjalny bieg, gdy się przyznałam do pochodzenia i numerku na liście narodowościowej, mogą zrobić ze mną, co zechcą. Takich jak ja wyrzucają z mieszkań, przesiedlają

albo po prostu każą nam się wynosić. Pocieszam się, że mieszkanie jest zapisane na Ciebie i staram się żyć z dnia na dzień. Wciąż chodzę też na bazar i sprzedaję, co się da, choć nadal noszę na szyi łańcuszek, który dałeś mi na naszą rocznicę. Mam nadzieję, że chociaż on mi pozostanie, że choć tej jednej pamiątki nie będę musiała spieniężyć.

Wiesz, poznałam na targu dziewczynę. Pewnego dnia stanęła obok mnie i rozłożyła na ziemi kilka przedmiotów. Nazywa się Agnes Trauter i mieszka w Chorzowie. Zwróciłam na nią uwagę, bo wydawała się nieobecna i tak smutna, że samo spojrzenie na nią sprawiło mi ból. Ludzie omijali ją oraz jej towar. Wiadomo, nikt nie chce zarazić się smutkiem...

Dałam jej kubek kompotu, który chwilę wcześniej przyniósł mi Piotruś. Zawsze przybiega do mnie po lekcjach i przynosi z domu choćby suchy kawałek chleba.

Karolku, historia tej dziewczyny jest smutniejsza od naszej. Jej chłopca wywieziono gdzieś wraz z innymi mężczyznami. Ja przynajmniej wiem, gdzie jesteś, zaś ona o swoim Leszku nie wie nic, a co gorsza wciąż powtarza, że on już do niej nie wróci.

Agnes nie mówi, co przydarzyło jej się w styczniu, gdy Armia Czerwona wyzwalała Chorzów. Opowiada jedynie o swojej siostrze, która wyskoczyła przez okno i w gorączce przeleżała pod znajdującą się na podwórzu wanną kilka dni. Udało jej się dzięki temu uciec przed mongolskimi łapami. Czuję, że moja towarzyszka nie miała tyle szczęścia. Widzę w jej oczach wszystko, co żołnierze naszego bratniego narodu jej zrobili.

Próbuję ją pocieszać i powtarzać, że przyszłość będzie lepsza. Ale czy sama jeszcze w to wierzę? Staram się nie myśleć zbyt wiele i ciągle coś robić. Piszę listy wszędzie, gdzie tylko się da. Chciałabym poznać kogoś, kto też ma bliskiego na Zgodzie, ale tego obozu przecież nie ma. Nie istnieje w żadnych rozmowach, ani nawet w najcichszych szeptach.

Kończę już, mój kochany. Piotruś za chwilę wróci od dziadków. Pobiegł do nich, bo Twoja mama zdobyła buty i spodnie pochodzące z darów z Ameryki, a Twój synek, jakby wbrew całej biedzie, rośnie jak na drożdżach. Ja nawet nie miałam po co iść. Dla Niemców i tak nigdy nic nie zostaje.

*Chciałabym, aby to był mój ostatni list pisany do Ciebie. Czekam codziennie na Twój powrót i każdego dnia wierzę, że to już ostatnie chwile naszej rozłąki.*

*Margot*

Szan[owny] Panie Wojewodo  
Gen. Zawadzki!

*W wielkiej rozpaczy zwracam się do Ob. Wojewody o łaskawe wysłuchanie mej gorącej prośby. Mąż mój Piotr Brodala, ur. 15 V 1899 r. w Przybyśławicach, pow. Ostrów Wielkopolski, brał czynny udział w wojnie niemiecko-polskiej w 1939 r. Po powrocie, z początkiem listopada 1939 r., nie był z powrotem do dawniejszej pracy przyjęty w Śląskich Kolejach Elektrycznych i był jako Polak na przymusowe prace do Niemiec wysłany. Tam też przez cały czas okupacji pracować musiał. Pod naciskiem i przymusem partii hitlerowskiej zmuszony, tak jak każdy obywatel Śląska, wniosek o volkslistę stawić. Z jakiej przyczyny jednak okupant zaszeregował go do II grupy listy narodowościowej, jest dla mnie, jak i dla męża mojego po dziś dzień niejasne. Nie był przecież w żadnym związku niemieckim. Nie troszcząc się w ogóle i zresztą nie wiedząc w ogóle, co znaczy volkslista nr II, dalej znosił cierpliwie przymusowy obóz pracy w Heydebrecku. Od początku, do ostatniej chwili pisał listy do mnie tylko w języku polskim, tak samo i w mowie używał wyłącznie języka polskiego, co też koledzy jego poświadczyć mogą. (...) Cieszył się bardzo, gdy dzień wyzwolenia się zbliżał. Dzień nadszedł. Z wielkim entuzjazmem i radością przywitał zwycięskie wojsko radzieckie. Cieszył się, że przymusowy obóz pracy się skończył, że będzie znów mógł w wolnej ojczyźnie w swobodzie żyć i pracować.*

*Lecz, niestety, niedługo trwała jego uciecha. Radość i szczęście w smutek i rozpacz się zmieniły. W lutym 1945 r. był jako posiadacz II grupy listy narodowościowej do obozu pracy do Zgody zabrany, gdzie po dzisiejszy dzień się znajduje. (...)*

*Drogi Ob. Wojewodo! Tak pięknie Ob. Wojewoda przemówił, że ani jednej duszy polskiej nie odda się Niemcom, proszę więc i błagam usilnie Ob. Wojewodę o łaskawe rozpatrzenie sprawy mego męża. Wstawiłam także wniosek o rehabilitację, lecz zgryzota i zrozpaczona dusza Polaka prosi i woła z obozu o ratunek.*

*Myślę, że prośba moja nie pójdzie w niwecz i zostanie w myśl Ob. Wojewody przychylnie załatwiona.*

*Z poważaniem*

*Brodala Berta<sup>[36]</sup>*

## Spotkajmy się w kostnicy

Obrazy przychodzą jeden po drugim. Najpierw Karol widzi Margot układającą włosy klientce w salonie fryzjerskim. Natychmiast rozpoznaje to miejsce. To zakład przy dworcu, niegdyś należący do rodziny żony. Mężczyzna z czułością przygląda się ślubnej pochylonej nad siedzącą w fotelu kobietą. Gdy Margot dostrzega męża, opuszcza ręce i z uśmiechem podchodzi do witryny, za którą stoi Karol. Wyciąga dłoń i dotyka szyby, ale Ploch nie spogląda już na ukochaną, jego wzrok utkwiony jest w kobiecie na fotelu. Z przerażeniem patrzy na ogoloną niechlujnie głowę i głębokie rany powstałe po zacięciu tępą maszynką.

Margot to zrobiła. Ogoliła głowę klientce. Karol to wie.

Kobieta w fotelu odwraca się. To Adela Ciupka, mężczyzna zaraz ją rozpoznaje.

Ciupkowa uśmiecha się i przesuwa kościstymi palcami po głowie.

– To żeby nie zapomnieć. – Uśmiecha się. – Żeby nigdy nie wybaczyć.

Nagle Adela i Margot rozplývają się, ale Karol tylko na chwilę otwiera oczy. Czuje strach, choć nie wie, gdzie jest. Nie rozpoznaje desek, na które patrzy po przebudzeniu i przed zaśnięciem od tyłu miesiący.

Kolejny sen przychodzi bez ostrzeżenia.

Karol jedzie ciężarówką. Jest słoneczny dzień. Otwiera okienko i wdycha rzeńskie powietrze. Rozpoznaje ulicę. To jego codzienna przedwojenna trasa.

– Co wieziemy? – pyta chłopczyka siedzącego obok.

– Chleb, buraki i trupy – mówi radośnie Egon Ciupka.

Karol mruży oczy. Znów mgła przesłania mu świat.

– A dokąd? – zadaje kolejne pytanie, wciąż próbując dostrzec drogę przed nimi.

– O tam. – Egon wskazuje ręką na coś przed sobą.

Ploch hamuje gwałtownie. Już wie, gdzie się znajdują.  
Patrzy na bramę osadzoną na trzech potężnych słupach.  
*Arbeit macht frei*<sup>[37]</sup> – czyta napis, a potem budzi się i wymiotuje.

\*

– Chłopie, jużemy myśleli, że jest po tobie.

Musi minąć chwila, aby Karol przypomniał sobie imię mężczyzny, który się nad nim pochyla.

– Paweł! – Z trudem wydobywa z siebie cichy głos. – Jak dobrze cię widzieć, kolego.

To wszystko, na co starcza mu sił.

Znów zasypia, ale tym razem otula go przynosząca ukojenie czerń. Nie widzi obrazów, nie słyszy głosów. Śpi. A gdy na powrót otwiera oczy, wie już na pewno, że będzie żył.

\*

– Dwa tygodnie tak przeleżałeś – wspomina Wilhelm, wsuwając do ust Karola łyżkę owsianki. Ploch nie pamięta, czy kiedykolwiek w życiu jadł coś równe dobrego. – Mnie poprawiło się po tygodniu, Pawła w ogóle zaraza nie dopadła, a tobie za nic nie chciało być lepiej. Paweł codziennie się z tobą żegnał, bo był pewny, że rano obudzi się obok trupa.

Karol rozgląda się wokół. Barak, który jeszcze dwa tygodnie temu pełen był więźniów, śpiących po trzech na jednej pryczy, teraz jest prawie pusty.

Widząc zdumione spojrzenie kompana, Kubiczek kiwa głową.

– Były dni, że kilkadziesiąt ciał z obozu wynoszono. Ludzie padali jak muchy. Masz szczęście, że przespałeś to, co najgorsze. Przykry to był widok.

Karol boi się zadać kolejne pytanie. Wie, że i tak niebawem się dowie, ale chce odwlec tę chwilę w nieskończoność. Strach znów ścisza mu wnętrzności.



– A Egon i Adela? – wykrztusza w końcu z siebie.

Paweł patrzy na Kocha, a potem macha ręką.

– Żyją – mówi wreszcie, choć jego głos drży. – Ale to chyba najpotworniejsza historia, jaką tu usłyszałem. Nie wiem, czy ten dzieciak dojdzie do siebie po tym, co się stało.

Karol siada na pryczy tak gwałtownie, że zawroty głowy natychmiast z powrotem powalają go na deski.

– Spokojnie, chłopie! – Górnik ściska ramię towarzysza niedoli. – Przecież mówimy ci, że żyją. Posłuchaj, to ci wszystko opowiem, ale jak się będziesz denerwował, to przerwę – ostrzega.

Nie zaczyna jednak mówić, tylko zerka na Wilhelma, a ten, rozumiejąc bezgłośnie prośbę kompana, wyręcza go:

– Ciupkowa zaniemogła dosłownie kilka godzin po tobie. W baraku kobiecym nie było tak źle jak u nas. Wiele kobiet ominęła zaraza, więc te zdrowe mogły troszczyć się o chorujące. Ale z Adelą było coraz gorzej. Właściwie nie odzyskiwała przytomności. Kobiety postanowiły przenieść ją do szpitala. Oczywiście nie liczyły, że tam jej się poprawi, ale chyba nie chciały, aby synek patrzył, w jakich boleściach umiera jego matka. Ktoś widział, że dzień później nagie ciało Adeli wrzucono na stos innych leżących przed lazaretem.

– Ten diabeł Glombitza dobijał tych, którzy zbyt długo umierali – wtrąca nerwowo Kubiczek, na co Wilhelm tylko kiwa głową i ciągnie opowieść dalej.

– Kobiety w baraku powiedziały Egonowi, że jego matka zmarła. Dziecko podobno wpadło w straszną rozpacz. Z trudem go powstrzymały, aby nie pobiegł zobaczyć Adeli. Ponoć chciał też iść do ciebie, ale i tego mu zabroniły. Następnego ranka obudził je krzyk Egona. Natychmiast zerwały się z prycz... – Wilhelmowi, najbardziej opanowanemu z nich wszystkich, zaczynają drzeć wargi, lecz mimo wzburzenia mówi dalej. – Widoku, który wówczas stanął im przed oczami, chyba żadna nigdy nie zapomni. Naga Adela spoczywała na podłodze baraku. Obok, tuląc się do matki, leżał płaczący chłopczyk. Okazało się, że Ciupkowa została wyrzucona na stos jesz-

cze żywa. Ocknęła się w nocy i będąc zbyt słaba, aby wstać, przeczołgała się do baraku. Teraz jest już zdrowa, chłopczyk też nie zachorował. Chodzą słuchy, że mają zostać zwolnieni z obozu.

Przez dłuższą chwilę Karol nie potrafi wydobyć z siebie głosu. Przypominają mu się sny, które przeżywał w gorączce. Powoli zaczyna rozumieć ich znaczenie. Po raz kolejny uświadamia sobie, że nie da się zapomnieć ani wybaczyć tego, co tu z nimi robią.

– Jeszcze o jednym musisz, chłopie, wiedzieć – odzywa się Paweł, widocznie uznając, że Karol doszedł już do siebie po wstrząsie wywołanym opowieścią Wilhelma.

Ploch nie jest pewny, czy ma siłę na kolejną historię. Nie spodziewa się niczego dobrego. Nie tutaj. Mimo to patrzy na górniką wyczekująco, ale ten robi jedynie krok w tył, odsłaniając przed Karolem widok na część biegnącego między pryzkami przejścia. Taki sam ruch wykonuje Wilhelm.

– Niemożliwe... – Ploch znów się podnosi, choć tym razem ostrożnie. – Niemożliwe – powtarza.

Patrzy na Erica i przez moment nie wie, czy przypadkiem znów nie zapadł w sen. A może on i wszyscy, którzy go teraz otaczają, są już na tym ponoć lepszym świecie? Może oni wszyscy już pomarli? Przez ułamek sekundy odczuwa nawet odrobinę żalu, że nie przytuli już Margot i nie będzie mógł obserwować, jak dorasta Piotruś.

– Ja żyję, zobacz! – Eric śmieje się, jakby słyszał myśli Karola, i rozkłada ręce na boki. – Wszyscy żyjemy – mówi, a potem podchodzi do łóżka Plocha i obejmuje go mocno.

\*

– Wciąż tu jesteście? – Dziwi się komendant i z uznaniem kiwa głową. – Proszę, proszę. A nie mówiłem, że to sanatorium, a nie obóz? – dodaje, patrząc na Erica.

Pozornie Salomon Morel zachowuje się tak jak zwykle. Jest wyniosły i arogancki, a każdy element jego munduru leży na nim doskonale. Mimo to

w oczach mężczyzny można zauważyć niewielki cień. Nie wszystko poszło zgodnie z planem. Na nieskazitelnej biografii pojawiły się rysy.

Nie wiadomo, kto pierwszy podał więźniom wiadomość, że Morel za zaniedbania i doprowadzenie do epidemii został ukarany trzydniowym aresztem domowym.

– Podobno dostał go za to, że nam cukru nie dawał – mówią między sobą ci, którzy przeżyli. – Reszta była w porządku – dorzucają z sarkazmem.

Nikt już nie wierzy w sprawiedliwość, choć osadzeni muszą przyznać, że od kilku dni strażnicy nikogo nie pobili, w osuszonym karczerze urządzono odwszalnię, a więźniów zaprowadzono pod prysznicę, z których popłynęła ciepła woda.

– Obaj pójdziecie kopać doły na cmentarzu – rozkazuje komendant, patrząc na Karola i Erica. – Niewielu jest chętnych do drużyny pogrzebowej, a wy wyglądacie na całkiem zdrowych. – Śmieje się i opuszcza barak.

Ploch i Calsteren patrzą na siebie i nie mogą uwierzyć we własne szczęście. Wyjdą poza teren obozu. Odetchną innym powietrzem. Zobaczą prawdziwych ludzi.

– To się wam trafiło – odzywa się Paweł, wyraźnie zazdroszcząc mężczyznom przywileju, po czym bez słowa wyciąga się na pryczy.

Teraz każdy z nich ma własne miejsce do spania. Po miesiącach życia w ścisku i z ciągle pustym brzuchem to nie lada luksus.

\*

Karolowi aż dech zapiera, gdy przejeżdżają przez bramę obozu. Czterech więźniów i jeden strażnik siedzą na skraju wypełnionego ludzkimi ciałami wozu.

Ploch jest przyzwyczajony do przenoszenia trupów. Dla Erica to porażające doświadczenie. Starszy kolega widzi, że początkowa radość minęła i teraz chłopak chętnie oddałby Pawłowi lub Wilhelmowi swoją robotę.

Droga jest krótka. Posępna karawana jedzie bocznymi uliczkami. Jest wcześnie, a jednak Karol dostrzega kilkoro przechodniów. Chce im spoj-

rzeń w oczy, pozdrowić, wykonać jakiś zwyczajny ludzki gest, ale ci, którzy pechowo znaleźli się na ich trasie, szybko spuszczaają głowy. Zlewają się z tłem, znikają.

Płoch się temu nie dziwi. Każdy boi się stanąć zbyt blisko nieszczęścia innych. Zły los jest bardziej zaraźliwy niż tyfus i cholera razem wzięte.

– Wysiadać! – rozkazuje strażnik i stanąwszy z boku, zapala papierosa. – Wiecie, co robić – mówi obojętnym tonem.

Jednak Karol i Eric nie wiedzą. Są w drużynie pogrzebowej po raz pierwszy. Dla dwójki pozostałych to już codzienność.

Okazuje się, że poprzedniego dnia, tuż pod płotem cmentarza, w najbardziej odludnym miejscu został wykopany głęboki dół. Gdy Karol się nad nim pochyła, widzi ciała przysypane zaledwie kilkoma łopatami ziemi.

Grób nie jest jeszcze wypełniony.

Mężczyźni łapią pierwsze zwłoki za nogi i ręce i bez zbędnych ceregieli wrzucają je do dołu. Potem czynią tak samo z kolejnymi. I znów warstwę ciał przysypują ziemią i wapnem.

Karol i Eric naśladują pozostałych, widać obeznanych już w robocie. Starają się okazać szacunek zmarłym, ale czy w zbiorowym grobie, w płątaniu rąk i nóg, jest jeszcze na to miejsce? Czy należy wspomnieć tych, których tu wrzucono, odmówić modlitwę za ich dusze? A może lepiej natychmiast o nich zapomnieć?

Szybko okazuje się, że mogiła nie pomieści wszystkich przywiezionych. Trzeba kopać nową.

Ziemia jest miękka. Z łatwością poddaje się łopatom. Tak jakby otwierała się na tych, których ma wkrótce otulić.

– Przerwa! – zarządza w końcu strażnik i gwizdże na palcach, po czym gestem dłoni wzywa do siebie jednego z towarzyszy Erica i Karola.

Tamten idzie śmiało, wręcz radośnie. Najwidoczniej wie, po co mężczyzna go woła. Po chwili znika wewnątrz małej kostnicy.

Nie mija piętnaście minut, gdy wychodzi, idzie do strażnika i wsuwa mu coś do kieszeni.

Karol i Eric z coraz większym zdziwieniem obserwują, jak chwilę później z kostnicy wychodzi również kobieta.

– Co tak ślepia wybałuszacie? – Więzień wyciera usta rękawem. – Dwa złote ringi, co to je moja ślubna na najczarniejszą godzinę chowała, zapłaciłem za tę chwilkę z żoną. Obiad zjadłem. Zobaczcie, jeszcze pewnie pachną roladą. – Chucha im w twarze.

Karol, chcąc nie chcąc, bierze głęboki wdech i natychmiast przenosi się do kuchni domu Plochów.

Margot, choć wiele razy powtarzała Karolowi, że nie lubi gotować, bo woda i bijące z pieca ciepło niszczą jej dłonie, każdego dnia, gdy wracał z pracy, kładła przed nim talerz z potrawą, która – obojętnie, jak ciężki miał dzień – natychmiast poprawiała mu humor.

Obiady Margot były nie tylko smaczne, ale też pięknie podane.

Większość znanych Karolowi kobiet zwracała uwagę jedynie na to, aby obiad był syty. Rosły więc przed ich mężami góry kartofli, daj Boże polane łychną pieczeniowego sosu. Gospodynie jak lwice walczyły w halach i przy straganach o mięso, a gdy ten towar był niedostępny albo mimo oszczędności w portfelach widać było dno, starały się, aby choć smalcu w wodziance nie zabrakło, a ziemniaki z kiszka zostały hojnie okraszone skwarkami. Najważniejsze dla nich było wypełnić mężowski brzuch. Matka Karola postępowała podobnie i Karolowi zajęło trochę czasu, aby docenić starania młodej żony, która dekorowała talerz gwiazdkami wyciętymi z marchewki i pietruszki, sezonowymi owocami, a czasem nawet płatkami kwiatków. W takim otoczeniu nawet najskromniejsza potrawa wyglądała jak dzieło sztuki i mimo że od ich ślubu minęło już dziesięć lat, Karol, sięgając po nóż i widelec, często nadal wahał się, czy może zniszczyć wymyślną kompozycję, którą wyczarowała jego żona, czy nie robi jej przykrości, gdy tak po prostu zje to, co przed nim postawiła.

– Koniec przerwy! – krzyczy strażnik.

Mężczyźni sięgają po łopaty, pogłębiają dół i wrzucają do niego wciąż czekające na wozie ciała. Karol jednak nie widzi już trupów, nie czuje smrodu, którego nie tłumi nawet chustka zawiązana na ustach i nosie. Myśli

tylko o Margot. Musi porozmawiać na osobności z więźniem, którego dziś odwiedziła żona, a przede wszystkim musi wymyślić sposób, aby przekazać ukochanej, że ma przyjść na cmentarz. Dziś przecież nie kończy się ich robota. Przyjadą tu jutro i pojutrze. Mimo że epidemia wygasa, wyniszczeni chorobą ludzie wciąż umierają.

\*

W obozie Plocha dopada jednak przygnębienie. Jakby zamykająca się za nim brama odcięła mu również drogę do Margot. To, co na cmentarzu było zdaniem Karola dziecinnie proste, teraz znów sprawia wrażenie niemożliwego. Więzień, który miał dziś schadzkę, nie wydaje się chętny do pomocy. Łypie groźnie na Plocha i Erica, jakby nowi byli przeszkodą w jego kon-szachtach. Karol nie wie, za ile można przekupić strażnika, który dopiero od niedawna pracuje w obozie. Czy mają w domu coś cennego, co Margot mogłaby teraz sprzedać?

Ploch wspomina łańcuszek, który ofiarował żonie na ostatnią rocznicę ich ślubu, i zastanawia się, czy będą ją jeszcze kiedykolwiek świętowali. Przecież teraz będzie to też rocznica końca ich świata, pamiątka nocy, w której zabrali go do obozu.

Nie potrafi wymyślić sposobu, aby skontaktować się z Margot. Droga, którą dawno temu przesłał jej wiadomość, już nie istnieje. Stanik Muszalik nie żyje, tyfus okazał się silniejszy.

Wielu więźniów, którzy przed epidemią wychodzili do huty, zostało przeniesionych do obozów przy innych hutach oraz kopalniach. Nowych Karol nie zna. Poza tym, odkąd chodzą słuchy, że można pisać listy z prośbą o rehabilitację i zwolnienie, ludzie mają się na baczności. Nikt nie chce ryzykować, wierząc, że niewola, w której tkwią, szybko się zakończy.

Ploch wcale się temu nie dziwi. Sam też napisał prośbę o zwolnienie. Pewnie leży teraz wśród innych papierów na biurku Morela.

Wzdryga się na samo wspomnienie tamtego upokorzenia. Prosił o litość i korzył się przed tym, który wyzywał go od niemieckich świń, który kazał

mu śpiewać hymn faszystów i układać się w śmiertelnej piramidzie. O przywrócenie wolności błagał człowieka, który zniszczył mu wzrok i Bóg jeden wie, co jeszcze.

*Cześć wolnej Ojczyźnie!*

Tak zakończył prośbę, bo tak kończyli listy inni.

Ale w głębi ducha Karol boi się wolności. Nie wie, jak zdoła żyć normalnie po tym, czego tutaj doświadczył.

Wlecze się do baraku pełen ponurych myśli. Z trudem podnosi nogi, jakby do butów ktoś nasypał mu kamieni. Stopy opadają, rozchlapując wokół błoto, bo pogoda od kilku dni jest więźniom nieprzychylna. Lato przemięło, a jesień pokazuje swoje najbardziej przykre oblicze.

– Wychodzimy! Karol, wychodzimy! – Głos Egona przebija się przez mżawkę i wiszący nad barakami dym pochodzący z komina kuchni.

Mężczyzna zatrzymuje się. Patrzy na biegnącego w jego kierunku chłopca i choć słyszy słowa, które wykrzykuje malec, nie jest w stanie zrozumieć ich znaczenia. Dopiero gdy dziecko obejmuje brzuch Karola i przywiera do niego z całej siły, Ploch zaczyna odczuwać szczęście, którym wypełnione jest to drobne ciało.

I nagle ta radość, ten dziecięcy śmiech rozjaśnia ciemność, którą mężczyzna nosił w sobie jeszcze przed chwilą.

– Macie zgodę? – Przykuca i patrzy na Adelę, która również się do nich zbliża.

Kobieta kiwa głową.

– Zwolnił nas – wyjaśnia. Chyba sama nie potrafi jeszcze w to uwierzyć. – Po prostu nas zwolnił. Niczego nie wyjaśniając.

„A czy pobyt tutaj można w jakiś sposób wyjaśnić?” – myśli Karol. Ale rozmowę na ten temat uznaje za zbędną. Tym bardziej że natychmiast inna myśl zastępuje poprzednią.

– Adela, zrobisz dla mnie coś jeszcze? – pyta, choć przecież wie, że i tak dużo zawdzięcza tej kobiecie. – Czy możesz pójść do mojej żony i poprosić ją, aby przyszła jutro na cmentarz?

Karol w kilku słowach wyjawia Ciupkowej to, czego był dziś świadkiem, i opowiada, jaki ma plan. Adela nie musi odpowiadać, wystarczy jej spojrzenie, aby wiedział, że spełni jego prośbę. Tę ostatnią.

\*

Gdy przychodzi czas pożegnania, Ploch bierze Egona na rękę. Jest szczęśliwy, że chłopiec i Adela wychodzą z obozu, ale czuje, że wraz ze zniknięciem małego straci motywację, aby codziennie wychodzić przed barak i przepędzać czarne myśli, które lęgną się w każdej jego komórcie niczym rak.

Ani on, ani chłopczyk nie wspominają o obietnicy, jaką kiedyś sobie złożyli. Wypowiedzieli tamte słowa po to, aby przeżyć. Teraz natomiast chyba obaj czują, że to ich ostatnie spotkanie. Tam, za drutami, w wolnym świecie, nawet najszcześliwiej spędzony wspólnie dzień przypominałby im o tym, co przeżyli tutaj. Patrząc na Egona, Karol widziałby dziecko tulące się do nagiego ciała matki, której śmierć chwilę wcześniej oplakiwało. A co widziałby Egon? Dorosłego mężczyznę, który zbyt wiele razy się poddawał i zbyt wiele razy upadał? Który czasem był słabszy niż trzymany teraz w objęciach matki malec?

Nie, na pewno nie będą chcieli już więcej na siebie spojrzeć. Całe ich życie wypełni się odtąd nieudolnymi próbami zapomnienia. Choć Karol wie, że będą to starania bezskuteczne. Widzi łysą głowę Adeli siedzącej w salonie fryzjerskim Margot i czuje, że ma w piersiach ogromną dziurę wypełnioną poczuciem niesprawiedliwości. Ta rana pozostanie otwarta i krwawiąca już zawsze.

Z Ciupkową wymienia jedynie krótki, silny uścisk dłoni. Nikt nie wymyślił słów, które należałoby powiedzieć w takiej chwili.



Stojąc w drzwiach baraku, patrzy, jak matka i syn odchodzą. Strażnik, który otwiera bramę, mówi coś do Adeli. Pewnie rzuca jakąś drwinę na odchodne, ale kobieta nawet się nie ogląda. Idzie wyprostowana i dumna, udając, że jej nie pokonali.

\*

Tym razem droga na cmentarz wlecze się w nieskończoność. Karol siedzi sztywno na skraju wozu, na którym dziś po raz pierwszy od wielu tygodni złożono tylko kilka ciał.

Ploch nie wie, czy Adela zdążyła przekazać wiadomość Margot. Wątpi w to, przecież miała wiele własnych, ważniejszych spraw. Odkąd warunki w obozie stały się znośniejsze, coraz częściej więźniowie rozmawiają o tym, co dzieje się po drugiej stronie drutów. Wiadomości przedostające się do obozu nie poprawiają jednak nastrojów. Co z tego, że można starać się o zwolnienie, jeśli mieszkanie już dawno zostało zabrane, a o znalezieniu pracy, nawet najpodlejszej, nie ma nawet co marzyć. Ci, których uznano za Niemców, mają stracić wszystko.

Karol próbuje się uspokoić. Nie chce potem mierzyć się z zawodem.

Tylko Eric wie, dlaczego jego towarzysz jest dziś nieobecny i zamyślony. Patrzy na kolegę i współczuje mu tej niepewności. Sam też pragnąłby spotkać się z matką, ale boi się zaufać komukolwiek, boi się powierzyć jej los przekupnemu strażnikowi. Po tym, co przeszedł, nie chce już ryzykować. Woli poczekać.

Cmentarz wydaje się zupełnie pusty. Pada deszcz i wieje przenikliwy wiatr. To nie pora na odwiedziny bliskich zmarłych.

Dziś roboty jest mało. Uwiną się w kilka chwil.

Mężczyźni układają ciała w dole. Teraz trzeba go zakopać i usypać wzgórek, do którego wbiją przygotowany wcześniej krzyż.

*Jużeś zdechł, jużeś zdechł, jużeś wydał swój ostatni dech*<sup>[38]</sup>.

Kiedyś, jeszcze przed zarazą, więźniom, którzy uczestniczyli w pochówkach kolegów, strażnicy kazali śpiewać taką piosenkę. Ten, który dziś ich pilnuje, na szczęście nie zna dawnych zwyczajów. Może coś o nich słyszał, ale nie daje wiary bredniom opowiadanym przez osadzonych. Pozwala im za to na chwilę modlitwy za zmarłych.

Ubrania szybko mokną, a zmarznięte ręce grabieją. Osadzeni spieszą się. W taki dzień jak dziś można zatęsknić nawet za barakiem.

– Karol! – Eric szturcha kompana w bok i wskazuje na coś za jego plecami.

Ploch odwraca się natychmiast. Mruży oczy, przeklinając zepsuty wzrok.

Jakaś postać idzie środkiem cmentarnej alejki, zbliża się, ale on nie potrafi jej rozpoznać. Obraz rozmazuje się i faluje. Zacierają się kontury.

– To ona? – pyta Holender, a Karol nie wie, co odpowiedzieć, bo nigdy nie przyznał się przed kolegami, jak źle widzi.

Czeka zatem. Zaciska usta i pięści.

– Margot... – szepcze w końcu zdławionym głosem, gdy dostrzega miękkość w ruchach idącej kobiety. Wszędzie by ją rozpoznał.

Zalewa go fala radości. Rusza przed siebie, zapominając, gdzie i kim jest.

– Stój! – krzyczy strażnik. – Stój, kurwa, bo będę strzelał!!! – wrzeszczy młody chłopak, a w jego głosie pobrzmiwa lęk, że będzie musiał spełnić swoją groźbę.

Zatrzymują się oboje. To nie pora na głupie umieranie. Karol widzi już twarz Margot, ułożone starannie włosy, pełne usta, choć dziś bez śladu szminki.

– To moja żona. – Ploch odwraca się ku strażnikowi. – Daj nam pięć minut – prosi i wie, że w tej chwili jest w stanie zrobić wszystko. Rzuci się na kolana, by całować chłopaka po nogach, zacznie się więc i błagać, byleby tylko uzyskać zgodę na widzenie.

Tamten kręci jednak głową.

– Nie można! Nie można – powtarza raz po raz.

Karol chciałby mu przypomnieć, że wczoraj, gdy ścisnął w dłoni złoty pierścionek i kilka banknotów, z łatwością przymknął oko na to, co zakazane.

– Proszę... – Zamiast groźby z ust Plocha płynie błaganie. – Proszę, tylko chwila.

Kątem oka widzi, jak Margot nerwowym ruchem otwiera przewieszoną przez ramię torebkę i szuka w niej czegoś. Karolowi pozostaje mieć nadzieję, że strażnik zorientuje się, że jego przysługa zostanie opłacona.

Ploch patrzy na pilnującego ich chłopaka i nie mówi nic więcej. Nie wie, czy istnieją słowa mające dar zmiękczenia serc.

– Przed wojną twoja mama była klientką naszego zakładu. Byłeś wtedy mały, ale musisz mnie pamiętać, często z nią przychodziłeś.

Wypowiedziane cichutko zdania sprawiają, że Karol czuje na plecach zimny dreszcz. Boi się zerknąć na żonę, która być może właśnie wydała na nich wyrok. Wie doskonale, że strażnicy we wszystkich obozach świata pragną pozostać bezimienni. Więźniowie nie mogą znać ich matek i ojców, nie mogą wiedzieć, czy kochają swoje żony i czy po robocie chodzą z synami grać w nogę. Taka wiedza jest niebezpieczna, bo rujnuje ich obraz. Margot nieświadomie przekroczyła granicę, której nie wolno przekraczać.

– Znam panią. – Głos strażnika przypomina teraz głos dziecka. – Karol unosi głowę i po raz pierwszy dostrzega, jak młody jest ten, który ich pilnuje. Nie może mieć więcej niż osiemnaście lat. – Moja matka zawsze dobrze panią wspomina – mówi ciepło. – Tylko chwila! I mordy w kubel – dodaje, patrząc na pozostałych więźniów i odzyskując utraconą na moment surowość w głosie. – Popamiętajcie mnie, jeśli ktoś się dowie!

Karol nie czeka już na nic. Wie, że strażnik może w każdej chwili zmienić zdanie, przypomnieć sobie, jaka kara spotka go za złamanie zakazu kontaktu więźniów z rodzinami.

Biegnie do Margot, chwytając jej wyciągniętą ku niemu dłoń i oboje znikają w uchylonych drzwiach cementarnej kostnicy. Wnętrze na szczęście jest puste, ich czułości nie towarzyszy więc żaden świadek, nawet taki, który już nikomu, prócz Boga, nie zdradziłby małżeńskich tajemnic.

Ploch wie, że nie mają czasu, powinni porozmawiać o tylu ważnych sprawach. Musi dowiedzieć się od Margot, czy daje sobie radę, musi ją pocieszyć.

Ale pragnienia stają się silniejsze. Mężczyzna przyciąga żonę do siebie, zrywa z niej szal i zbyt cienki jak na dzisiejszą pogodę płaszczyk. Całuje ją zachłannie.

– Moja kochana, moja kochana – szepcze czule, choć w jego ruchach nie ma nic z delikatności.

Margot pozwala mu na tę gwałtowność. Tuli jego głowę, głaszcząc liche włosy, przesuwa palcami po bliznach i wciąż otwartych ranach. Zagryza usta, aby nie zacząć płakać z żalu. Nie teraz.

Potem jeszcze chwilę stoją naprzeciw siebie bez słowa, w cmentarnej kostnicy grzebiąc wszystko to, co w nich umarło.

– Złożyłam wniosek o rehabilitację, ale mam drugą grupę, więc będzie postępowanie sądowe – mówi pospiesznie Margot, podciągając pończochy. – Jeśli będzie trzeba, zmienię też imię. Urzędnicy zachęcają do tego, ponoć sądy przychylniej patrzą na pisma podpisane polskobrzmiącymi imionami i nazwiskami. To dobrze, że ty masz trzecią grupę i mieszkanie jest na ciebie, inaczej by nam je zajęli. Musisz tylko złożyć deklarację wierności. Zrobiłeś to już, prawda? – Patrzy wyczekująco na Karola, ale jego myśli uciekają teraz w innym kierunku.

– Małgosia? Małgorzatka? – szepcze i krzywi się, bo to imię zupełnie nie pasuje do jego żony.

Utracić imię to jak stracić rękę, a może jeszcze gorzej, bo imię jest przecież zapisane w duszy człowieka. Wydarcie czegoś z duszy boli bardziej niż rany zadane ciału.

Ploch przysięga sobie w duchu, że obojętnie, co się wydarzy, Margot nie zostanie Małgorzatą. Nawet jeśli mieliby im wszystko zabrać, jeśli zostaliby zmuszeni, żeby stąd wyjechać. Opuścić wszystko, co kiedyś kochali. Zresztą, czy gdy wyjdzie na wolność, będzie mógł jeszcze patrzeć na Katowice? Czy zdoła tak jak wcześniej spacerować ulicami z żoną pod rękę i synkiem biegnącym przodem?

– Nie zmienisz imienia! – mówi stanowczo i gładzi Margot po policzku. Tym razem łagodnie i z uczuciem. – Chociaż tego jednego nam nie zabiorą – dodaje, a gdy już wychodzą, pyta: – Jak się czuje twoja matka, jak ona to wszystko znosi?

Dopiero teraz dostrzega, że żona w pospiesznej opowieści ani razu o niej nie wspomniała. Mówiła o Piotrusiu, o pełnych obaw rodzicach Karola, nawet o sąsiadach, ale o matce ani słowa.

– Nie żyje. – Słowa Plochowej brzmią twardo. Nie zatrzymuje się, nie patrzy na męża.

W tonie jej głosu jest coś, co zamiast smutku spowodowanego śmiercią schorowanej kobiety sprawia, że w Karolu budzi się niepokój.

– Co się stało? – Chce wiedzieć.

Chwyta żonę za ramię, a ona wpatruje się w niego bez słowa.

– Jakiś czas po tym, jak cię zabrali, znalazłam ją w łóżku. Wyglądała, jakby wciąż spała, choć ranek dawno już nadszedł. W rękę ścisnęła fiolkę z lekami na serce. Połknęła wszystkie – Margot dodaje wyjaśniająco, choć Karol doskonale rozumie, co chce mu przekazać.

Jej matka, gorliwa katoliczka, popełniła samobójstwo.

– To ze strachu – zaczyna pospiesznie tłumaczyć Plochowa. – Bała się, że Ruscy po nią przyjdą. Cały czas to powtarzała. – Wyciera palcem łzę spływającą po policzku. – Ze strachu to chyba nie aż taki grzech... Ale czy Bóg jej wybaczy? – pyta wpatrzona w męża. – Powiedz mi, wybaczy? – dopytuje i chowa twarz w jego poplamionej, przesiąkniętej potem i deszczem kurtce.

Teraz on gładzi jej włosy.

– Wybaczy. – Karol pociesza żonę i niepewnie patrzy na krzyż, który jego kompani właśnie wbijają w kopczyk ziemi.

## **Mieliśmy się dobrze**

Po spotkaniu z Margot Karol nie potrafi dojść do siebie. Czuje, jakby jego samego i cały obóz okrył całun melancholii. Mimo że nie cierpi już głodu i nie musi bać się pobicia, nie potrafi zmusić zmęczonego ciała do ruchu. Już nie wychodzi przed barak, choć po ulewnych deszczach pogoda znów się poprawiła. Jesienne promienie słońca padają na obóz. Dzięki nim wszystko wydaje się delikatniejsze, jakby namalowane akwarelami.

– Zobaczcie, ciężarówki przyjechały! – Z letargu wyrywa Płocha pełne emocji nawoływanie Erica.

Podnosi się i powoli zeskakuje z pryczy. Gdy dochodzi do drzwi, niektórzy więźniowie, mimo dźwięku dzwonu zakazującego opuszczania baraków, stoją już na zewnątrz w ciasnej grupce.

– Może to nasi sędziowie – zastanawia się Wilhelm, patrząc na ubranych po cywilnemu mężczyzn wychodzących z samochodów.

W okularach na nosach i z teczkami pod pachami faktycznie wyglądają na inteligentów. Witają się z Morelem i rozglądając wokół, niepewnie idą za nim do budynku administracyjnego.

Karol chciałby wiedzieć, co dzieje się w głowach tych, którzy przyjechali tu, aby osądzić, ile w Ślązaku jest Polaka, a ile Niemca. Czego się spodziewają i co wiedzą o zamkniętych w obozie ludziach?

Nie mija godzina, gdy strażnik wywołuje pierwszych więźniów. W tej grupie są Paweł i Wilhelm.

Dopiero teraz czas zaczyna się dłużyć. Żołądki czekających na powrót kamratów kurczą się boleśnie ze zdenerwowania. Niepewność miesza się z nadzieją. Karol stara się nie przywiązywać do myśli, że być może już za kilka dni po raz ostatni spojrzy na swoją pryczę i barak numer siedem. Wyjdzie przez bramę i już nigdy, przenigdy tu nie wróci.

Kiedy pierwsza grupa przesłuchiwanym wraca, reszta rzuca się w ich kierunku.

– Pytali o pochodzenie i o to, dlaczego tu jesteśmy – relacjonuje spokojnie Wilhelm.

– Nie chcieli uwierzyć, jak im mówiłem, że za nic – wtrąca Paweł, wyraźnie zdenerwowany. – Przerywali, gdy próbowałem opowiadać, jak nas tutaj traktowali. Kręcili tylko głowami i patrzyli na mnie jak na obłąkanego. Chłopy, nikt nam nie uwierzy. – Załamuje ręce.

Karol klepie kolegę pocieszająco po ramieniu.

– Mówili coś o zwolnieniu? – Próbuje się dowiedzieć.

Nie obchodzi go teraz, co inni będą myśleli o Zgodzie i przetrzymywanych tu ludziach. Nie będzie się domagał sprawiedliwości. Niech tylko pozwolą mu stąd wyjść.

Nie doczeka się odpowiedzi, bo w drzwiach znów staje strażnik.

– Ploch, Calsteren – wyczytuje kolejne nazwiska. – Za mną!

Idą przez plac. Karol usiłuje opanować zdenerwowanie, ale dłonie drżą mu tak, że w końcu wsuwa je do kieszeni spodni. Nie chce, aby sędziowie dostrzegli, jak bardzo się boi.

– Podpiszcie to – odzywa się jeden z siedzących za stołem mężczyzn, gdy Ploch podchodzi na wezwanie.

Sędzia o nic nie pyta, nawet nie patrzy na Karola ani na leżącą przed nim teczkę, przesuwa tylko w jego stronę kartkę.

Karol pochyla się. Próbuje coś przeczytać, ale litery skaczą mu przed oczami, aż w końcu zupełnie się rozmazują.

– Co to jest? Zwolnienie? – pyta z nadzieją w głosie.

– A co wy? Po polsku czytać nie umiecie? – drwi mężczyzna. – O tym, czy się was zwolni, czy nie, jeszcze się zdecyduje, a ten dokument zakazuje wam mówić komukolwiek i kiedykolwiek o tym, czego byliście tu świadkami.

Dopiero teraz siedzący za biurkiem podnosi głowę i spogląda na Karola.

– Mieliście się tu dobrze! Jedzenia było dużo i nikt nie stosował wobec was przemocy, rozumiecie?

Ploch otwiera usta, ale czuje, że nie jest w stanie wypowiedzieć ani jednego słowa. Coś ściska mu gardło. Dusi go w piersiach. Oczy zachodzą mu łzami.

Jeszcze przez chwilę patrzy w oczy sędziego, ale w jego głowie nie pojawia się żadna myśl. Czuje się tak, jakby przestał istnieć.

– Rozumiecie?! – pyta ponownie mężczyzna, wyraźnie zniecierpliwiony brakiem reakcji.

Karol kiwa głową i sięga po leżące na biurku pióro. Z trudem podpisuje dokument. Jego podpis jest koślawy. Nawet on nie należy już do Karola.

\*

Wieczorem jedynie Eric chce rozmawiać o tym, jak przebiegały zeznania przed komisją.

– Ze mną gadał oficer w mundurze. I wiecie, przeprosił mnie. – Młody Holender jest podekscytowany. – Patrzył długo na moją metrykę, a potem wstał i podając mi rękę, powiedział: „Przepraszamy w imieniu narodu polskiego. Była jeszcze wojna, to mogło się zdarzyć”.

Karol zerka na Pawła i widzi, jak Kubickowi tężeje twarz, a jego dłonie zaciskają się w pięści. Wie, co jego kompan chce powiedzieć temu dzieciakowi, w którym jakimś przedziwnym sposobem obóz nie zabił wiary w człowieka.

Karol chętnie odpowiedziałby Ericowi, że to kłamstwo. Owszem, była wojna i można było kogoś osadzić w obozie przez przypadek. Taki błąd Ploch umiałby zrozumieć, mógłby go nawet wybaczyć, ale to, co potem z nimi robiono, nie było pomyłką. Nie było błędem w dokumentach.

Spogląda na nogi młodszego kolegi. Wie, że pod luźnymi spodniami kryją się brudne bandaże. Wciąż przecież nie wszystkie rany Calsterena zdążyły się wygoić. Chłopak pewnie już nigdy nie odzyska pełnej sprawności, będzie utykał, a zainfekowane rany, z których on i Paweł wyciągali larwy much, zmienią się w grube i szpecące blizny.

Nigdy żaden człowiek nie powinien robić drugiemu tego, co im tu zrobiono. Tego nie można nazwać błędem. Za to nie da się przeprosić.

\*



– Eric Calsteren, Karol Ploch, Paweł Kubiczek...

Nazwiska płyną w nieskończoność. Na porannym apelu sam komendant Morel wyczytuje tych, którzy zostają zwolnieni. Tych, którzy jeszcze dziś znajdą się w swoich domach. Jeśli wciąż je mają.

Co chwilę słychać jęki, ciche pomruki zadowolenia i głębokie westchnięcia. Nie ma jednak wybuchów radości. Zwalniani więźniowie czują, że zostali pokonani, że to wciąż Salomon Morel, pan życia i śmierci, jest tutaj zwycięzcą. On i wszyscy ci, którzy przyczynili się do powstania tego miejsca, którzy ich napiętnowali, wypalili im Zgodę w sercach, a teraz zmusili do milczenia.

– A ja wam powiem, że już się piekła nie boję, bo piekło na pewno nie jest gorsze niż to, co ja tu przeżył. To, co ja przeżył, to było gorsze niż piekło<sup>[39]</sup>. – Szept stojącego obok Karola więźnia dudni mu w uszach.

Ploch powoli przesuwając wzrok po twarzach innych osadzonych i wie, że większość przytaknęłaby tym słowom. Zgoda zmieniła ich nieodwracalnie. Wszyscy znajdujący się tutaj, na placu apelowym, mają tego świadomość.

Już zawsze będzie istniało przed i po. Obozowa brama stała się granicą. Przeszli przez nią i teraz nic już nie będzie takie samo. Jedni będą podsycać w sobie złość i resztę życia spędzą na marzeniu o zemście, inni usilnie będą próbować zapomnieć. Może tu, na placu, są też tacy, którzy zechcą wybaczyć.

– Wilhelma nie wyczytali. – Bieg myśli Plocha przerywa Paweł, który szturcha kompana w bok. – Chłopie, on tu chyba zostaje – szepcze przejęty Kubiczek i obaj równocześnie zerkają na stojącego nieco dalej Kocha.

Plac apelowy rozbrzmiewa cichym lamentem tych, których tak jak Wilhelma nie ma na listach. Ktoś nawet ośmiela się głośniejszym wyrazić swój sprzeciw, ale pałka Skuteli jak zwykle kończy narzekania.

– Rozejść się! – wydaje rozkaz Morel i blokowi natychmiast wyprowadzają więźniów z placu.

– Nie martw się, chłopie. – Paweł pierwszy zaczyna pocieszać Wilhelma, choć Koch wcale nie wygląda na zmartwionego. Wydaje się pogodzony

z sytuacją. – Za kilka dni wyjdiesz i ty. Pewnie nie mogą wypuścić wszystkich naraz.

Wilhelm kiwa głową i ściska ramię Pawła, tak jakby to górnik potrzebował wsparcia.

Ploch także przygląda się Kochowi. Chciałby z nim porozmawiać, zapytać, jak przebiegło jego przesłuchanie oraz czy wie, dlaczego nie został wy czytany. Rezygnuje jednak. Wilhelm nigdy nie mówił zbyt wiele o sobie. Dlaczego teraz miałby chcieć zwierzyć się Karolowi? Za kilka godzin ich drogi się rozejdą. Gdy z obozu wychodzili Adela i Egon, Karol postanowił sobie, że nigdy nie będzie szukał kamratów ze Zgody, nie będzie też opowiadał o nich Margot.

Widocznie jednak nie wszyscy myślą tak jak on, bo więźniowie mający dziś opuścić obóz zaczynają się ze sobą żegnać.

Karol próbuje unikać uścisków dłoni i poklepywania po plecach. Ucieka przed obietnicami spotkań. W końcu jednak przyłącza się do rozmawiających Pawła i Erica.

– Wracasz do Gliwic? – Kubiczek pyta Holendra. – Nadal chcesz tam mieszkać?

Eric wzrusza ramionami.

– Większość naszej rodziny mieszka w Holandii. Myślę, że będziemy chcieli tam wrócić. Tu zbyt wiele rzeczy przypominałoby nam ten parszywy czas.

Paweł przytakuje.

– Ja też tu siebie nie widzę. Jeszcze dziś pojedę do Częstochowy. Marek mówił, że mają nam dać jakieś pieniądze, będzie akurat na bilet. Codziennie modlę się, abym odnalazł tam Baśkę. Jeśli Bóg mnie wysłucha, spróbujemy jakoś ułożyć sobie życie od nowa... Chłopy, zobaczcie, jakie ja mam silne łapska! – Kubiczek wyciąga przed siebie wychudzone dłonie. – Roboty się nie boję. Zarobię na chleb. A jeśli Basi nie znajdę... – Wzdycha ciężko. – Jeśli pan Bóg moich modlitw nie wysłucha, wrócę tu i tak długo będę szukał, aż ich dopadnę. Wszystkich!

Karol podnosi wzrok i patrzy na Pawła, jakby zastanawiał się, czy ostatecznie słowa na pewno wypłynęły z ust tego poczciwego człowieka.

– Jeśli zniszczyli mi dziecko, nie daruję im tego, chłopcy!

Kubiczek brzmi tak, że ani Karol, ani Eric, ani nawet Wilhelm, który leżąc na pryczy, też przysłuchuje się rozmawiającym, nie mają wątpliwości, że mężczyzna zna wagę wypowiedzianych słów.

Ploch na moment przymyka oczy.

A więc tak to się dzieje? Tak tworzy się łańcuch, którego nie będzie można zerwać. Z bólu i strachu rodzi się nienawiść, a z niej pragnienie zemsty. To jak zaraza, jak choroba przechodząca z człowieka na człowieka, z pokolenia na pokolenie.

Pociera twarz dłońmi. Nie może o tym myśleć. Zemsta Pawła nie będzie jego zemstą. Podjął dobrą decyzję, postanawiając, że za bramą obozu na zawsze rozstanie się z kompanami, że dotrzyma słowa danego w dokumencie, który podpisał. Będzie milczał, a wtedy Zgoda przestanie istnieć.

Będzie też prosił Boga, jeśli na nowo w niego uwierzy, aby Basia się odnalazła i powstrzymała ojca. Niechże choć jedno ogniwo łańcucha zostanie zerwane.

## Otwarta brama

Karol czuje na sobie wzrok Wilhelma. Wie, że Koch stoi w drzwiach baraku i patrzy, jak odchodzą.

Podali sobie ręce bez słowa. Nie było ani pocieszenia, ani pustych obietnic. Teraz Karol też się nie obraca, choć Eric i Paweł wciąż zerkają przez ramię na to, co już powinni zostawić za sobą.

Strażnik otwiera bramę. Mówi coś do nich, ale Ploch tego nie słyszy. Szumi mu w uszach, a przed oczami ma mroczki. Jeszcze dwa kroki, jeszcze jeden. Oddycha głęboko, aby opanować falę mdłości.

Wychodzą. Brama obozu na Zgodzie zamyka się za ich plecami.

I nagle wszystko ustaje. Znikają zawroty głowy, wyostrza się wzrok. Karol Ploch czuje, że narodził się ponownie.

Bierze jeszcze jeden głęboki wdech. Czuje zapach dymu. Dziś jest chłodno, więc mieszkańcy okolicznych domów rozpalili piece.

„Tak pachnie wolność” – myśli i odwraca się do Pawła i Erica. Patrzy, jak jego koledzy rzucają się sobie w ramiona. Obejmują również Karola. Kohnierz jego koszuli wilgotnieje od łez.

– Tak pachnie wolność – powtarza głośno swoje myśli Ploch, a potem wyswabada się z objęć kolegów i rusza przed siebie, głuchy na nawoływania.

\*

Jest wolnym człowiekiem. Idzie ulicami miasta, próbując trzymać głowę uniesioną wysoko. To trudne, bo Karol boi się ludzkich spojrzeń. Wydaje mu się, że wszyscy wiedzą, skąd wraca, dlatego napina mięśnie, czekając, aż ktoś go wyszydzi albo uderzy parszywego Niemca. Nie wchodzi też do tramwaju, bo wie, że czułby się tam jak w klatce, osaczony i pozbawiony możliwości ucieczki.

Ploch jest zaskoczony, gdy nagle dostrzega, że stoi przed domem Jana Janoscha. Nie tędy przecież chciał iść. Zabłądził czy podświadomość kazała mu pójść śladami dawnego przyjaciela?

Patrzy w okna, przez które tyle razy wyglądał. Mimo panującego dziś chłodu lufcik jest uchylony. Kiedyś wyleciał przez niego kanarek, a potem tą samą drogą szczęśliwie wrócił. Karol uśmiecha się mimowolnie na wspomnienie tamtego dnia. Przez chwilę znów siedzi w pokoju starego nauczyciela, otoczony książkami i zapachem kurzu, bo odkąd zmarła Janoschowa, we wpadających przez okno promieniach słońca zawsze tańczyły drobiny pyłu pokrywającego również meble. Ani Janowi, ani tym bardziej Karolowi ten brak sterylnej czystości nie przeszkadzał, przeciwnie, kurz dodawał mieszkaniu tajemniczości i dostojności.

Ploch mruży oczy, zastanawiając się, czy umysł nie płata mu figla, bo nagle po drugiej stronie nieco zaparowanej szyby, za białą firanką dostrzega zarys drucianej klatki. Małeńki ptaszek siedzi na drążku. Karol jest pewien, że słyszy cichutkie trele i czuje, jak przyjemne ciepło ogrzewa jego zmarznięte ciało.

Najwyraźniej ktoś, kto mieszka obecnie w domu nauczyciela, zaopiekował się osieroconym kanarkiem i pozwolił mu żyć.

Teraz już kierując się do domu, Ploch idzie dalej przez zasnutą jesienną szarością Świętochłowice. Gdy z pewnej odległości dostrzega budynek hali targowej, zatrzymuje się gwałtownie i rozgląda, jakby szukając innej drogi. Może przejść na drugą stronę ulicy i błędząc między kamienicami, minąć miejsce, które dziś wygląda tak spokojnie i zwyczajnie. Nie zmienia jednak trasy i rusza przed siebie, patrząc na szerokie drzwi i okrągłe okienka umieszczone na frontowej ścianie hali. Całość budynku jest nowoczesna, zachęca do odwiedzin i zakupów.

Ich wprowadzono innymi drzwiami.

Miękną mu nogi, gdy przed oczami widzi papierowo bladą twarz Kuna Wenzla. Opiera się o słup ogłoszeniowy i próbuje opanować mdłości. Gdy w końcu mijają, ociera pot z czoła i idzie dalej, zastanawiając się, czy matka tego chłopca dowie się kiedykolwiek, gdzie zginął jej syn.

\*

Zapada zmierzch, gdy Karol w końcu wchodzi do Katowic. Patrzy na znajome budynki, na sklepy, restauracje, w których niegdyś tak bardzo chciała bywać Margot. Niewiele się tu zmieniło. A jednak zmieniło się wszystko. Ploch czuje się jak wędrowiec, który wraca do domu po długiej podróży. Rozpoznaje miasto, ale wie, że nie należy już do niego. Jest obcym. Intruzem. Przechodnie odwracają od niego twarze, nie chcąc patrzeć na wynędzniałe ciało i zniszczone ubranie, które cuchnie śmiercią.

Robi się coraz chłodniej, ale Karol nie spieszy się do domu. Boi się, że i tam nie odnajdzie tego, co utracił.

Plac Wolności jest zupełnie opustoszały, o tej porze roku nie ma spacerowiczów, którzy chcieliby usiąść na otoczonym zielenią skwerku. Płoch unosi głowę i patrzy na czerwoną gwiazdę wieńczącą obelisk „pomnika wdzięczności”. W baraku numer siedem siedział znajomy artysty, który ten pomnik zaprojektował – ponoć jego również oskarżono o wrogość wobec nowego ustroju, ale zamiast do obozu wysłano go na Syberię.

„Może wszystkich nas należałoby stąd wywieźć” – myśli Karol. „Powinni się nas pozbyć i oczyścić miasto. Może to byłoby lepsze niż ta od niechcienia okazana łaska”.

Wsuwa rękę do kieszeni spodni i wyczuwa kilka monet, które otrzymał przed zwolnieniem. Czuje napływającą złość i w pierwszym odruchu chce wyrzucić pieniądze. Oczami wyobraźni widzi, jak monety z brzękiem uderzają o pomnik.

– Nie kupicie mnie... Nie kupicie – szepcze, ale pieniądze wciąż trzyma w garści.

Nie ma pracy i pewnie nie będzie mu łatwo znaleźć jakiegoś zajęcia. Margot przed procesem rehabilitacyjnym też pozostanie bezrobotna, nie licząc przymusowych prac, które będzie musiała wykonać dla miasta.

Nagle przed oczami Karola staje twarz synka i chęć buntu mija. To dla niego się ukorzy, dla niego zniesie wszystko.

Przyspiesza. Jeszcze tylko kilka ulic dzieli go od domu, od Margot i Piotrusia. Zaczyna biec, nagle zawstydzony wcześniejszą opieszałością. Nie czas na rozwodzenie się nad własnym losem. Wypuścili go, żyje! Musi teraz myśleć o rodzinie. Tylko o niej.

Widok kina Rialto, przy którym mieszka od tylu lat, sprawia, że obezwładnia go radość. Uczucie, o którego istnieniu już prawie zapomniał. Nie widzi wielkiego napisu zapraszającego na przegląd filmów radzieckich. Już tylko kilka metrów, kilka kroków i stanie przed bramą domu, przez którą wychodził tamtego mroźnego poranka.

Pan Franciszek, oparty o mur, pali papierosa, drugą ręką przytrzymując poły roboczej kufajki. Patrzy w głąb ulicy i nie dostrzega nadchodzącego z przeciwnej strony Karola.

– Dobry wieczór, panie Franciszku – odzywa się Ploch, gdy jest już blisko dozorczy. Stara się, aby jego głos zabrzmiał naturalnie, aby wzruszenie nie zacisnęło mu gardła.

Starszy mężczyzna odwraca głowę. Patrzy na Karola, zupełnie nie rozpoznając swojego długoletniego lokatora. Ploch dostrzega rodzący się w mężczyźnie niepokój. Nieznajomy, który mówi mu po imieniu, może wróżyć zbliżające się kłopoty.

– Panie Franciszku! – Karol decyduje się przerwać kłopotliwą ciszę. – Ta ja, Karol. – Ploch brzmi pogodnie, ale uśmiech znika z jego twarzy, gdy widzi reakcję staruszka. Niepokój dozorczy zmienia się w strach.

– To pan. No tak, to pan – bełkocze niewyraźnie i wycofuje się w głąb bramy. – Wrócił pan? To dobrze... Dobrze – mówi, szurając stopami w gumowcach. Nagle reflektuje się i chwytą Plocha za rękaw. – Niech pan wejdzie. Lepiej tak nie stać.

Zatrzymują się przy stróżówce znajdującej się w przedniej części placu.

Franciszek nic nie mówi. O nic nie pyta. Może wie, a może tylko się domyśla, gdzie był jego ulubiony lokator. Ten, co węgiel do piwnicy nieraz pomógł zrzucić i zawsze miał dla niego jakieś dobre słowo. Gospodarz wzdycha, patrząc na trudną do rozpoznania twarz. Zastanawia się, co zrobić z kłopotliwym lokatorem. Czy musi go unikać? Czy wystarczy tylko nie pytać, co działo się z nim przez ostatnie miesiące? Na razie nikt nie kazał Franciszkowi eksmitować rodziny Karola, nie wydał gospodarzowi polecenia, aby zanieść do urzędu stosowne pismo i odebrać Plochom klucze.

Staruszek ściska ramię dawnego sąsiada.

– Idź już, chłopcze. Idź do nich – mówi cicho, a potem odwraca się i znika wewnątrz swojego mieszkanca.

Już wie, że przed nim kolejna bezsenna noc.

\*

Schody skrzypią, przenosząc Karola do czasów „przed”. Ileż to razy z nich zbiegał, ileż razy wspinał się zmęczony po całym dniu pracy?

Teraz schody go pokonują. Musi zatrzymywać się co kilka stopni, aby uspokoić oddech. Drugie piętro wydaje mu się szczytem nie do zdobycia.

Jak to możliwe, że zaledwie w kilka miesięcy zdołano tak zniszczyć jego ciało? W niecały rok zrobiono z niego starca.

W końcu udaje mu się dotrzeć na górę. Ledwie przytomny opiera się o drzwi, z których ktoś odkręcił tabliczkę z jego nazwiskiem. Płoch dotyka palcem dziurki po śrubie, a potem delikatnie puka.

Jest już późno, więc boi się, że wieczorne najście wystraszy Margot. Może pomyśli, że to znów ludzie z Urzędu Bezpieczeństwa, a może Franciszek z nakazem opuszczenia mieszkania.

– To ja – szepcze Karol, przyciskając czoło do chłodnych desek. – Wróciłem.

Słyszy dźwięk przekręcanego w zamku klucza, a potem widzi już tylko twarz Margot. I jej szeroko otwarte, błękitne oczy, w których niepokój miesza się z radością.

Kobieta nic nie mówi, obejmuje Karola, a on czuje, jakby w końcu znalazł się w jedynej bezpiecznej przystani. Wdycha zapach szarego mydła przenikający włosy Margot, i zaczyna modlić się o amnezję, o cud, który pozwoliłby mu zapomnieć o mijającym roku.

\*

Wykąpany, w czystych spodniach i ciepłym swetrze siedzi na krześle przy kuchennym stole i patrzy, jak w piecu palą się jego obozowe ubrania.

Dobra żona mu tego nie powie, ale przecież Karol sam wie, że Margot panicznie boi się wszy i pluskiew, boi się chorób, które być może wraz z Karolem przeszły przez bramę Zgody. Dlatego chwilę wcześniej w łazience, siedząc w wannie pełnej gorącej wody, tarł ciało i włosy szczotką, prawie raniąc skórę, bo wciąż czuł się brudny. Zgoda wniknęła w każdy por jego ciała, w każdą cebulkę włosów.

Margot zamyka drzwiczki pieca i siada obok niego.



– Dlaczego nie jesz? – pyta, spojrzawszy na pozostawione na talerzu kartofle. – Nie smakuje ci?

Karol uśmiecha się. Trudno mu wytłumaczyć żonie, że ziemniaki okraszone odrobiną boczku to najwspanialsze danie, jakie kiedykolwiek dla niego przygotowała. Nie wie, jak wyjaśnić, że gdy ona z odrazą wkładała do pieca jego lepkie od brudu spodnie, on wsuwał do ust widelec z porcją dania i nie połykał, czekając, aż ziemniaki rozpuszczą mu się na podniebieniu, aż zupełnie zniknie ich smak.

– Jeśli zjem zbyt dużo, mogę się rozchorować – tłumaczy i unosi rękę, aby pogłodzi policzek Margot. – Masz taką delikatną skórę – mówi trochę zdziwiony, czując, że oczy zachodzą mu łzami.

Żona przytrzymuje jego dłoń i przymyka powieki.

Karol chciałby, aby czas się zatrzymał. Wydaje mu się, że mógłby już na zawsze pozostać w kuchni pachnącej węglem i ziemniakami. Mógłby zastygnąć na drewnianym krześle pamiętającym jeszcze czasy, gdy Margot była niewiele starsza od Piotrusia. Nie musi przeżywać już niczego więcej. Nie musi niczego doświadczać. Wystarczy mu bliskość żony i spokojny sen synka w pokoju obok.

Ale życia nie można zatrzymać. Nie można też wymazać jego nieudanego fragmentu. Trzeba iść dalej, dźwigając cały swój bagaż.

Karol jest tego świadomy, choć gdy jakiś czas później, w wygodnym łóżku wsłuchuje się w oddech śpiącej obok niego żony, wciąż nie wie, jak tego dokona. Jak z więźnia stanie się na nowo obywatelem.

Tej pierwszej nocy w domu przyszłość budzi w nim tylko lęk.

# ŚWIĘTOCHŁOWICE

## rok 1996

Pod palcami łuszczy się farba, którą pomalowano drzwi jednej z altanek. Deski są wypaczone i najeżone drzazgami, jak gdyby wciąż broniły tego, co znajduje się za nimi. Na drzwiach wyryto numer. Dwójka jest już prawie niewyczuwalna, ale palce ślepeca widzą więcej niż oczy. Karol chciałby, aby ta cyfra była jedynie zbiegiem okoliczności, aby ktoś wyźłobił ją tu dużo później i w zupełnie innych okolicznościach, a jednak nie potrafi nie słyszeć głosu, który w jego głowie krzyczy, że nie ma takich przypadków, że to ten numer i te drzwi.

Ploch opiera czoło w miejscu, po którym przed chwilą wodził palcami. Wdycha zapach farby olejnej. Od Piotra wie, że to żółty, słoneczny kolor.

„Czy oni wiedzą? Czy wiedzą?” – zadaje sobie pytanie.

Nigdy nie wypowie go głośno. Nie chce znać odpowiedzi. Ma osiemdziesiąt osiem lat i mimo wszystko pragnie odejść z tego świata, wierząc, że w ludziach jest więcej dobra niż zła. Miał sporo czasu, aby na powrót przywyknąć do tej myśli.

Stoi przy drzwiach, starając się odzyskać równowagę. Nie chce martwić Piotra, więc w końcu pozwala, aby syn poprowadził go dalej wąskimi ścieżkami ogródków działkowych „Zgoda”. Ogarnia go jednak poczucie buntu i jakaś wywołująca dreszcz odraza, gdy syn opowiada o tym, co widzi: o różach i chryzantemach, o pomalowanych na biało krawężnikach alejek, o betonowych krasnalach i różnokolorowych kwietnikach zrobionych ze starych opon. Ogródki są ładnie utrzymane, wszak to miejsce odpoczynku dla ciężko pracujących Ślązaków.

Teraz, jesienią, jest tu spokojnie. Rano padało, więc emeryci zostali w domach, licząc na to, że doczekają kolejnej wiosny. W kwietniu ogródki na powrót staną się gwarne. Działkowcy będą się wdawać w długie rozmowy, a ich starsze o rok wnuczęta podczas gry w piłkę rozbiją kilka szyb. W świetlicy, która, jeśli Piotr właściwie objaśnia mu kierunki, znajduje się w miejscu baraku numer siedem, odbywać się będą przyjęcia, ludzie przy akompaniamencie śląskich szlagierów wzniosą toasty za zdrowie i życie. Teraz na drzwiach wisi jedynie doszczętnie zamokłe zawiadomienie o ubiegłotygodniowym zebraniu oraz monit o zaleganiu z opłatami. Codziennosc działkowców.

Odkąd Plochowie weszli na teren ogródków, odkąd otworzyła się przed nimi brama zamontowana na trzech słupach z czerwonej przedwojennej cegły, otacza ich silny zapach owoców. Dojrzałych jabłek i śliwek. Niedługo spadną, a jeśli ludzie ich nie zbiorą, zgniją, aby użyźnić glebę. Koło zostanie ponownie domknięte. W naturze śmierć zawsze staje się początkiem nowego życia.

Piotr mówi, że ten zapach przypomina mu dzieciństwo, i pyta ojca, czy pamięta, jak kiedyś został przyłapany na kradzieży owoców z jednego z takich ogródków.

Karol nie odpowiada, jest zbyt roztrzęsiony, aby wysilić umysł.

Odór zgnilizny, który najwidoczniej czuje tylko on, staje się nie do zniesienia. Z ciemności, którą jest otoczony od prawie pięćdziesięciu lat, zaczynają wyłaniać się postaci, jakby chcąc mu przypomnieć, że tutaj umieranie nigdy nie było niczego początkiem. Dawni druhowie mają rację, zbyt często widzieli, co się dzieje, gdy dusza, w którą wierzy wiele religii, odziera się od ciała, czasem zanim umierający odetchnie po raz ostatni.

– Wracajmy – mówi Karol i silniej przytrzymuje się ramienia syna. – Zmęczyłem się.

Słyszy, jak Piotr otwiera usta, chcąc coś powiedzieć, ale ręką nakazuje mu milczenie. Tu już nic więcej nie ma do dodania.

Kiedy ponownie przechodzą przez bramę, stary Ploch przystaje, ogarnięty nagłym przerażeniem. Czeka, aż ktoś go zawoła, aż strzeli albo uderze-

niem kolby karabinu powali go na ziemię.

„Będziesz tu zdychał” – słowa komendanta znów dudnią mu w uszach.

Z największym wysiłkiem robi jeszcze jeden krok, wyciąga przed siebie rękę i po raz ostatni dotyka ceglanego słupa. Już wie, że nie zdoła przejść przez tę bramę po raz kolejny. Żegna się ze znieawidzonym miejscem i dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że tak naprawdę nigdy stąd nie wyszedł.

Cegły są chłodne i mokre. Palce ślizgają się po nich. Znów zaczyna padać deszcz.

\*

– Dlaczego przyjechaliśmy tu właśnie dziś? – Piotr przerywa panującą w samochodzie ciszę. – Dlaczego nie w czerwcu, gdy spotykają się tu więźniowie i ich rodziny?

Karol nerwowo skubie guzik prochowca.

– Dokładnie dziś mija pięćdziesiąta pierwsza rocznica mojego zwolnienia – odpowiada. – Wszedłem do mieszkania, matka dała mi ziemniaki ze skwarkami i spaliła moje ubrania – zaczyna snuć opowieść, którą Piotr dobrze zna.

Ani ojciec, ani syn nie dodają jednak na głos, że tamtego dnia do mieszkania przy kinie Rialto wraz z Karolem weszła również Zgoda. Rozsiadła się, rozgościła i została na dobre. Choć przez całe pięćdziesiąt lat milczała.

Tak. Mieli szczęście. Karol musi to przyznać. Margot nie została Małgorzatą i pomyślnie przeszła proces rehabilitacji. Nie odebrano im mieszkania i pozwolono prowadzić kiosk. Ich syn zdążył jeszcze mieć beztroskie dzieciństwo i w spokoju z Piotrusia stać się Piotrem.

Gdyby nie koszmarne sny, które czasem męczyły Karola, gdyby nie szept Margot tłumaczącej dziecku, że ma się nie martwić, kiedy tata jest smutny, i nie bać, kiedy czasem wydaje się zły, mogliby uznać, że roku czterdziestego piątego nigdy nie było, że jakimś sposobem biegnący czas pominął tych kilkanaście miesięcy.

Ploch milczał, bo wciąż pamiętał, że w dniu zwolnienia z obozu, a może już wcześniej, obiecał sobie, że nigdy nie obejrzy się za siebie. Dokument zmuszający go do zachowania tajemnicy, który podpisał, tylko ułatwiał sprawę.

Zgoda nie istniała! O Zgodzie się nie mówiło ani nie myślało.

Nie złamał danej sobie obietnicy również wiosną sześćdziesiątego szóstego, gdy po gazetę i papierosy przyszedł do jego kiosku Salomon Morel. Nie powiedział o tym spotkaniu Margot, ale nie umiał też o nim zapomnieć. Przez wiele następnych miesięcy, idąc do pracy, z trwogą myślał, że komendant może odwiedzić go ponownie. Przyjdzie po „Sport”, skomentuje wyniki meczu... I co wtedy zrobi Karol? Czy zbierze w sobie dość odwagi, aby się odezwać, aby powiedzieć nachylającemu się do okienka mężczyźnie, że poznali się już wcześniej i choć świat był wtedy zupełnie inny, Karol pamięta zamiłowanie Morela do piłki nożnej? Przecież komendant mścił się na więźniach za każdy przegrany przez Ruch mecz.

A jednak Morel więcej nie przyszedł, choć Ploch często wyczuwał jego obecność. Ulicami Katowic niósł się zapach znienawidzonej wody kolońskiej, do uszu Karola dobiegał odgłos budzących przerażenie kroków. Morel mieszkał w Katowicach, tego Ploch był pewien. Może dzieliło ich zaledwie kilka ulic. Może spacerowali tymi samymi alejkami parku Kościuszki, a potem siadali jeden za drugim w autobusie wiozącym niedzielnych spacerowiczów do centrum. Karol odganiał od siebie te obrazy i codziennie próbował o nich zapomnieć, wierząc w zasłyszaną gdzieś mądrość bratniego narodu: „Im mniej się wie, tym spokojniej się śpi”.

Nawet wówczas, gdy zmienił się ustrój, a aktorka Joanna Szczepkowska, siedząc w studiu *Dziennika Telewizyjnego*, wypowiedziała pamiętne słowa: „Proszę państwa, 4 czerwca 1989 skończył się w Polsce komunizm”, Karol nie poczuł się z niczego zwolniony. W nowych czasach tym bardziej nie należało odkopywać starych trupów.

A potem...

W pochmurny listopadowy dzień, gotując wodę na herbatę, usłyszał w stojącym na kuchennym parapecie radiu, że Salomonowi Morelowi, ko-

mendantowi obozu w Świętochłowicach oraz Progresywnego Więzienia dla Młodocianych Przestępców w Jaworznie, postawiono zarzut. Dziennikarz Radia Katowice namawiał byłych osadzonych, aby przyszedli na wyznaczone spotkanie i opowiedzieli o tym, co ich spotkało.

Karola zdenerwowała ta prośba. Pamięta, że zbił wtedy szklanę z herbatą. Poparzył się wrzątkiem i poranił sobie palce, usiłując zebrać szkło z dywanu. Potem długo klęczał, przyciskając krwawiący palec do koszuli i powtarzał sobie, że dziennikarz na pewno nie znajdzie chętnych, którzy opowiedzą, jak niegdyś uznano ich za Niemców, przestępców i wrogów ojczyzny. To przecież wciąż był temat tabu. Nie mówiło się głośno ani o służbie w Wehrmachcie, ani o wywózkach do Donbasu, tym bardziej nie można było bezkarnie opowiadać o Zgodzie.

Nim Piotr wrócił z pracy, łzy, które spłynęły po policzkach starego mężczyzny, zdążyły już wyschnąć. Syn po raz kolejny delikatnie upomniał niewidomego ojca, aby sam nie gotował dla siebie wody, przecież herbatę zostawia mu w termosie. Potem pomógł mu zmienić koszulę i nakleił na palec plaster. Zebrał też z dywanu szkło.

Następne dni mijały spokojnie i ciszej niż zwykle, bo Karol nie włączał kuchennego radia, ale gdzieś głęboko pod skórą czuł, że czas ciszy właśnie się zakończył.

Ostatecznie wyprzedził dziennikarskie śledztwo. Przy niedzielnym obiedzie, który, odkąd zmarła Margot, jadali tylko we dwóch, między zupą a drugim daniem zaczął mówić o roku czterdziestym piątym oraz o tym, co wydarzyło się wówczas na Zgodzie. Słowa płynęły z jego ust z taką łatwością, jakby opowiadał fabułę jakiegoś filmu niemającą nic wspólnego z jego życiem. Mimo tej lekkości historia wstrząsnęła Piotrem. Ludzie wchodzący w dorosłość po wojnie nie byli gotowi na takie obrazy. Ich świat z pozoru nie był brutalny.

Tamtego dnia Karol złamał obietnicę. Rozdrapał niewygojone wciąż rany. Demony przeszłości wróciły do niego, jakby tylko czekały na zaproszenie.

\*

Mężczyzna zapukał do drzwi mieszkania Karola zaledwie kilka miesięcy po wysłuchanej w radio audycji o Morelu. Wystarczyło krótkie powitanie, aby Ploch rozpoznał dawno niesłyszany głos. Przez krótką chwilę znów stał obok Egon na placu apelowym. Wyniszczeni głodem i tyfusem, dziecko i młody mężczyzna, cudem ocaleni.

– Musiałem cię jeszcze zobaczyć – zaczął tłumaczyć Egon, przytrzymując drzwi, bo w pierwszym odruchu, w nagłym, rozlewającym się po ciele przerażeniu, Karol chciał je przed Ciupką zamknąć. – Zamierzam przeżyć resztę życia pogodzony z przeszłością. Chcę wybaczyć Morelowi. Pomóż mi w tym – poprosił pospiesznie, chwytając dłoń wstrząśniętego Plocha. – Porozmawiajmy o tym, co stało się naszym udziałem – mówił, czując, że strach dawnego towarzysza zmienia się we wzruszenie. – Całe życie matka stanowczo zabraniała mi przychodzenia tutaj – kontynuował Egon, przysiadając na kanapie obok wciąż poruszonego niespodziewanymi odwiedzinami Karola. – Tłumaczyła, że sobie nie życzysz, że trzeba pozwolić zapomnieć tym, którzy właśnie tego pragną, choć ona nie zapomniała nigdy. Do śmierci wspominała Zgodę i złorzeczyła Morelowi. Obóz w końcu ją zabił. Nie dożyła pięćdziesiątych urodzin. Umarła na zawał serca, do końca targana miłością do mnie i nienawiścią do komendanta oraz systemu, który go stworzył. Po jej śmierci jeszcze przez jakiś czas wmawiałem sobie, że miała rację, że nie należy tego ruszać. Żyłem z pozoru normalnie. Mam niezłą pracę, założyłem rodzinę, ale wciąż czułem, że coś jest nie tak, że przeszłość mnie uwiera... I wtedy usłyszałem w radio tamten felieton. Przyjąłem zaproszenie dziennikarza. Wielu nas tam było. Starsi ludzie nierozliczeni z przeszłością. Szukałem cię, ale nie wiedziałem, czy tu mieszkasz, czy...

– Nadal żyję – dopowiedział Karol to, co najwidoczniej trudno było wymówić Egonowi.

– Śniłeś mi się dzisiejszej nocy. Po wielu latach znów przyśnił mi się obóz... – wyjął Ciupka. – Gdy się obudziłem, wiedziałem, że muszę cię odnaleźć. Przez cały ten czas miałem w pamięci twój adres. To cud, że wciąż tu mieszkasz.

Tamtego dnia długo rozmawiali, a potem Egon zaczął odwiedzać Karola regularnie. Zazwyczaj były to po prostu towarzyskie spotkania. Egon poznał Piotra, polubili się, wszak byli w podobnym wieku. Potem przy okazji urodzin Ciupki Plochowie poznali jego żonę. Matylda pracowała w drukarni na Opolskiej i to ona pewnego dnia, ponad rok od pierwszego spotkania mężczyzn, wsunęła do rąk Karola teczkę z wyciętymi artykułami.

– To o komendancie Morelu – szepnęła niepewnie.

Ploch odsunął się od kobiety, upuszczając teczkę na podłogę. Był wzburzony i wcale nie chciał poznać jej zawartości, tak jak kiedyś nie chciał wpuścić do domu Egona. Krzyknął na Matyldę, że to nie jej sprawa i nie jej przeszłość. Przez kilka dni złościł się też na Egona, który niepotrzebnie próbował rozgrzebać coś, o czym obaj powinni zapomnieć.

A potem, w niedzielny poranek, po kolejnej nieprzespanej nocy, kierując się nagłą, jeszcze niezrozumiałą dla siebie potrzebą, poprosił Piotra, aby zawiózł go do mieszkania Ciupków i już zupełnie spokojnie zaczął słuchać strzępów prasowych informacji o przystojnym, postawnym mężczyźnie, który na tyle lat stał się panem ich życia.

– Niektórzy mówią o Morelu dobrze. – W głosie Egona, zagłuszonym przez szelest gazetowego papieru, było słycać niedowierzanie. – Potrafisz to pojąć? Potrafisz zrozumieć, że ktoś, kto zgotował nam takie piekło, był kochającym ojcem i dobrym sąsiadem?

– Widać nienawidził jedynie Niemców i tych, których za Niemców uważał – próbował wyjaśnić Karol, choć jemu też nic się w tej historii nie zgadzało.

Przecież to nie Niemcy, ale Polacy zabili komendantowi rodzinę. Rodzice Morela nie zginęli w Oświęcimiu, jak czasem twierdził, lecz we własnej wiosce, zastrzeleni przez granatowego policjanta.

Karol zbyt wiele przeżył i zbyt wiele słyszał, aby nie umieć dopowiedzieć sobie reszty historii opisywanej w czytanych mu przez Ciupków artykułach. Z ciemności, którą od lat był otoczony, wyłoniły się kontury niewielkiej miejscowości, gdzie dorastał komendant. Skromne domy, stodoły i chlewiki, a wokół nich pola, lasy, i płynąca rzeka. W jednej ze stodół,



a może w piwnicy domu, ukrywa się żydowska rodzina Salomona Morela. Ludzie przynoszą im jedzenie i słowa otuchy, ale są też tacy, którzy się boją. Wiadomo przecież, co Niemcy robią z tymi, którzy ukrywają Żydów. To nic, że Morelowie przez lata byli dobrymi sąsiadami. Teraz przez nich mogą zginąć inni. Wioska może zostać spalona, zrównana z ziemią. Nikt tego nie chce.

Ktoś pierwszy chwyta za widły i owładnięty strachem idzie po ukrywającą się rodzinę. Szybko dołączają do niego kolejni. Na nic zdają się błagania matki, na nic płacze. Ludzie wyciągają Morełów z kryjówki. Nie wszystkich znajdują. Brakuje dwóch braci – Salomona, którego wszyscy wołają Szlama, i Icka.

Rodzina zostaje doprowadzona na posterunek. Policjant ma dwie możliwości: oddać Morełów Niemcom, ale wtedy zaczęłyby się przesłuchania i poszukiwania tych, którzy ich ukrywali; może też załatwić sprawę na miejscu. I właśnie tak się dzieje. Kilka strzałów rozwiązuje problem.

\*

To tamtego dnia, wśród porzucanych na stole wycinków gazet, między fragmentami życia rodziny Morela, oskarżeniami i pierwszymi rozliczeniami tego, co stało się wiele lat wcześniej, Egon odnalazł Basię Kubiczek. Jej imię i nazwisko widniało pod krótką wypowiedzią zamieszczoną w jednym z artykułów. To odkrycie było jak nagłe uderzenie, jak zadany znienacka cios. Poczuli go obaj.

Barbara, dziewczyna, która być może przeżyła najwięcej z nich. Wtrącona do obozu tylko za to, że przyniosła ojcu jedzenie, a potem zgwałcona przez strażników, okazała się najodważniejsza. Nie bała się ujawnić swojego nazwiska ani stawić czoła Morelowi.

– Odnajdźmy ją! – Egon chwycił drżącą od emocji dłoń Karola i zaczął go przekonywać, choć Plocha wcale przekonywać nie trzeba było.

Po raz pierwszy, odkąd przekroczyli bramę Zgody, odkąd powiedziano im, że są wolni, stary mężczyzna zapragnął zobaczyć raz jeszcze Pawła,

Erica i Wilhelma.

Egon i Matylda wciąż powtarzali, że trzeba mówić o Zgodzie głośno, ale to Barbara pokazała, że rzeczywiście można się zdobyć na taką odwagę. W pokoju pachnącym drukarską farbą Karol w końcu odzyskał wiarę w to, że tylko słowa mogą go uwolnić. Zgoda zniknie z jego życia dopiero wówczas, gdy na nowo się w nim pojawi.

Odnalezienie córki Pawła nie było trudne. Wystarczyło skontaktować się dziennikarzem, którego nazwisko widniało pod artykułem. To on zorganizował ich spotkanie. Nie zgodzili się jednak, aby był podczas niego obecny ktoś z redakcji, nie chcieli, aby robiono im zdjęcia.

Tak jak niegdyś Egon, Basia też pojawiła się w drzwiach mieszkania Karola. Tym razem drzwi otworzyły się przed nią na oścież. I znów, przy kawie pitej z najlepszych filiżanek należących jeszcze do Mutter Langer i przy serniku z pobliskiej piekarni, który ani trochę nie przypominał ciast pieczonych przez Margot, popłynęły wspomnienia.

\*

Barbara wraz z rodziną mieszkała w niewielkiej wiosce pod Częstochową. Choć była już babcią czworga wnucząt, miała tak młody głos, że Karol oczami wyobraźni wciąż widział zamiatającą plac dziewczynę zaledwie wchodzącą w dorosłość. Nie chciał jednak dotknąć jej twarzy, choć Basia nie miała nic przeciwko temu. Nie potrzebował malować sobie w pamięci nowego obrazu kobiety.

– Ojciec nie żyje od dziesięciu lat – mówiła spokojnie Barbara, widać pogodzona już z tą śmiercią. – Gdyby żył, pewnie nie zdecydowałabym się złożyć zeznań, nie zrobiłabym mu tego, bo dla taty Zgoda nie istniała. Odkąd się odnaleźliśmy, rok po jego zwolnieniu, nie wypowiedzieliśmy tej nazwy ani razu. Przez wiele lat tułaliśmy się po pegeerach, nie umieliśmy znaleźć sobie miejsca. Mojego męża poznałam podczas żniw. Był kombajnista. Zamieszkaliśmy we trójkę w przydzielonym nam z pegeeru mieszkanku, potem pojawiły się dzieci, a po wielu latach wybudowaliśmy własny

dom. Ojciec kochał wnuki. Gdy się nimi opiekował, widziałam go takim, jakim był przed Zgodą, szczęśliwym i młodym. Czasem wydawało mi się, że on naprawdę zapomniał... – dodała kobieta nieco później, gdy zbierała się już do wyjścia. – Wymazał z głowy to, co tam się wydarzyło. Rok 1945 dla nas nie istniał.

\*

Na jednym spotkaniu się nie skończyło. Basia na stałe zagościła w życiu Egona i Karola. Przed każdymi świętami ich domy pachniały suszonymi grzybami zbieranymi w podczęstochowskich lasach, a lodówki wypełniały się wyrobami pochodzącymi ze świniobicia. Kielbasami robionymi przez męża Barbary zajadała się cała kamienica Plochów.

To właśnie Basia kilka dni przed Wielkanocą w 1993 roku zadzwoniła do Ciupków, którym w międzyczasie podłączono telefon, i rozemocjonowanym głosem oświadczyła Karolowi, że trzyma w ręku obszerny artykuł z „New York Timesa” przesłany jej przez mieszkającą w Chicago córkę.

Historię młodego więźnia Zgody Erica Calsterena opowiadała jego żona Annelies. Eric zmarł zaledwie dwa miesiące wcześniej.

Z czterech towarzyszy z baraku numer siedem przy życiu pozostał tylko Karol. Wilhelma co prawda jeszcze nie odnaleźli, ale szanse, że wciąż żyje, były niewielkie, bo był z nich wszystkich najstarszy.

Płochy bolały te straty, choć przecież wiedział doskonale, że i jemu pozostało niewiele czasu. Życie nie trwa wiecznie, mimo że człowiek tak chętnie zapomina o przemijaniu.

Po otrzymaniu wieści o śmierci Erica Karol popadł w melancholię. Przez pewien czas nie chciał się spotykać nawet z Egonem. Godzinami przesiadywał na ustawionym przy oknie krześle i wsłuchując się w gwar ulicy, zastanawiał się, czy przypadkiem nie przespał swojego życia. A jeśli nawet nie swojego, to czy nie przegapił szansy bycia częścią życia kilku mężczyzn, którzy teraz wydawali mu się tak bliscy.

Czasem żałował, że tamtego dnia wpuścił Egona do domu, że pozwolił mu się ze sobą na powrót zaprzyjaźnić, a potem wspólnie wyruszyć na poszukiwanie duchów przeszłości.

Nie był już taki pewny, czy mówienie o Zgodzie przyniosło mu ulgę. Dla pokolenia więźniów wolność przyszła zbyt późno.

Czas jednak rozproszył smutki.

Ploch znów zaczął przyjmować zaproszenia Egona i jego żony. Znów siadali w ich dwupokojowym mieszkaniu w bloku z wielkiej płyty zbudowanym całkiem niedawno na ulicy Witosa. Matylda kładła przed starszym talerz zupy pomidorowej i wsuwając mu w rękę łyżkę, zachęcała, aby jadł, póki ciepła. Za ścianą najstarszy wnuk Ciupków nagrywał na kasetę piosenki puszczone w nowo powstałym radio, które zdaniem Karola było zbyt krzykliwe i nachalne, aby zdobyć stałych słuchaczy.

O Zgodzie mówili coraz rzadziej, choć Ploch wiedział, że Egon jest w stałym kontakcie z częścią byłych więźniów, że próbują organizować spotkania i rozmawiają o upamiętnieniu miejsca obozu, gdzie lata temu rozgościły się ogródki działkowe. On sam bał się powrotu na Zgodę, bolała go myśl o kolorowych altankach i dziecięcych placach zabaw ustawionych na miejscu ich kaźni. Nie chciał też słyszeć, ilu spośród byłych więźniów odeszło już z tego świata z przyczyn – jak to mówią – naturalnych. Czuł jednak, że musi domknąć krąg i do końca rozliczyć się z przeszłością. Musi zrobić jeszcze jeden krok, jeszcze raz przejść przez bramę obozu. Wyznaczył więc sobie datę i dotrzymał jej.

\*

Ojciec i syn jadą ulicami Świętochłowic. Zbliża się czwarta, zaczynają się godziny popołudniowego szczytu, więc samochód tkwi w tworzących się korkach. Stary i młody Ploch już nie rozmawiają. Piotr wie, że ojciec potrzebuje ciszy. Potrzebuje czasu, aby powrócić do teraźniejszości i być może raz na zawsze zapomnieć o tym, co miało miejsce pół wieku wcześniej.

W natłoku myśli Piotr prawie nie zauważa drogi, prowadzi na pamięć. Nie wie, co doradzić ojcu. Powinien zapomnieć czy wciąż na nowo odtwarzać w głowie tamte miesiące? Szukać sprawiedliwości czy uznać, że pewne sprawy już nigdy nie zostaną wyjaśnione?

W końcu wjeżdżają na ich ulicę. Mężczyzna cieszy się, gdy znajduje wolne miejsce parkingowe tuż przed domem. Z roku na rok coraz o to trudniej. Katowice stają się tłoczną i gwarną metropolią.

Młody mężczyzna pomaga ojcu wysiąść, a potem, chwytając go pod ramię, prowadzi do wejścia.

– Jeszcze dziś rano uważałem, że nie powinno się sadzić kwiatów na rozlanej krwi – odzywa się Karol, przystając na środku chodnika. – Dlatego nie chciałem wcześniej pojechać na Zgodę. Ale teraz...

– Co teraz, tato? – dopytuje Piotr z niepokojem, widząc łzę spływającą po policzku ojca.

– To dobrze, że te ogródki właśnie tam powstały, że na miejscu baraków i drutów zasadzono drzewka owocowe.

– Chcesz, aby zapomniano o Zgodzie? – Piotr zadaje kolejne pytanie, nie zważając na to, że stojąc na środku chodnika, utrudniają przejście innym.

Karol zamyka oczy.

– Musimy pamiętać, ale ta pamięć nie może wpływać na nasze życie. Ono toczy się dalej.

– Więc wybaczysz Salomonowi Morelowi? Wybaczysz tym, którzy wam to zrobili? – Piotr podnosi głos, aby przekrzyczeć śmiechy przechodzącej obok grupki nastolatków.

Karol również się uśmiecha.

– Powinienem wybaczyć przede wszystkim sobie. Zbyt wiele lat miałem Zgodę w sercu. Zbyt wiele było jej w naszym życiu.

Robi kilka kroków i znów się zatrzymuje. Niewidzącymi oczami patrzy na roześmianą młodzież, która przystanęła nieco dalej, przy jednej ze sklepowych witryn.

– Młodemu powinno się mówić o Zgodzie, ale nie po to, aby rozsiewać nienawiść. Przecież „Zgoda” to taka piękna nazwa. Trzeba żyć w zgodzie niezależnie od narodowości i wyznania. Żyć bez względu na nadany nam numerki albo język, którym mówimy.

Płoch wyciąga rękę. Odnajduje twarz syna i delikatnie poklepuje go po policzku.

– To wydaje się takie proste – mówi, a potem wzdycha cicho. – Takie proste... – szepcze, popychając skrzydło bramy, tej samej, przed którą pięćdziesiąt lat temu powitał go Franciszek Zawada.

# Biografie

**Salomon Morel** – urodził się 15 listopada 1919 roku w Garbowie. Był synem Chaima i Hany, którzy prowadzili niewielką piekarnię. W roku 1935 Morel wyjechał do Łodzi, gdzie podjął pracę w firmie konfekcyjnej jako ekspedient. Po wybuchu wojny wrócił do rodziców do Garbowa. Chcąc uniknąć pobytu w getcie, rodzina Morełów ukryła się w stodole Stanisława Gęsika. W grudniu 1942 roku Morelowe zostali zadenuncjowani. Salomon i jego brat Icek zbiegli, natomiast rodzice Salomona, jego drugi brat i bratowa zostali zaaresztowani i zastrzeleni w Garbowie przez policjanta. Przez jakiś czas bracia ukrywali się w oborze lub stodole rodziny Tkaczyków (Józef Tkaczyk został w 1983 uhonorowany medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata). Później Salomon Morel wstąpił do partyzantki. W oddziałach partyzanckich Armii Ludowej walczył pod dowództwem kpt. Chila.

W 1944 roku, po zajęciu Lublina przez Armię Czerwoną, Morel został strażnikiem więziennym na zamku w Lublinie. Naczelnik więzienia, Antoni Stolarz, w raporcie z 30 listopada 1944 wnosił o zwolnienie Morela oraz pięciu innych strażników, ponieważ „nie wykonują sumiennie nałożonych na nich obowiązków, nie starają się podporządkować do regulaminu więziennego, zachowują się arogancko przyczem rozsiewają plotki co do mojej osoby, przez co utrudniają mi pracę i podrywają mój autorytet” (pisownia oryginalna). Stolarz prosił w raporcie o zwolnienie tych strażników jako „elementu szkodliwego służbie więziennej”. Morel został przeniesiony do pełnienia funkcji strażnika w więzieniu w Tarnobrzegu, gdzie rozpoczął pracę 15 grudnia 1944 roku. 15 lutego 1945 wraz z grupą operacyjną Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego wyjechał na Górną Śląsk. Niemal natychmiast powierzono mu kierownictwo w obozie w Świętochłowicach.

Mimo ciężącej na nim opinii „elementu szkodliwego w więziennictwie” objął tak odpowiedzialną funkcję (miał wówczas dwadzieścia sześć lat), choć, jak sam przyznał, nie był do tego przygotowany – nie został przeszkolony „ani na szkołach, ani na kursach”.

Po wydarzeniach opisanych w książce i likwidacji obozu, która nastąpiła w listopadzie 1945 roku, Salomon Morel został przeniesiony na stanowisko komendanta do innego obozu. Uchwałą Prezydium Krajowej Rady Narodowej z 17 września 1946 podporucznik Salomon Morel został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

W lutym 1949 roku powierzono mu stanowisko komendanta Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie, który po zakończeniu akcji „Wisła” został przekształcony w Progresywne Więzienie dla Młodocianych Przystępców. W 1954 roku został ponownie odznaczony – Złotym Krzyżem Zasługi. Do 1956 roku nadzorował jako komendant obozy pracy dla więźniów.

Po 1956 roku pracował w różnych zakładach karnych na terenie Śląska. W 1960 otrzymał odznakę Wzorowego Funkcjonariusza Służby Więziennej. W 1964 na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego obronił pracę magisterską pod tytułem: *Praca więźniów i jej znaczenie*. Był m.in. naczelnikiem Wojewódzkiego Aresztu Śledczego w Katowicach, skąd odszedł na emeryturę w 1968 roku. Miał stopień pułkownika służby więziennej.

W 1991 roku po raz pierwszy przesłuchano Salomona Morela w śledztwie w sprawie obozu na Zgodzie. Wkrótce po przesłuchaniu wyjechał do Izraela. W 1995 roku Prokuratura Wojewódzka w Katowicach sporządziła postanowienie o przedstawieniu Salomonowi Morelowi dziewięciu zarzutów, a w marcu 1998 roku wystąpiła do władz Izraela z wnioskiem o ekstradycję, która spotkała się z odmową ze względu na przedawnienie przestępstwa według izraelskiego prawa.

W oparciu o zgromadzone dowody, rozszerzając zarzuty wobec Morela, zmieniono kwalifikację prawną jego czynów, uznając je za zbrodnie przeciwko ludzkości. Sąd Rejonowy w Katowicach 19 grudnia 2003 roku wydał postanowienie o tymczasowym aresztowaniu Salomona Morela. W lipcu



2005 Izrael odmówił wydania Morela polskim władzom, gdyż prawo izraelskie nie przewiduje ekstradycji swoich obywateli.

14 lutego 2007 roku Salomon Morel zmarł w Tel Awiwie.

**Eric van Calsteren** – urodził się w Hadze 13 września 1930 roku. Był obywatelem Holandii. Jeszcze jako dziecko przyjechał do Gliwic, rodzinnego miasta swojej matki. Podczas wojny pracował jako dozorca kamienicy.

W marcu 1945 roku do kamienicy weszli radzieccy żołnierze. Krzyki kobiet zaalarmowały polską milicję, ale funkcjonariusze nie zareagowali, bojąc się uzbrojonych żołnierzy. Przyszli dopiero po wszystkim i oskarżyli Erica o współudział w gwałcie kobiet. Pobili go i zamierzali zabrać na posterunek, ale chłopak zdołał uciec.

Po kilku dniach do ukrywającego się Erica dotarła wiadomość o aresztowaniu matki. Wówczas sam zgłosił się na posterunek. Przesłuchujący go milicjant uznał Calsterena za Niemca ze względu na jasne włosy i niebieskie oczy.

Eric trafił do obozu na Zgodzie. Został skierowany do baraku numer 7. Był wielokrotnie bity i torturowany. Nie wytrzymując warunków panujących w obozie, postanowił uciec. Wraz z kilkoma innymi mężczyznami ukrył się w latrynie, a rano wmieszał w grupę wychodzących do pracy w hucie. Ucieczka się udała, ale milicja ponownie aresztowała matkę Calsterena.

Sam Salomon Morel odwiózł Erica do obozu, gdzie chłopak został brutalnie pobity – między innymi żelaznym prętem.

Calsteren cudem przeżył. Udało mu się również przetrwać panującą w obozie epidemię tyfusu.

17 października 1945 roku został zwolniony. Po wyjściu napisał pamiętnik, w którym wspomina pobyt w obozie, i oddał go na przechowanie Józefowi Małkowi z Rybnika. Niedługo później opuścił Polskę i dotarł do Holandii.

Pamiętnik został odnaleziony i przekazany do Instytutu Pamięci Narodowej.

Eric van Calsteren odwiedził Świętochłowice w 1991 roku. Zmarł 16 lutego 1993 roku w Holandii.

**Walter Skutela** – więzień obozu na Zgodzie wybrany na stanowisko starosty obozowego. Cieszył się złą sławą i wielokrotnie uczestniczył w pobiaciach więźniów. Mieszkał w Katowicach, z zawodu był muzykiem.

**Aleksy Krut** – urodził się w Ostrowie na Lubelszczyźnie w rodzinie prawosławnej. Od 1943 roku członek Zbrojnych Placówek PPR. Od 1944 pracował w Urzędzie Bezpieczeństwa w Lublinie. W lutym 1945 roku przybył na Śląsk i zaczął pracę w obozie Zgoda w Świętochłowicach. Źródła nie są zgodne, ale prawdopodobnie do maja 1945 roku pełnił funkcję komendanta obozu (wraz z Salomonem Morelem). Aż do śmierci w 1963 roku pracował w więziennictwie.

**Kurt Glombitza** – Niemiec pochodzący z Górnego Śląska. Przed wojną prowadził w Katowicach praktykę lekarską. Za swoją przynależność do SA (był obersturmführerem) został w lutym 1945 roku zatrzymany w Katowicach przez Sowietów i przekazany władzom polskim. Wywieziono go najpierw do Przemyśla, a stamtąd trafił do Świętochłowic. Ze względu na doświadczenie zawodowe został przez Morela wyznaczony na głównego lekarza obozowego. Podczas epidemii tyfusu, gdy miał stwierdzać zgon więźniów, sprawdzał to, trącając zmarłych stopą – prawdopodobnie nie tylko z rutyny, ale także z obawy przed zarażeniem się.

Dzięki bliskim kontaktom z załogą obozu Glombitza zajmował uprzywilejowaną pozycję wśród innych więźniów – budził wśród nich strach i nienawiść. Podczas śledztwa toczącego się w NRF świadkowie zeznawali, że osobiście przeciął skalpelem żyły na rękach dwóch więźniów, w wyniku czego wykrwawili się i zmarli.

Glombitza w kwietniu 1961 roku został skazany na dwa lata więzienia za jedno zabójstwo, z braku dowodów uniewinniono go od popełnienia drugiego.

**Wanda Lagler** – obywatelka Stanów Zjednoczonych. Do Polski przyjechała w sierpniu 1939 roku w celu przeprowadzenia postępowania spadkowego po swoim krewnym Pawle Strzeleckim, znanym podróżniku i badaczu Australii. Wybuch wojny uniemożliwił Lagler powrót do Stanów. Przebywała u rodziny w Inowrocławiu, później w Chropaczowie (dziś dzielnica Świętochłowic). W marcu 1945 roku Urząd Bezpieczeństwa dokonał przeszukania mieszkania, w którym przebywała, i oskarżył Wandę o szpiegostwo. Została aresztowana i osadzona w obozie Zgoda, a jej rzeczy (futra, biżuteria, pieniądze), według relacji rodziny, skonfiskowano.

O śmierci Lagler rodzina została poinformowana 2 sierpnia 1945 roku. Kobieta spoczęła w zbiorowej mogile.

# Postłowie

Książka, którą Państwo przeczytali, jest zaledwie skromną formą zadośćuczynienia – nie tylko za śmierć, ale przede wszystkim za wieloletnie milczenie na temat, jaki zdecydowałam się w niej poruszyć.

Niektórzy zauważą pewnie, że w obozie na Zgodzie osadzani byli również, a może i w większości, Niemcy, ale czy narodowość jest wystarczającym powodem do zemsty, czy rozliczenie jednych zbrodni może być w tym wypadku usprawiedliwieniem dla popełniania kolejnych?

A o jakiej winie można mówić w przypadku tych, którzy jak większość moich bohaterów do obozu trafili z przypadku, za sprawą nigdy niezweryfikowanego nieprawdziwego donosu, czyjegoś błędu bądź ludzkiej nienawiści?

Choć wydaje się, że o obozie na Zgodzie wiemy już wszystko, wciąż wielu mieszkańców Śląska boi się mówić o tragedii, która wydarzyła się w 1945 roku.

Nie wspominał o niej mój dziadek, który był pasjonatem historii i często opowiadał nam o powojennym Śląsku.

Niestety, nie mogę już go zapytać, czy naprawdę nie wiedział o istnieniu obozu, czy nawet on bał się mówić o Zgodzie.

Kilka lat temu podczas spotkania autorskiego, które miało miejsce właśnie w Świętochłowicach, pojawił się temat Zgody. Obecny na spotkaniu starszy pan zaczął opowiadać o Salomonie Morelu; już nie pamiętam, czy był krewnym, czy jedynie znajomym kogoś z osadzonych w obozie. W pewnym momencie, widocznie reflektując się, że w emocjach powiedział zbyt wiele, spojrzął z obawą na żonę, jakby pytając ją o pozwolenie na

dalszą opowieść, a wtedy ona uspokajająco pokiwała głową, zapewniając męża, że teraz już może o tym mówić.

Wstrząsnęła mną tamta chwila i chyba właśnie wtedy zakiełkował we mnie pomysł napisania książki, którą przeczytaliście. Chciałabym, aby dzięki niej ów strach choć odrobinę zmałał. Jeśli choć jedna osoba po przeczytaniu *Ogrodów na popiołach* wyrzuci z siebie tajemnicę swojej rodziny, poczuję, że moja powieść spełniła swoje zadanie.

Oczywiście *Ogrody na popiołach* nie powstałyby, gdyby nie pomoc i wsparcie wielu ludzi. Przede wszystkim chciałabym podziękować pani Małgorzacie Sawickiej. To ona podzieliła się ze mną obozowymi losami swojego krewnego. Dzięki zdjęciom, dokumentom, a przede wszystkim długiej rozmowie mogłam usiąść do pisania książki, doskonale znając jej głównego bohatera.

Dziękuję także pisarce Monice Kassner. Jej wiedza o Świętochłowicach pozwoliła mi odbyć podróż w czasie i spacerować ulicami miasta w latach, które opisuję w powieści.

Słowa wdzięczności ślę również do pracowników katowickiego oddziału IPN. Dzięki przesłanym dokumentom oraz filmom poznałam lepiej postać komendanta Morela i podjęłam próbę zrozumienia, co nim kierowało.

Jestem wdzięczna mojemu wydawnictwu Książnica, że zdecydowało się na wydanie tak trudnej powieści dotyczącej wielu wciąż kontrowersyjnych spraw. Aleksandra Chytróń-Kochaniec pierwsza usłyszała o *Zgodzie* i zaufała mojemu pomysłowi.

W dniu, w którym wysłałam *Ogrody na popiołach* do wydawnictwa, powiedziałałam do męża, że to najważniejsza z moich dotychczasowych książek. Podczas jej pisania doświadczałam przeróżnych emocji. Czasem czułam złość, że winni nie ponieśli i pewnie nie poniosą już kary. Czasem myślałam, że powinno się wybaczyć i zapomnieć.

Dziś wiem jedynie, że żadna część naszej historii nie może pozostać tematem tabu. Skrzywdzeni nie powinni się wstydić tego, przez co przeszli.

Ta książka została napisana po to, aby z obozu na Zgodzie mogli wreszcie uwolnić się ci, którzy mimo upływu lat wciąż w nim pozostali.

## **Ważniejsze pozycje książkowe, z których korzystałam:**

- Bulsa Michał, *Ulice i place Katowic*, Wydawnictwo Prasa i Książka Grzegorz Grzegorek, Katowice 2021
- Dziurok Adam, *Obóz pracy w Świętochłowicach w 1945 roku. Dokumenty, zeznania, relacje, listy*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2003
- Gruscha Gerard, *Zgoda – miejsce grozy. Obóz koncentracyjny w Świętochłowicach*, Wydawnictwo „Wokół nas”, Gliwice 1998
- Janota Wojciech, *Katowice między wojnami. Miasto i jego sprawy 1933-1939*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2010
- Kałuska Joanna, Węcki Mirosław, *W okupowanym mieście*, Muzeum Historii Katowic, Katowice 2016
- Malinowska Anna, *Komendant. Życie Salomona Morela*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2020

# Przypisy

- [1] Cera – córka (język śląski). Wszystkie przypisy pochodzą od autorki.
- [2] Fajer – impreza, przyjęcie (język śląski).
- [3] *Deutschem Wort – Deutscher Art* – Niemieckim słowem niemieckiej sztuce (język niemiecki).
- [4] Bad Kudowa – obecnie Kudowa Zdrój.
- [5] Königshütte – obecnie Chorzów.
- [6] Rechter – nauczyciel (język śląski).
- [7] Mysłowitz – obecnie Mysłowice.
- [8] Bismarckhütte – obecnie Chorzów Batory (dzielnica Chorzowa).
- [9] Haziela – ubikacja (język śląski).
- [10] Hindenburg – obecnie Zabrze.
- [11] Beuthen – obecnie Bytom.
- [12] *Gegrüßet seist du, Maria, voll der Gnade* – „Zdrowaś Maryjo, łaski pełna” (język niemiecki).
- [13] Byfj – kuchenny kredens (język śląski).
- [14] Roma – kuchenna szafka wisząca (język śląski).
- [15] Mechtal – obecnie Miechowice, dzielnica Bytomia.
- [16] Gleiwitz – obecnie Gliwice.
- [17] Oma – babcia (język niemiecki).
- [18] *Alle Morgen, ohne Sorgen* – „Każdy poranek bez zmartwień” (język niemiecki).
- [19] *Chasy! U tebya yest' chasy?* – Zegarek! Czy masz zegarek? (język rosyjski).
- [20] „Dziennik Zachodni” R. 1, nr 2, Katowice, 7 lutego 1945 roku.



- [21] Mutter – matka (język niemiecki).
- [22] Kakauszale – napój z łusek kakaowca.
- [23] Szałot – popularna na Śląsku sałatka z ziemniaków, jajek na twardo, ogórków kiszonych, cebuli i śledzia, z dodatkiem musztardy, soli i pieprzu.
- [24] Ôstuda – konflikt, zgorszenie (język śląski).
- [25] Sznupa – twarz, gęba (język śląski).
- [26] Hajot – potocznie o członku Hitlerjugend.
- [27] *Schneller* – szybciej (język niemiecki).
- [28] *Schmutzige Schweine* – brudna świnia (język niemiecki).
- [29] Obóz Pracy w Świętochłowicach w 1945 roku. Dokumenty, Zeznania, Relacje, Listy, Warszawa 2003. Źródło: AIPNOKat, listy z prośbą o zwolnienie z obozów i więzień 1945, oryginał, mpis, b.pag
- [30] Z zeznania Rosalii Urbanek. Obóz pracy w Świętochłowicach w 1945 roku.
- [31] *Übermensch* – nadczłowiek (język niemiecki). Idea nadludzi była jedną z teorii nazistów, którzy rasę aryjską uważali za lepszą od innych ras.
- [32] Obóz Pracy w Świętochłowicach w 1945 roku. Dokumenty, Zeznania, Relacje, Listy, Warszawa 2003. Źródło: AIPNOKat, listy z prośbą o zwolnienie z obozów i więzień 1945, oryginał, mpis, b.pag
- [33] Obóz Pracy w Świętochłowicach w 1945 roku. Dokumenty, Zeznania, Relacje, Listy, Warszawa 2003. Źródło: AIPNOKat, listy z prośbą o zwolnienie z obozów i więzień 1945, oryginał, mpis, b.pag
- [34] Obóz Pracy w Świętochłowicach w 1945 roku. Dokumenty, Zeznania, Relacje, Listy, Warszawa 2003. Źródło: AIPNOKat, listy z prośbą o zwolnienie z obozów i więzień 1945, oryginał, mpis, b.pag
- [35] Gmach Województwa – pełna nazwa: Gmach Województwa i Sejmu Śląskiego, budynek stojący przy ul. Jagiellońskiej w Katowicach.
- [36] Obóz Pracy w Świętochłowicach w 1945 roku. Dokumenty, Zeznania, Relacje, Listy, Warszawa 2003. Źródło: AIPNOKat, listy z prośbą o zwolnienie z obozów i więzień 1945, oryginał, mpis, b.pag
- [37] W relacji kilku więźniów obozu taki napis znajdował się nad bramą obozu na Zgodzie.

[38] Autentyczne słowa często powtarzane we wspomnieniach więźniów obozu w Świętochłowicach.

[39] Słowa Huberta Majowskiego, który przebywał w świętochłowickim obozie od 28 II do 8 X 1945 roku.



Styczeń 1945. Rodzina Karola Plocha z trwogą, ale i z nadzieją oczekuje wkroczenia do Katowic wojsk Armii Czerwonej. Nikt nie wie, jak wyzwoliciele potraktują wielokulturowe miasto, w którym spleta się historia dwóch narodów. Tutaj polsko-niemieckie małżeństwa – takie jak Karola i Margot – są powszechne.

Miesiąc później, gdy wydaje się, że trudny wojenny czas już za nimi, do domu Plochów pukają mężczyźni z biało-czerwonymi opaskami na ramionach. Karol bez żadnego wyroku trafia do Świątchłowic, gdzie na terenie dawnego niemieckiego obozu koncentracyjnego zgotowano ludziom piekło. Panem życia i śmierci jest tu znany z okrucieństwa komendant Salomon Morel.

*Ogrody na popiołach* to powieść o ludziach, których skazano na niewyobrażalne cierpienia z powodu narodowości, wyznania, języka, a najczęściej bez żadnego powodu. To opowieść o tuszowanej latami tragedii, która dotknęła Ślązaków, wzbudzając poczucie ogromnej niesprawiedliwości.

Patronat



